

Nowe Zagłębie

Czasopismo
społeczno-kulturalne

nr indeksu
252352

nr 1 (1/25) styczeń – luty 2013

cena 7 zł zawiera 8% VAT

Powstanie styczniowe w Zagłębiu Dąbrowskim

Eugeniusz Januła

eWUŚ, czyli Elektroniczna Weryfikacja Upnień Świadczeniobiorców

Joanna Wójcik

Zima w mieście

Paulina Budna

Hobitem być

Monika Bednarczyk

FELIETONY

Zbigniew Adamczyk, Jadwiga Gierczycka, Michał Kręcisz, Jerzy Suchanek, Andrzej Wasik

WYWIADY

Zbigniew Białas, Adam Sikora

POEZJA

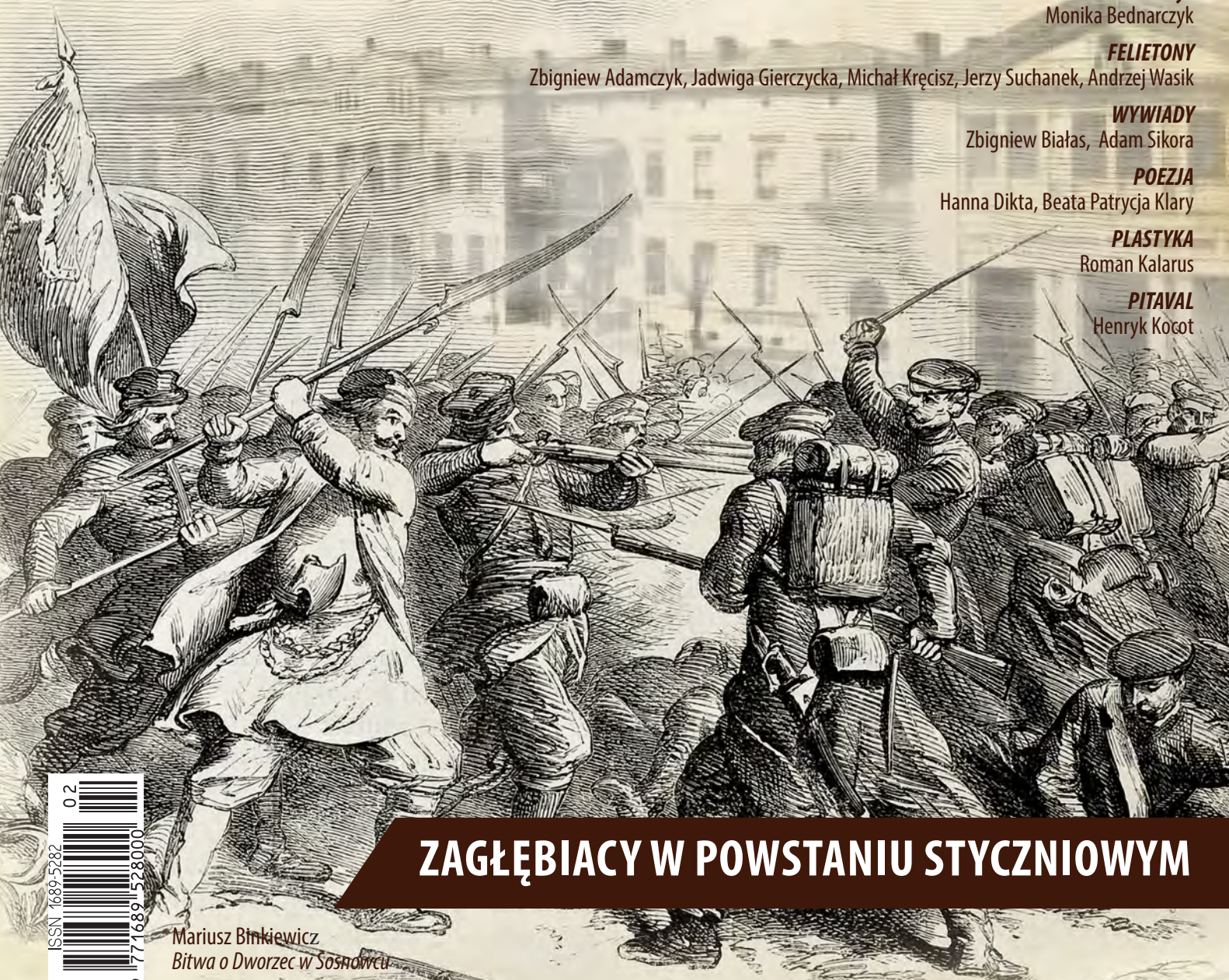
Hanna Dikta, Beata Patrycja Klary

PLASTYKA

Roman Kalarus

PITAVAŁ

Henryk Kocot



ZAGŁĘBIACY W POWSTANIU STYCZNIOWYM

Mariusz Binkiewicz
Bitwa o Dworzec w Sosnowcu





DROSETUX® i kaszel ujdzie na sucho

SZYBKA ULGA W KASZLU

SPOKOJNA NOC BEZ PRZEBUDZEŃ

NATURALNE BEZPIECZEŃSTWO STOSOWANIA



O kaszlu u dzieci od **A** do **Z** na: **www.drosetux.pl** lub



* W trosce o właściwe rozpoznanie przyczyny kaszlu i w celu ustalenia dawkowania przed zastosowaniem DROSETUX® u dzieci poniżej 6 roku życia rekomendujemy konsultację z lekarzem lub farmaceutą. Jeżeli lekarz nie zaleci inaczej, u dzieci poniżej 6 roku życia, stosować 2,5 ml syropu 3 - 5 razy dziennie. Syrop - butelka 150 ml. Produkt złożony. Wskazanie: wspomagające w leczeniu kaszlu suchego, drażniącego. Przeciwwskazania: nadwrażliwość na substancję czynną lub na którąkolwiek substancję pomocniczą. Podmiot odpowiedzialny: Boiron SA, 20 rue de la Libération 69110 Ste - Foy lès Lyon, Francja.

BOI/LZ/DRO/08/12/11

Przed użyciem zapoznaj się z ulotką, która zawiera wskazania, przeciwwskazania, dane dotyczące działań niepożądanych i dawkowanie oraz informacje dotyczące stosowania produktu leczniczego, bądź skonsultuj się z lekarzem lub farmaceutą, gdyż każdy lek niewłaściwie stosowany zagraża Twojemu życiu lub zdrowiu.

Szanowni Państwo!

Kilka pierwszych tygodni nowego roku zdominowały wydarzenia o wymiarze ogólnopolskim. Do najważniejszych należało posiedzenie sejmu, który w pierwszym czytaniu odrzucił wszystkie projekty ustawy o związkach partnerskich. Politycy debatowali nad trzema projektami ustaw: autorstwa PO, SLD i Ruchu Palikota. Na sejmowej mównicy kilka razy pojawiała się Krystyna Pawłowicz, która krytykowała każdy z projektów, kreując się na najzacieklejszego przeciwnika instytucji związków partnerskich. Zapadł w pamięć zarówno ksenofobiczny charakter wielu wystąpień, rezultat samego głosowania, jak i obraz sali sejmowej, w której przevažali posłowie pogardliwi wobec spraw ważnych dla całego społeczeństwa, a nie tylko środowisk LGBT (lesbijki, geje, biseksualiści i osoby transgenderyczne).

Zapomina się o społecznych i ekonomicznych czynnikach prowadzących do wyboru drogi życia poza małżeństwem i tradycyjną rodziną, które nie mają wcale seksualnego czy hedonistycznego celu nieformalnego związku partnerskiego. Przypomnijmy zatem, że standardem dojrzałej demokracji nie jest narzucenie przez większość swej woli mniejszości, lecz tworzenie warunków dla realizacji potrzeb różnego rodzaju mniejszości. W coraz większej liczbie państw demokratycznych związki partnerskie mają swoje obywatelstwo legitymizowane prawem państwowym.

Niepodejmowanie przez sejm ważnych problemów społecznych jest przejawem arogancji władzy wobec społeczeństwa i pogłębia tragicznie niski poziom zaufania obywatela do instytucji państwa oraz konserwuje negatywne przejawy kapitału społecznego.

W Polsce, w przeciwieństwie do państw nie tylko dojrzałej demokracji, ale również naszych sąsiadów z państw Europy Wschodniej utrzymuje się niski poziom kapitału społecznego mierzonego poziomem zaufania obywateli wobec siebie oraz instytucji państwowych, promowania wartości publicznych oraz współdziałania ludzi ze sobą. Uczeń przekonują, że poziom rozwoju społecznego i gospodarczego oraz jakość życia wysokorozwiniętych społeczeństw jest właśnie związana z wysokim poziomem kapitału społecznego. Pomoc wzajemna i współpraca oparte na zaufaniu społecznym stanowią obecnie ważny czynnik rozwoju każdego społeczeństwa.

Egoistyczne postawy Polaków, wyrastające na glebie skrajnie egoistycznych wartości doktryny liberalnej blokują mechanizmy współpracy na rzecz dobra wspólnego. Braku obywatelskiej cnoty nie zrekompensują incydentalne, choć niewątpliwie potrzebne, zbiórki pieniędzy i rzeczy.

Marek Barański



Nowe Zagłębie – czasopismo społeczno-kulturalne • Redaguje kolegium w składzie: Marek Barański – redaktor naczelny, Paweł Sarna – sekretarz redakcji, Maja Barańska, Ewa M. Walewska, Tomasz Kowalski – redakcja techniczna • Adres redakcji: 41-200 Sosnowiec, ul. Będzińska 65, tel./fax: + 48 32 788 33 62 do 63, + 48 512 175 814 • e-mail: redakcja@nowezaglebie.pl, www.nowezaglebie.pl • Wydawca: Związek Zagłębiowski • Współpracownicy: Zbigniew Adamczyk, Edyta Antoniak-Kiedos, Paulina Budna, Przemysław Dudzik, Robert Garstka, Henryk Kocot, Krzysztof M. Macha, Dobraawa Skonieczna-Gawlik, Piotr Smereka, Jerzy Suchanek, Joanna Wójcik • Felietoniści: Zbigniew Adamczyk, Jadwiga Gierczycka, Michał Kręcis, Jerzy Suchanek, Andrzej Wasik • Druk: Progress Sp. z o.o. Sosnowiec • Nakład: 1000 egzemplarzy • Tekstów niezamówionych redakcja nie zwraca. Redakcja zastrzega sobie prawo ingerencji w teksty zamówione. Reklamę można zamawiać w redakcji; za treści publikowane w reklamach redakcja nie ponosi odpowiedzialności • Zasady prenumeraty „Nowego Zagłębia”: Prenumeratę krajową lub zagraniczną można zamawiać bezpośrednio w redakcji lub e-mailem • Cena prenumeraty półrocznej (przesyłanej pocztą zwykłą) – 3 wydania – 20 złotych, rocznej – 40 złotych • Prenumerata zagraniczna przesyłana pocztą zwykłą – 3 wydania – 60 złotych, roczna – 120 złotych • Wpłaty na prenumeratę należy dokonywać na konto: Związek Zagłębiowski, Bank Gospodarki Żywnościowej S.A., 54 2030 0045 1110 0000 0256 2940

Informujemy, iż Redakcja czasopisma „Nowe Zagłębie” nie bierze odpowiedzialności za poglądy Autorów piszących na naszych łamach. Jesteśmy otwarci na wszystkie opinie i przekonania oraz staramy się, aby były one reprezentatywne dla szerokiej grupy odbiorców naszego periodyku.

Spis treści

Sosnowiec w wersji retro czyli <i>Korzenie</i>	2
Zagłębiowskie rzemiosło i rękodzieło: tkactwo	5
Karnawał w Rio. Szał ciał	7
Belgia dla wytrwałych – Zagłębianka na Nowy Rok	8
Ułatwienie czy źródło kolejnego kryzysu? – eWUŚ, czyli Elektroniczna Weryfikacja Upnień Świadczeniobiorców	11
W trosce o pacjenta	13
Lekarze o swojej pracy. Poziom zadowolenia zawodowego medyków w Zagłębiu Dąbrowskim ..	15
W co gra przemysł farmaceutyczny?	16
Bezmyślny kat	17
Powstanie styczniowe w Zagłębiu Dąbrowskim ...	18
Zima w mieście	24
„Małe Zagłębie” cz. 1	26
Stanisław Jarząbek. Najmłodszy ambasador	30
Blisko, coraz bliżej – Bangladesz	31
Smutny koniec cementowni	32
PLASTYKA	34
Lądek w Sławkowie	37
FILM	38
Hobbitem być	39
Pustka i milczenie	41
POEZJA	43
FELIETON	44
RECENZJA	48
POEZJA	52
REGION	54



Druk i upowszechnianie czasopisma „Nowe Zagłębie”
są współfinansowane przez
Samorząd Województwa Śląskiego, gminę Sosnowiec, gminę Zawiercie
Powiat Będziński



Sosnowiec łączy



Śląskie. Pozytywna energia

Sosnowiec w wersji retro czyli *Korzeniec*

Z Profesorem Zbigniewem Białasem rozmawia Joanna Wójcik

Zbigniew Białas urodził się w Sosnowcu w 1960 roku. Jest anglistą, literaturoznawcą, profesorem nauk humanistycznych, pracownikiem Instytutu Kultury i Literatur Anglojęzycznych Uniwersytetu Śląskiego oraz stypendystą Fundacji Humboldta i Fulbrighta. W młodości służył w wojskach ONZ na Bliskim Wschodzie. Obecnie mieszka w Sosnowcu. W 2011 roku ukazała się jego debiutancka powieść „*Korzeniec*”, pierwszy tom „*Kronik sosnowieckich*”. Powieść *Korzeniec* zdobyła m.in. Śląski Wawrzyn Literacki 2011, nagrodę przyznaną przez Bibliotekę Śląską w Katowicach oraz tytuły „Najlepszej Książki Roku 2011” i „Najlepszej Książki na Jesień” w kategorii proza polska, w plebiscytach organizowanych przez wortal literacki granice.pl. Powieść uzyskała także nominację do Nagrody Literackiej Srebrny Kałamarz 2011 przyznawanej przez Fundację im. Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego i jako jedyny utwór beletrystyczny zdobyła nominację do nagrody „Historia zebrana” (edycja 2011) w konkursie organizowanym przez wortal historyczny histmag.org. Fragmenty powieści wyemitował również Program II Polskiego Radia. Na podstawie powieści ukazała się także sztuka w Teatrze Zagłębia, którą oglądać można od maja 2012 roku.



Fot. M. Bugala

W jakich okolicznościach zrodził się pomysł na powstanie *Korzeńca*? Czy interesował się Pan wcześniej historią Sosnowca?

Nigdy nie zamierzałem pisać powieści o Sosnowcu. Nie interesowałem się historią miasta, ponieważ kiedy byłem młodym człowiekiem robiono wiele, żeby ludzie nie interesowali się historią, tylko świetlaną przyszłością. Miejsca, które się z tą wyimaginowaną, a ewidentnie nieprawdziwą świetlaną przyszłością kojarzyły, odruchowo wzbudzały moją niechęć. Jeśli chodzi o pomysł na powstanie *Korzeńca*, to było tak, że któregoś majowego dnia w 2005 roku przechodziłem obok starego domu przy Żytniej 16 i za progiem zobaczyłem na podłodze sygnowany kafelek: „A. Korzeniec. Sosnowice”. Nazajutrz poszedłem z aparatem i zro-

biłem kilka zdjęć. Wyobraziłem sobie, jak mistrz *Korzeniec* układa ten właśnie kafelek w sieni i w ten sposób powstała pierwsza scena książki. Zaczęłem się zastanawiać, kiedy „Sosnowiec” nazywano „Sosnowicami”.

Czy Sosnowiec początku XX wieku jest dobrym miejscem do ułożenia akcji powieści?

Moim zdaniem każde miejsce na świecie i każdy moment historii nadają się na powieść. Jeśli chodzi konkretnie o Sosnowiec, to im więcej czytałem, tym mocniej wzrastało we mnie przekonanie, że to chaotycznie i dynamicznie rozwijające się miasto ułożone na granicy trzech potężnych cesarstw w przededniu pierwszej wojny światowej; miasto, gdzie w związku z tym położeniem dochodziły do głosu sprzeczne interesy Polaków, Niem-

ców, Żydów i Rosjan; miasto mocno podzielone klasowo, a w dodatku tłumaczące istniejące dzisiaj podziały na linii Śląsk–Zagłębie nadaje się na powieść wręcz idealnie. Można ówczesny Sosnowiec porównać do Łodzi z *Ziemi obiecanej*, tyle że Łódź nie była położona na żadnej granicy, a Sosnowiec był, i to na niej. Miasto miało położenie unikalne w skali europejskiej, tylko trzeba było przestać myśleć w ciasnych kategoriach przylepionych w latach powojennych. To nie Gierek zbudował Sosnowiec.

Czy pomysł na napisanie książki był dla Pana odskocznią od pracy naukowo-badawczej czy raczej jej praktycznym dopełnieniem, chęcią osiągnięcia spełnienia pisarskiego, sprawdzenia się w roli pisarza?

Był odskocznią, ale przede wszystkim spełnieniem danego sobie samemu przyrzeczenia, bo ja, od kiedy pamiętam, wiedziałem, że chcę zostać i zo-

Czyli pisarzem chciał Pan być od zawsze?

Tak. Naukowcem niekoniecznie, ale pisarzem chciałem być już w przedszkolu.



lu. Jestem przykładem człowieka, który od bardzo wczesnego dzieciństwa wiedział, co chce robić. I mogę powiedzieć, że jestem szczęściarzem, w tym sensie, że spełniam swoje marzenia.

Czy pomoże Pan w rozszyfrowaniu tytułu swojej powieści? Czy jest to po prostu nazwisko bohatera, od którego historii zaczyna się powieść, czy może tytuł stanowi pewną aluzję do korzeni, tradycji, tożsamości regionalnej Zagłębiaków bądź Pańskiej?

Korzeniec jest oczywiście autentycznym nazwiskiem glazurnika działającego w Sosnowcu na początku dwudziestego wieku. Jednocześnie tytuł podkreśla więź fabuły z tradycją i historią, nawet gdyby to miało być widziane w sposób parodystyczny, ponieważ *Korzeniec* stanowi swoiste Genesis, jest obyczajowo-przygodową rozprawą z mitem założycielskim Sosnowca.

W Sosnowcu wymyślono grę miejską na podstawie fabuły powieści, a Teatr Zagłębia przygotował sceniczną adaptację *Korzeńca*. Z czego, Pana zdaniem, wynika tak ogromny sukces książki, zarówno na arenie regionalnej, jak i krajowej? Książka Michała Witkowskiego pt. *Barbara Radziwiłłówna z Jaworzna-Szczakowej o Jaworznie* cieszyła się uznaniem w kraju, jednak w samym Jaworznie wywołała mniejsze zainteresowanie. Co takiego jest więc w *Korzeńcu*?

Nie wiem. Mnie to samego zdziwiło. Tyle że nasycenie „*Korzeńca*” Sosnowcem w stosunku do nasycenia powieści Witkowskiego Jaworzniem wydaje mi się zupełnie nieporównywalne. Pana książka została nagrodzona Śląskim Wawrzynem Literackim 2011 roku przyznawanym przez Klub Dobrej Książki działający przy Bibliotece Śląskiej. Wyróżnienie to jest tym bardziej znaczące, że odczytywane jest jako symboliczne potwierdzenie braku antagonizmów śląsko-zagłębiowskich, wszak śląską nagrodę dostał pochodzący z Zagłębia i o nim piszący prozaik. Czy pisząc powieść zależało Panu pośrednio na zażegnaniu tych regionalnych antagonizmów?

Nie. Nie miałem nigdy takich ambicji. Staram się pisać najlepiej jak potrafię, ale nie kieruje mną żadne poczucie misji. Nigdy też nie chciałbym nikogo pouczać.

***Korzeniec* to efekt pracy wyobraźni i kunsztu literackiego, ale także żmudna praca archiwalno-historyczna. W książce z niezwykle**



Fot. D. Chalimoniuk

starannością została odtworzona topografia miasta, a także opisy miejsc, które sugestywnie oddają klimat tamtych czasów. Z jakich materiałów korzystał Pan podczas przygotowań do pisania powieści?

Czytałem wszystko, co wpadło mi w ręce, przede wszystkim prace regionalistów i coraz lepsze publikacje muzealne. Wykorzystywałem też archiwa biblioteczne, przyglądałem się starym zdjęciom i pocztówkom, chodziłem po mieście i szperałem w Internecie. **Na ile *Korzeniec* traktować można jako powieść historyczną?**

Korzeniec jest powieścią historyczną dużo bardziej niż powieścią kryminalną. Ale mniej niż powieścią obyczajową. Myślę, że „*Kroniki sosnowieckie*” w całości złożą się na pewien fresk historyczny, ale i tak będzie to cykl utworów fikcyjnych, a nie monografia miasta.

Powieść była czytana w programie II Polskiego Radia przez Mariana Opanię. Podczas krakowskich Targów Książki została uznana przez użytkowników wortalu Granice.pl za „Najlepszą książkę na jesień” i „Książkę roku” w kategorii prozy. Od czasu premiery powieści nieustannie pojawiają się liczne materiały prasowe na Pana temat, zaproszenia na spotkania z czytelnikami. Czy spodziewał się Pan takiego szumu medialnego, kiedy pisał Pan swoją książkę?

Nigdy w życiu.

Jak Pan się czuje z tą popularnością? Czy wraz z medialnym rozgłosem coś zmieniło się w Pańskim życiu na lepsze... a może gorsze?

Mam mnóstwo satysfakcji, kiedy ludzie mówią mi, że książka im się podobała, że czekają na drugi tom, że oglądali spektakl. Minusem jest to, że mam mniej czasu i odczuwam większą presję, pisząc drugi tom. Przed pierwszym nikt nie miał żadnych oczekiwań, a teraz czytelnicy na przykład proszą, że bym z tym bohaterem zrobił to, a z tym bohaterem tamto. Ja mam przekonanie, które może bierze się z fascynacji operą, że zakończenie nie powinno być szczęśliwe. Z tego, co wiem, moi czytelnicy nie do końca dzielą to przekonanie.

Jak czuł się Pan, słysząc w radiu fragmenty własnej książki i oglądając na deskach teatru jej adaptację?

To jest łatwe pytanie. Czułem i czuję się szczęśliwy. Chociaż i w przypadku radiowej adaptacji i spektaklu teatralnego zdziwiły mnie niektóre kierunki interpretacyjne. Kiedy Marian Opania czytał pierwszy odcinek powieści i były tam kwestie wypowiedziane przez pana Waleriana, powiedziałem do siebie: „*Monsiorski nie mógł przecież mówić takim głosem*”. Z kolei po spektaklu mam problem z wyobrażaniem sobie własnych bohaterów, tak jak ich widziałem wcześniej, bo coraz częściej przed oczyma stają mi twarze aktorów. Każdy kto zobaczy Tomasza Muszyńskiego i Aleksandra Blitka na scenie, zawsze będzie widział szwarcowników przez pryzmat ich interpretacji.



Fot. M. Bugala

W Sosnowcu mieszka Pan wiele lat i tu się urodził. Ale zdarzyło się też Panu mówić, że nigdy nie był Pan fanem Sosnowca. Czy coś się zmieniło od czasu wydania książki?

Tak. Od wydania *Korzeńca* poczułem się mocno emocjonalnie związany z miastem.

***Korzeniec* jest narracją wieloaspektową, stanowi swoisty kolaż powieści społeczno-obyczajowej, historycznej i kryminału. Czy postawienie na tę różnorodność gatunkową było wstępnym założeniem, czy wpływ na to miały wątki fabularne, które wzajemnie się multiplikowały?**

Nie pisałem *Korzeńca* według żadnych założeń, więc musi to wynikać z tego, jak powieść się rozrastała.

Powieść można czytać jako swoiste igranie z oczekiwaniami mieszkańców Sosnowca. Wśród bohaterów odnajdujemy młodego Jana Kiepurę, w dalszych tomach ma wystąpić m.in. Pola Negri. Czy z którąś z postaci identyfikuje się Pan osobiście oraz czy inni bohaterowie są inspirowani znanymi Panu osobami?

Wszyscy bohaterowie są mi w jakiś sposób bliscy, inaczej nie umiałbym o nich pisać, ale z nikim się nie identyfikuję, a już na pewno nie identyfikuję się z bohaterami historycznymi. Nikt nie jest w *Korzeńcu* moim alter ego, chociaż oczywiście redaktor Monsiorski jest mi bliższy niż, powiedzmy, Max Weichmann czy Pola Negri. Niektórzy uważają, że *Korze-*

niec to powieść z kluczem i że wiele postaci jest inspirowana moimi znajomymi z anglistyki. To jest w bardzo dużym stopniu nieprawda.

Jakich inspiracji i u kogo szukał Pan pisząc powieść? W książce uwidacznia się inspiracja np. Gombrowiczem. Czy kimś jeszcze?

Trudno mi odpowiedzieć na to pytanie, bo od dziecka bardzo dużo czytałem i pewnie przesiąknęłem wieloma pisarzami. Natomiast nie szukałem u nikogo inspiracji w świadomy sposób. Jeśli uwidacznia się wpływ Gombrowicza, pochlebia mi to.

Zamierza Pan niedługo wydać kolejną książkę będącą dalszą częścią „Kronik sosnowieckich”. Wiemy już, że akcja powieści będzie się rozgrywać od 11 listopada 1918 do 5 listopada 1919 roku, czyli do dnia ślubu aktorki Poli Negri z hrabią Eugeniuszem Dąbskim z Sosnowca. Jaki wątek będzie dominantą kolejnej powieści?

Ściślej rzecz ujmując, akcja będzie się rozgrywała od 11 listopada 1918 roku do 7 listopada 1919 roku. Powieść nosi tytuł „Puder i pył”, ukaże się w księgarniach 20 września tego roku i jest, podobnie jak *Korzeniec*, wielowątkowa. W wielkim skrócie wygląda to tak, że pani Jadwiga usiłuje doprowadzić redaktora Monsiorskiego przed ołtarz. Przebywający wciąż na wolności zabójca jej męża ma na oku kolejną ofia-

rę, być może nawet dwie. Sufrażystka, której wydawało się, że wyjechała do Rosji z dobrotliwym nauczycielem literatury zorientowała się poniewczasie, że ma do czynienia z wysoko postawionym bolszewikiem, a fińska bona pracującą dla Króla Wełny jest pełna wątpliwości, czy powinna wiązać się z niemieckim oficerem, okaleczonym podczas pierwszej wojny światowej. Jest też wątek Poli Negri i komendanta miejscowej policji, hrabiego Eugeniusza Dąbskiego. „Puder i pył” to powieść o różnych barwach miłości, powieść o Polsce, która jest kruchym domem i o mieście na gorącej granicy polsko-niemieckiej. Dla cierpliwych jest to też – po trochu – powieść sensacyjna.

W jakiej roli lepiej się Pan czuje – pisarza czy naukowca?

W tej chwili w roli pisarza czuję się lepiej, bo to jest dla mnie nowa rola. Poza tym w pisaniu powieści nie ma żadnej biurokracji, czego nie można powiedzieć o współczesnej akademii.

Czego można życzyć autorowi pierwszej sosnowieckiej powieści kryminalno-społeczno-obyczajowo-historycznej?

Zawsze wdzięcznie przyjmuję życzenia zdrowia, siły i łaskowości Muzy.

Serdecznie dziękuję za rozmowę i tego właśnie Panu życzę.

Kafelek na progu kamienicy przy ul. Żytniej 16 w Sosnowcu



Zagłębiowskie rzemiosło i rękodzieło: tkactwo

Dobrawa Skonieczna-Gawlik

Do głównych ośrodków tkackich na obszarze dzisiejszego województwa śląskiego oprócz rejonu Beskidu Śląskiego i Częstochowy należał ośrodek siewiersko-będziński oraz zawierciańsko-myszkowski, a tkactwo, jedno z najstarszych zajęć ludności, do schyłku XIX w. było w Zagłębiu Dąbrowskim zjawiskiem powszechnym.

Krosno, zbiory Muzeum Zagłębia w Będzinie. Fot.B. Gawlik



Tkactwo – sztuka kobieca

Tkactwem domowym zajmowały się zazwyczaj kobiety i dziewczęta, a jego naukę przekazywano z pokolenia na pokolenie ze względu na szerokie i powszechne zastosowanie tkanin w życiu codziennym: ubiorze, wyposażeniu wnętrz mieszkalnych i w gospodarstwie. Dlatego też w długie wieczory zimowe kobiety przygotowywały przędzę i zasiadały do poziomych warsztatów tkackich zwanych krosnami.

W tkactwie ludowym podstawowymi surowcami były włókna naturalne: len i konopie oraz wełna, a później także bawełna, którą zaczęto stosować w II połowie XIX w.

W każdym gospodarstwie z piecząco witością uprawiano zagony z lnem, który po zerwaniu moczono, suszono i oddzielano torebki nasienne, a łodygi poddawano tak zwanemu międleniu. Międlenie polegało na łamaniu łodyg poprzez uderzanie drewnianymi mieczami cierlicy lub międlicy. Następnie len czesano metalowymi szczotkami, uzyskując trzy rodzaje włókna: na płótno cienkie, poczesne i zgrzebne. Z tak przygotowanego surowca przędzono początkowo za pomocą przęślicy i wrzeciona, a od początku XIX w. także przy użyciu kołowrotka. Po uprzedzeniu nici nawijano na motowidła, a następnie zwijano w kłębki lub pasma.

Wielu gospodarzy hodowało owce, aby mieć wełnę na własne potrzeby. Wełna po strzyżeniu i praniu poddawana była gręplowaniu (czesaniu) w domu lub w gręplarni. Następnie, podobnie jak len, wełnę przędzono i nawijano na czółenka.

Nici lniane, ale także wełniane w zależności od potrzeb, bielono bądź farbowano. Początkowo do nadawania koloru używano głównie barwników roślinnych uzyskiwanych z czarnych jagód, owoców bzu lekarskiego, chabrów do otrzymania koloru niebieskiego, janowca, rzedy i łupinek cebuli – aby otrzymać kolor żółty i rdzawy; widłaka, liści oraz pączków brzozy – aby otrzymać kolor zielonkawy. Natomiast wywar z marzanny (barwierskiej) pozwalał uzyskać kolor czerwony, a kora dębu – kolor czarny bądź szary. Z biegiem lat barwniki roślinne zastąpiono farbami anilinowymi.

Jak to robiono w Zagłębiu?

W Zagłębiu Dąbrowskim przeważały tkaniny jednobarwne, gdzie osnowę wykonywano najczęściej z nici lnianych. Założenie

Spódnica typu częstochowskiego, ze zbiorów Muzeum Zagłębia w Będzinie. Fot. B. Gawlik



osno-
wy nie było
zadaniem łatwym,
a umiejętność tę posiadały nieliczne tkaczki. Wykonane tkaniny w zależności od gatunku przeznaczano na elementy odzieży, bieliznę pościelową lub płachty, worki etc. Z cienkiego, najdelikatniejszego płótna sztyto odzież odświętną: koszule damskie, chustki i zapaski, z płótna poczesnego odzież codzienną a także koszule męskie i spodnie, natomiast z płótna zgrzebnego worki, derki, płachty, sienniki i portki. Tkaniny wełnianej używano natomiast do szycia okryć wierzchnich, a w okolicy Myszkowa z farbowanej przędzy wełnianej tkano kolorowe wełniane pasiaki.

Gotowe tkaniny płóciennę często ozdabiano za pomocą druku. Materiał dru-

Spódnica z modrego drukowanego płótna, Strzemieszyce Małe; ze zbiorów Muzeum Zagłębia w Będzinie. Fot. B. Gawlik



kowa-
no przy
użyciu drew-
nianych klocków
z wypukłym orna-
mentem z motywami kro-
pek, kresek, spirali, kwiatusz-
ków, listków i gałązek połączonych
w prostą lub bardziej rozbudo-
waną kompozycję. Przykładem takiego zdobienia tkaniny jest, znajdująca się w zbiorach Muzeum Zagłębia w Będzinie, spódnica z tkaniny drukowanej w technice batikowej. Technika ta polegała na p o -
kryciu orna-
mentu
klocka specjalną masą nazy-

waną pap, a następnie odbiciu

wzoru na tkaninie i zanurzeniu płótna w farbie, która wnikała jedynie w miejsca niepokryte masą. Po usunięciu masy otrzymywano biały wzór na ciemnym tle. Istniała jeszcze technika nadruku bezpośredniego,

gdzie zanurzony w farbie klocek z ornamentem odbijano na tkaninie, uzyskując ciemny wzór na jasnym, niezafarbowanym tle. Technika druku ozdabiano najczęściej tkaniny na spódnice, chustki i zapaski.

Pod koniec XIX wieku rozpoczął się proces upadku tkactwa ludowego spowodowany napływem tańszych i łatwiej dostępnych tkanin fabrycznych, wypierających tak zwane wyroby samodziałowe. Najszybciej proces ten przebiegał na terenach położonych w pobliżu miast będących ośrodkami przemysłowymi, takich jak np. Sosnowiec, gdzie pod koniec XIX stulecia działały fabryki włókiennicze. Jedynie w rejonach dalej położonych od centrów przemysłowych tradycje tkackie prze-



Zapaska naramienna, Myszków; ze zbiorów Muzeum Zagłębia w Będzinie. Fot. B. Gawlik

trwały
nieco dłu-
żej, ograniczając

jednak zakres wykonywanych gatunków i wzorów materiałów do pasiastych tkanin na zapaski naramienne lub też kolorowych chodników wykonanych z różnych ścinków tekstylnych, jak w powiecie myszkowskim.

Autorka pracuje jako etnograf w Muzeum Zagłębia w Będzinie

Tekst opracowano na podstawie materiałów z badań terenowych oraz publikacji:

Piękno użyteczne czy piękno ginące, opr. i red. B. Kopczyńska-Jaworska, M. Niewiadomska-Rudnicka. Polskie Towarzystwo Ludoznawcze, Łódź 1997.
R. Rok: *Kultura ludowa regionu częstochowskiego*. Muzeum Częstochowskie, Częstochowa 1993.

Zabytki ludowej kultury na Śląsku i w Częstochowskim, red. B. Bazieli, Bytom 1975

Karnawał w Rio. Szał ciał (korespondencja własna)

Henryk Kocot

Karnawał jest świętem, które wywodzi się z cyklu liturgicznego Kościoła. To celebrowanie profana, poprzedzające okres Wielkiego Postu – czasu pokuty i nawrócenia. Nazwa pochodzi od łacińskiego wyrażenia *cirrus navalis*, czyli „wóz w kształcie okrętu”. Taki wóz zazwyczaj prowadził parady w czasie rzymskich bachanali (uroczystości na cześć Bachusa, boga płodów i wina). W Polsce okres ten często nazywano zapustami i był to także czas zabaw, hulanek i swawoli.

Szczególnie wesoło bawiono się dawniej w karnawale w czasie zimowych balów, maskarad, w okresie od Nowego Roku aż do środy popielcowej. Okres ten był stosowny do różnorakich sważeń, zaręczyn czy ożenków. Najsłynniejsze bale karnawałowe urządzone były w XVII w. w Gdańsku na Dworze Artusa, a pod koniec XVIII w. słynęła z zabaw Warszawa.

Chociaż najsłynniejszymi w Europie są bale w Wiedniu i Wenecji, to do szaleństw w Rio de Janeiro jeszcze im daleko.

Na karnawał trafiłem zupełnie przypadkiem. Po prostu lecąc do Montevideo z rybakami z gdyńskiego Dalmoru celem dokonania wymiany załóg na trawlerach, mieliśmy międzylądowanie w Rio, gdzie w oczekiwaniu na Boeinga 747 brazylijskich linii lotniczych Varig dostaliśmy w prezencie kilka godzin. Właśnie dzięki nim mogłem na własne oczy zobaczyć to szaleństwo.

W całej Brazylii celebrowanie profana nabrało wręcz gigantycznych rozmiarów i co roku przyciąga ponad 1,5 mln turystów, a ci płacąc od 20 do 700 dolarów za bilet powiększają pulę miejskiej kasy. Miejsowa biedota przez cały rok ciuła pieniądze, by zakupić strój (fantasias) lub bilet.

Nasz karnawał trwa kilka tygodni, aż do środy popielcowej, w Brazylii tylko kilka dni, od piątku do Popielca. Największą atrakcją są pochody karnawałowe szkół samby. Szkół tych jest kilkadziesiąt i w zależności od klasy mogą się prezentować w różnych miejscach Rio.

Kilkanaście najwyższej klasy szkół

daje popis na Sambodromie. Jest to długa i szeroka ulica zabudowana po obu stronach trybunami i łóżami dla VIP-ów. Szkoły samby oceniane są w 10 kategoriach przez 4 sędziów w każdej kategorii. Każdy z sędziów może przyznać od 5 do 10 punktów, które są sumowane. Wyniki ogłaszane są w środę po zakończeniu karnawału.

Szkoły samby niżej sklasyfikowane prezentują się na ulicy Rio Branco, która na czas karnawału wyłączona jest z ulicznego ruchu.

Pochód każdej ze szkół wygląda podobnie. Otwiera go tancerz z tablicą zawierającą nazwę szkoły. Za nim podąża ciało pedagogiczne razem z dyrekcją danej szkoły. Następnie jedzie platforma z orkiestrą, tzw. bateria wyposażona w masę głośników i wzmacniaczy. Na samym końcu, pchany przez ludzi, jedzie wielopiętrowy pojazd, na którym prezentują zdolności ruchowe i swoje wdzięki czarnoskóre piękności. Tancerki, jeżeli chodzi o strój, starają się nie nosić go na sobie zbyt dużo. Są

naprawdę piękne, więc nikt im tego nie ma za złe. O tych pięknościach często rozmawialiśmy później w mesie, w długim atlantyckim rejsie, jak to marynarze i rybacy.

Równolegle z karnawalem na jednej z trzech najpiękniejszych na świecie plaż – Copacabana przeprowadzany jest konkurs na Miss Karnawału. Kandydatki do tego tytułu występują w strojach kąpielowych i kabaretowych. Przy dźwiękach samby na piasku tańczą ludzie i oklaskują występujące piękności. Słowem – szal ciał.

Karnawał to także duże wyzwanie dla miejscowej policji. W czasie jego trwania popełniane są liczne przestępstwa, najczęściej zabójstwa i gwałty. To cena tego brazylijskiego szaleństwa.

Fot. arch.



Belgia dla wytrwałych – Zagłębianka na Nowy Rok

Tekst i zdj. Katarzyna Wywiół

Minął kolejny rok w Królestwie Belgii. Przyniósł on wiele znaczących wydarzeń: kryzys gospodarczy, zaskakujący wynik wyborów lokalnych, szokujące publikacje o rodzinie królewskiej. Na brukselskim Grand Place po raz pierwszy stało nie naturalne, lecz zupełnie futurystyczne i energooszczędne drzewko świąteczne, którego szlachetna idea nie przysłoniła jednak niedostatków estetycznych. W związku z protestami opinii publicznej, w grudniu 2013 r. ma nastąpić powrót do choinkowej tradycji...

Jesienią 2012 r. ze względu na potencjalnie groźne pęknięcia reaktorów wyłączono dwie elektrownie atomowe – Doel i Tihange, co w razie ciężkiej zimy groziło blackoutem. Piszę te słowa 8 stycznia i szczęśliwie zima na razie jest bardzo łagodna – za oknem +8 stopni, a śnieg pokazał się dotąd tylko na dzień czy dwa. Blackoutu nie było. Groźba niedoboru

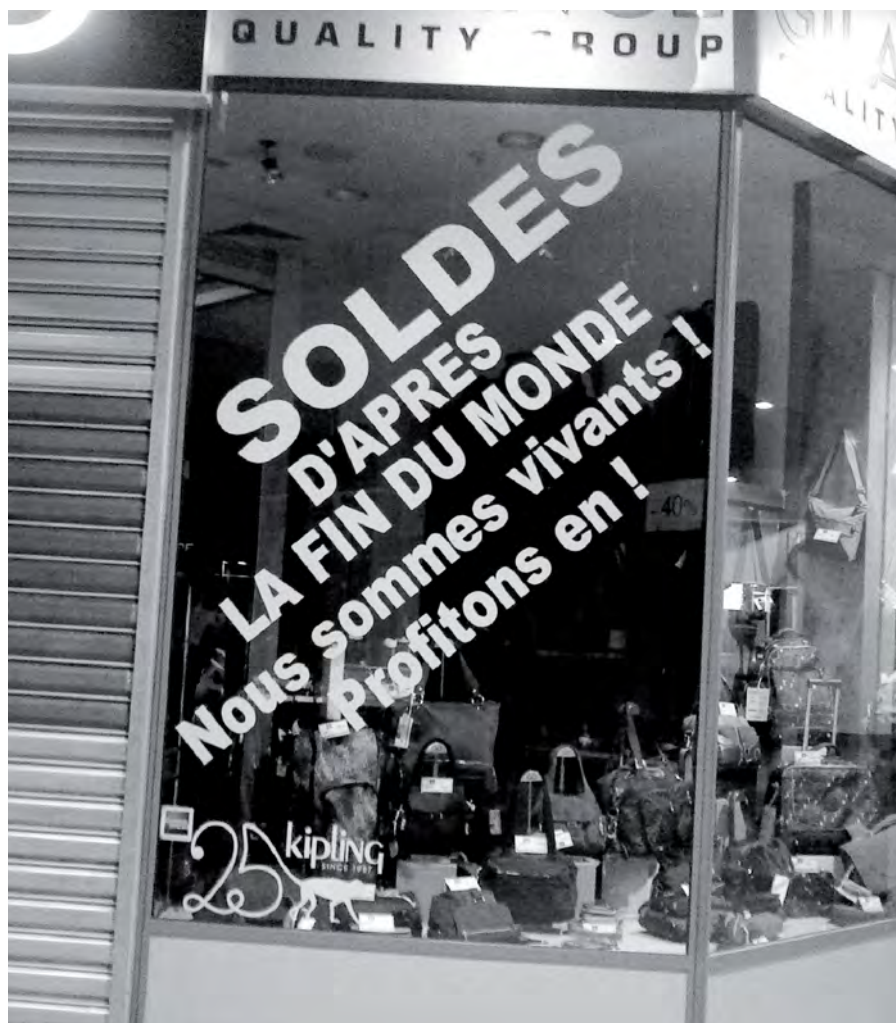
energii elektrycznej skłoniła Belgów do rozważenia ponownego otwarcia walońskich kopalni węgla kamiennego...

Belgijska jesień jest bardzo piękna, a wielobarwne liście długo pozostają na drzewach; zarówno październik, jak i listopad w 2012 r. były zresztą przyjemnie suche. A jednak była to pora z wielu powodów burzliwa.

W październiku odbyły się w Belgii wybory lokalne, których zwycięzcą poczuł się Bart De Wever, 41-letni przywódca flamandzkich nacjonalistów występujących pod szyldem N-VA (Nowego Sojuszu Flamandzkiego). De Wever starannie się do tego zwycięstwa przygotował; biegając półmaratony zrzucił w ciągu roku 60 kilogra-

Widok budynku Berlaymont – siedziby Komisji Europejskiej (10.01.2013)





Centrum handlowe Stockel w dzielnicy Woluwe Saint Pierre. Napis na sklepie: „Wyrzędać po korcu świata. Żyjemy! Korzystajcie!”

mów, co kompletnie odmieniło jego wizerunek. Do wymiernych zysków De Wever zaliczyć może odebranie socjalistom Antwerpii – i to po dziewięćdziesięciu (!) latach ich nieprzerwanej dominacji w tym ważnym mieście portowym. W całej 6-milionowej Flandrii N-VA umocniło swoją pozycję.

Tuż po wyborach De Wever planował spotkać się z rządem federalnym przy stole negocyjacyjnym, by rozmawiać o przyznaniu większej niezależności francuskojęzycznej Walonii i holenderskojęzycznej Flandrii, tak by „mogły się zająć własnymi sprawami” (cytat z artykułu, który ukazał się 15.10.12 na portalu Expatica). Mówiąc po ludzku oznacza to, że belgijska federacja ma przekształcić się w luźną konfederację, w której każdy z regionów pracuje na własny rachunek. Chociaż Walonia była regionem zamożniejszym, teraz jednak dopłaca do niej Flandria.

Czy jest się czym martwić? Wszak w Walonii utrzymali się socjaliści (socjalistą jest premier Elio Di Rupo), a w Brukseli (trzeci region Belgii) mają się dobrze liberałowie. Tym niemniej konfrontacyjna postawa De Wevera może niepokoić. Po ostatnich wyborach powszechnych (2010) ostentacyjnie odmówił udziału w tworzeniu rządu (a był to proces bolesny i rekordowo długi – trwał ponad 500 dni), i do dziś nie uznaje obecnego rządu za legalny. Najwidoczniej obrał kurs na separację i się go trzyma. Dodatkowo niepokoi fakt, że mamy do czynienia z politykiem młodym, który przez wiele lat pozostanie graczem na skomplikowanej belgijskiej scenie.

Belgów dzieli bardzo wiele – choćby to, że nie mają wspólnego języka. Czy podkreślanie tych różnic doprowadzi do rozpadu tego małego kraju? To mało prawdopodobne. Naturalne

jest, że nacjonałści w rodzaju De Wevera formułują pewne wizje, które stają się motorem ich działalności publicznej. Dwa małe państwa, zamiast jednego małego – to się nikomu nie opłaca... Konfederacja? Być może nie jest to zły pomysł. By jednak zasiać do rozmów, De Wever powinien pogodzić się z faktem istnienia rządu federalnego w jego obecnym kształcie, z socjalistą De Rupo na czele...

To oczywiście nie koniec kontrowersji. Wkrótce po wyborach okazało się, że dwaj nowi brukselscy radni arabskiego pochodzenia, kierowca autobusu Redouane Ahrouch (Anderlecht) i profesor chemii Lhoucine Aït Jeddig (Molenbeek) popierają wprowadzenie prawa koranicznego – choć nie burek... te są od roku zakazane. Ogółem Bruksela liczy 141 radnych-muzułmanów; traktowani jako jedność stanowią największą siłę polityczną w tym mieście.

Wracając jednak do sprawy nieoczekiwanej tryumfu De Wevera – miała ona równie zaskakujący ciąg dalszy podczas świątecznego orędzia, jakie 25 grudnia 2012 wygłosił król Albert II.

Należy tu podkreślić, że rola króla Belgów jest ściśle zdefiniowana: jest on gwarantem konstytucji i na nią składa przysięgę. Ta właśnie konstytucja zabrania mu ujawniania poglądów politycznych, choć ten je z pewnością ma. Znaczna część opinii publicznej uważa, że właśnie podczas orędzia je otwarcie zaprezentował.

W swym emocjonalnym przemówieniu, które wcześniej zaakceptował – jeśli nie napisał – premier Di Rupo, król Albert ostrzegł naród przed narastającym populizmem (czytaj: De Weverem), a klimat polityczny porównał do atmosfery lat 30. XX wieku.

Co mają oznaczać te słowa? Według politologa Pierre’a Verjansa (podaję za tygodnikiem „Moustique”), od czasów wstąpienia na tron poprzednika Alberta, jego starszego brata Baudouina, każde orędzie królewskie jest nie tylko przesłaniem władcy, ale i testamentem politycznym. Taka opinia jest jeszcze bardziej prawdopodobna, gdy weźmiemy pod uwagę wiek Alberta (w czerwcu skończy 79 lat; od dwóch lat mówi się o jego abdykacji).

Istniejąca zaledwie od 1831 r. monarchia belgijska, mimo osobistego pokrewieństwa władców, formalnie nie ma nic wspólnego z brytyjską – ani pod względem funkcji, ani tradycji, ani statusu medialnego. Tym niemniej w 2012 r. ukazały się dwie książki, które z jednej strony stały się pożywką dla brukowców, a z drugiej przyczyną autentycznego poruszenia wśród poddanych. Pierwsza z książek to *Pécheur de Laeken*, poświęcona księciu Laurentowi (Wawrzyńcowi), mówiąc łagodnie dość nieporadnemu młodszemu synowi królewskiej pary. Wystarczy wspomnieć imponujący, choć smutny ślub pary książęcej z Monako – Laurent to ten, który przewrócił się na czerwonym dywanie... Tytuł oznacza „Grzesznika z Laeken” – Laeken to północna dzielnica Brukseli, gdzie znajduje się pałac królewski. Książkę napisał Mario Danneels, dziennikarz, który niegdyś poinformował opinię publiczną o istnieniu nieślubnej córki króla Alberta. Książę Wawrzyniec dlatego ma być chodzącym nieszczęściem (zaś jako osoba bywa „arogancki i niegrzeczny”), gdyż nigdy go nie zaakceptował własny ojciec. Albert częściej i chętniej podobno spotykał się z nieślubną córką niż ze swym młodszym synem. Na następcę tronu szykowano od początku pierwotnego Filipa (nawet z pominięciem samego Alberta), Wawrzyńca zatem – żywą kopię swej włoskiej matki – lekceważono i pomijano. Wysyłany do nieprzyjaznych szkół, miał przechodzić w nich „prawdziwą drogę krzyżową”; choć cierpi na chorobę morską, musiał służyć w marynarce...

Ważniejsza jest jednak druga książka – opublikowana 23 października „Kwestia(-e) królewska(-ie)” (Tytuł jest znaczący: pojęcie „kwestia królewska” w historii politycznej Belgii odnosi się do wydarzeń prowadzących do abdykacji Leopolda III po II wojnie światowej) autorstwa Frédéric Dehorsu. Dotyczy ona bezpośrednio króla Alberta, monarchy niezwykle szanowanego przez swoich poddanych. W książce jawi się jako władca zmęczony i ponoć cierpiący na raka, rozważający w 2013 r. abdykację na rzecz 52-letniego księcia Filipa; ze względów politycznych Albert ma jednak pozostać na tronie do wyborów powszechnych (2014 r.). Je-

śli chodzi o następcę tronu, Deboursu sugeruje, że jego małżeństwo z Matyldą (po matce pół-Polką z Komorowskich-Sapiehów) było aranżowane przez pałac i nie ma nic wspólnego z miłością. Cała czwórka ich dzieci, dwie księżniczki (w tym następczyni tronu, 12-letnia Elżbieta) i dwaj książęta pochodzą z sztucznego zapłodnienia. Matyldę wybrano, ponieważ była kandydatką idealną: jej krewni mieszkają tak w Walonii, jak i Flandrii; jest piękna i wykształcona – skończyła logopedię i psychologię. Małżeństwo miało być więc jedynie kontraktem, a Filip miał w młodości pozostawać „w zażyłej przyjaźni” z pewnym mężczyzną... Oczywiście pozostając kawalerem, musiałby się pożegnać z marzeniem o tronie. W tej książce także król nie jest postacią kryształową. Chociaż deklaruje się jako głęboko wierzący katolik, miewał w młodości liczne romanse, a słynąca z urody królowa Paola miała mu odpłacać pięknym za nadobne... W reakcji na „Kwestie...” pałac królewski wydał stosowne oświadczenie o treści: „książka ta zawiera liczne informacje, które są w całości błędne i krzywdzące”. Król podobno rozważał drogę prawną, co w Belgii byłoby ewenementem; tym niemniej książka sprzedaje się dobrze i na pewno wielu Belgów znalazło ją pod choinką.

Wszystko to powoduje, że prasa belgijska rozpoczyna rok od rozważań na temat reformy monarchii, która jest dziś najważniejszym elementem scalającym podzielonych Belgów. Biorąc pod uwagę siły, które chcą rozsadzić tę federację, trudno przecenić znaczenie osoby monarchy dla jedności kraju. Czy król posunął się za daleko? – pytają gazety, a w jednej z nich satyryk Kanar publikuje rysunek, na którym robotnik przynosi doniczkę z królem-paprotką. „Gdzie mam go położyć?” – pyta.

Wiemy już, że grona poddanych Alberta II nie powiększy Gérard Depardieu, który jeszcze w grudniu planował osiąść w belgijskim Néchin (Estampuis), lecz ostatecznie wybrał Rosję. Jak wyraził się ekscentryczny mer (a właściwie *bourgmestre*) tego nadgranicznego miasteczka, którego 20% mieszkańców to Francuzi – Daniel Senesael: będący powodem tej migracji problem „harmonizacji podatków w Europie jest większy niż sam pan Depardieu”.

Pozostaje mi w Nowym Roku życzyć wszystkiego dobrego Belgii – krajowi, którego zasługi dla Europy biorą się także z tego, iż jego mieszkańcy wiedzą, że nie są najważniejsi w Europie ani na świecie. Trwaj, Belgio!

Bruksela, 8.01.2013 r.

Numer domu na ścianie kamienicy w Brugii



Ułatwienie czy źródło kolejnego kryzysu? – eWUŚ, czyli Elektroniczna Weryfikacja Uprawnień Świadczeniobiorców

Joanna Wójcik

eWUŚ to nowy elektroniczny system weryfikacji na bieżąco informujący świadczeniodawców o uprawnieniach pacjentów do świadczeń zdrowotnych finansowanych ze środków publicznych. Jest oparty na prowadzonym przez Narodowy Fundusz Zdrowia Centralnym Wykazie Ubezpieczonych (CWU). Ma swoje plusy, od 1 stycznia 2013 roku pacjent idący do lekarza nie musi szukać dokumentu potwierdzającego jego ubezpieczenie zdrowotne. Wystarczy numer PESEL, aby za pomocą Elektronicznej Weryfikacji Uprawnień Świadczeniobiorców potwierdzić prawo pacjenta do bezpłatnego leczenia w danej placówce. Ma też liczne słabe strony, o których opowiadają m.in. zagłębiowscy lekarze.

System eWUŚ gromadzi wszystkie dane na temat osób uprawnionych do **leczenia w ramach NFZ**. Wystarczy zgłosić się do placówki służby zdrowia z dowodem osobistym, paszportem lub prawem jazdy i podać numer PESEL. Osoba rejestrująca pacjenta do odpowiedniego lekarza sprawdzi za pomocą **Elektronicznej Weryfikacji Uprawnień Świadczeniobiorców**, czy danej osobie przysługuje bezpłatna opieka medyczna.

System eWUŚ działa w taki sposób, że do elektronicznego programu wprowadzane są dane osób uprawnionych do leczenia finansowanego ze środków publicznych, czyli płacących składki ubezpieczenia zdrowotnego. Są to osoby zatrudnione na etacie, osoby pobierające zasiłek dla bezrobotnych, osoby opłacające składki z tytułu prowadzenia działalności gospodarczej, emeryci oraz członkowie rodzin osób ubezpieczonych (zgłoszone do ubezpieczenia): małżonkowie, dzieci, wnuki oraz dziadkowie (jeżeli nie mają własnego tytułu ubezpieczenia). Dane systemu eWUŚ są aktualizowane codziennie, system rejestruje więc każdą zmianę natychmiast.

Jeżeli system Elektronicznej Weryfikacji Uprawnień Świadczeniobiorców nie potwierdzi prawa pacjenta do leczenia w ramach NFZ, a pacjent ma pewność, że takie prawo mu przysługuje, to może przedstawić dokument potwierdzający swoje prawo do świadczeń (deklarację RMUA) bądź napisać oświadczenie o przysługującym mu prawie do świadczeń.

Informacje zgromadzone w systemie eWUŚ są aktualizowane codziennie we-

ług danych otrzymywanych m.in. z ZUS i KRUS i przedstawiają stan uprawnień pacjenta w dniu, w którym dokonano sprawdzenia. Konieczna jest weryfikacja uprawnień wszystkich osób ubiegających się o uzyskanie świadczeń opieki zdrowotnej, w tym także dzieci do 18. roku życia. Przyczyną tego jest fakt, iż prawo do świadczeń posiadają wyłącznie dzieci, które mają obywatelstwo polskie. W przypadku dziecka, które nie ukończyło 3. miesiąca życia i nie posiada jeszcze własnego numeru PESEL, należy potwierdzić prawo do świadczeń numerem PESEL rodzica lub opiekuna prawnego.

Na temat systemu eWUŚ jest wiele opinii, zarówno korzystnych, jak i krytycznych. Niektórzy uważają za kłopotliwą konieczność codziennej weryfikacji bazy danych pacjentów w placówkach, w których choroby przebywają latami. Inni widzą w tym systemie szansę na usprawnienie systemu i zmniejszenie biurokratyzacji w szpitalach i ośrodkach zdrowia. O to w jaki sposób system ten wpłynie na pacjenta województwa śląskiego, zostali zapytani lekarze Zagłębia – specjaliści z Będzina, Zawiercia oraz Sosnowca.

Pytania do lekarzy:

Jak nowy system funkcjonuje w województwie śląskim? Jakie skutki będzie miało wprowadzenie eWUŚ dla województwa śląskiego i Zagłębia? Czy ten system może pomóc pacjentom i lekarzom, czy utrudni funkcjonowanie opieki medycznej? Jakie są zagrożenia oraz szanse związane z eWUŚ, zwłaszcza dla pacjentów?

Będzin



Maciej Hamankiewicz – dr n. med., specjalista chorób wewnętrznych. Urodził się w Sosnowcu w 1954 roku. Absolwent Szkoły Podstawowej nr 1 im. Adama Mickiewicza w Będzinie oraz II Liceum Ogólnokształcącego im. Emilii Plater w Sosnowcu. Ukończył Śląską Akademię Medyczną w Katowicach w 1979 r. Pełni funkcję ordynatora Oddziału Chorób Wewnętrznych w Powiatowym Zespole Zakładów Opieki Zdrowotnej w Będzinie. W samorządzie zawodowym działa od 1993 roku. Były przewodniczący Śląskiej Izby Lekarskiej, obecnie prezes Naczelnej Rady Lekarskiej. Laureat plebiscytu „Najlepszy Lekarz Śląska 2000”.

eWUŚ został stworzony po to, aby rządzący mogli szumnie ogłosić sukces

w ochronie zdrowia, ale de facto ten „sukces” nie przyniesie korzyści ani lekarzom, ani pacjentom. System jest wadliwy, niedopracowany i niedostosowany do pracy administracyjnej w służbie zdrowia. Zdarzają się sytuacje, kiedy osoby, mimo że są ubezpieczone, nie widnieją w bazie. Na dodatek eWUŚ już jest przeciążony, przez co pojawiają się problemy z przepływem danych. Szpitale każdego dnia muszą sprawdzać, czy przebywający w nich pacjenci mają aktualne ubezpieczenie. Ta dodatkowa praca personelu przekłada się na dodatkowe koszty, które zamiast trafić bezpośrednio do sektora opieki pielęgniarstwa i lekarskiej, trafiają do sektora administracyjnego. Czyli, mówiąc wprost, mamy do czynienia z administracyjnym krokiem wstecz w ochronie zdrowia. Chorzy z Zagłębia odczuwają to wyjątkowo, a kiedy w obiegu funkcjonowały karty, do których zdążyli już się przyzwyczaić, niewątpliwie było szybciej i bardziej komfortowo, zarówno dla pacjenta, jak i dla lekarza. Nie widzę sensu we wprowadzaniu zmian, które nie niosą za sobą przemyślanej skuteczności, a niekiedy wręcz przeciwnie – bałagan. W przypadku eWUŚ zmiana polega jedynie na tym, że wcześniej dane wszystkich pacjentów nie znajdowały się w jednym dostępnym elektronicznym systemie. Teraz system jest jeden, ale zamieszanie pozostało. Oczywiście jestem za pełną informatyzacją ochrony zdrowia i uporządkowaniem systemu ubezpieczeniowego, ale jedynie poprzez stworzenie kompleksowego systemu, opartego na elektronicznej karcie, a nie protezy w formie eWUŚ.

Sosnowiec



Bogdan Wójcik – dr n. med., specjalista chirurgii urazowo-ortopedycznej. Urodził się

w Sosnowcu w 1960 r. i ukończył Śląską Akademię Medyczną w Katowicach w 1985 r. Obecnie ordynator Oddziału Chirurgii Urazowo-Ortopedycznej w Szpitalu Miejskim w Sosnowcu.

Jedynie pełna informatyzacja w służbie zdrowia stwarza nadzieje na poprawę jej kondycji. eWUŚ jest niewątpliwie ważnym jej elementem, ale nie jedynym i kompletnym. Jeżeli zadziała, a nie jest to zadanie dla lekarzy i pielęgniarek, a dla informatyków i służb administracji, to poprawi dostępność pacjentów do świadczeń. eWUŚ na pewno nie zmieni i nie poprawi poziomu wykształcenia pracowników ochrony zdrowia ani nie przywróci im właściwego poziomu społecznego zaufania.

Zawiercie

Urszula Milka – lekarz, specjalista neonatolog i pediatra. Urodziła się w Porębie w 1959 r. i ukończyła Śląską Akademię Medyczną w Katowicach w 1986 r. Obecnie Kierownik Niepublicznego Zakładu Opieki Zdrowotnej i Poradni Rejonowo-Specjalistycznej „MEDICUS” Sp. z o.o. w Łazach.



Dzięki temu systemowi istnieje możliwość uzyskania informacji o aktualnym (na dzień sprawdzenia) statusie uprawnień pacjenta do realizacji świadczeń. Korzystanie z systemu eWUŚ jest proste, szybkie i nie wymaga skomplikowanego szkolenia per-

sonelu pracującego w rejestracji placówki takiej jak poradnia czy szpital. Do niedawna, tj. do 1 stycznia br. posiadanie Karty Ubezpieczenia Zdrowotnego nie było równoważne z aktualnym statusem ubezpieczenia. Niejednokrotnie po dwóch miesiącach od wykonania świadczenia placówka otrzymywała informację z NFZ o braku ubezpieczenia pacjenta, co w konsekwencji wiązało się z dużym nakładem dodatkowych czynności po stronie świadczeniodawcy, tj. korekty rozliczeń, korekty rachunków lub po prostu udzielaniem porad niefinansowanych przez NFZ osobom nieubezpieczonym. Dzięki tej funkcjonalności świadczeniodawca osiągnie kilka znaczących korzyści. W znaczny sposób zostanie uproszczona procedura związana ze sprawdzeniem uprawnień pacjentów, zostanie zminimalizowana liczba pomyłek związanych z ewidencją uprawnień pacjentów, uproszczony będzie proces weryfikacji uprawnień w systemie NFZ, co bezpośrednio wpłynie na proces rozliczania placówek zdrowotnych z płatnikiem, czyli NFZ. Dodatkowo w przypadku korzystania z potwierdzenia uprawnienia do realizacji świadczeń z systemu eWUŚ ewentualne roszczenia z tytułu błędnego statusu potwierdzenia ubezpieczenia będą dochodzone tylko po stronie NFZ – świadczeniodawca nie będzie obciążany z tego tytułu korektami pozycji rozliczeniowych. Na pytanie, jak eWUŚ funkcjonuje w województwie śląskim jest mi trudno odpowiedzieć jednoznacznie, ponieważ system ten funkcjonuje zbyt krótko – obowiązkowo od kilku dni. Jedynie mogę powiedzieć jak ten system funkcjonuje w mojej placówce – sprawnie i dobrze. Uważam, że skutki wprowadzonego systemu eWUŚ tak dla naszego regionu, jak i kraju będą pozytywne, a działanie tego systemu z pewnością ułatwi funkcjonowanie placówek opieki zdrowotnej i komfort pacjenta. Mam nadzieję, że eWUŚ w przyszłości sprawdzi się w praktyce w całym kraju i stanie się pierwszym krokiem w informatyzacji systemu opieki zdrowotnej.

W trosce o pacjenta

z Iwoną Borchulską, Przewodniczącą Ogólnopolskiego Związku Pielęgniarek i Położnych rozmawiała Joanna Wójcik



Fot. Bartłomiej Barczyk, Agencja Gazeta

Czy są jakieś szczególne problemy systemu ochrony zdrowia, którymi zajmuje się Związek na terenie Zagłębia Dąbrowskiego? Czy istnieje jakaś specyfika problemów tego obszaru?

Problemy pielęgniarek i położnych są podobne we wszystkich województwach. Na pewno też nie jest tak, że inne problemy mają pielęgniarki i położne pracujące na terenie Zagłębia, a inne na terenie pozostałych obszarów województwa śląskiego. Natomiast czasami widać pewne przełożenie, mianowicie jak władze w województwie są zagłębiowskie, to łatwiej nam jest przedłożyć i rozwiązać problemy Zagłębia.

Znaczącym problemem, zwłaszcza na terenie Zagłębia, jest brak osób, które chcą pracować w zawodzie pielęgniarki. Nalegamy cały czas na to, aby zawód pielęgniarki za-

czął być zawodem zamawianym, aby państwo partycypowało w kosztach kształcenia, bo jest to bardzo drogie kształcenie i obwarowane bardzo dużą ilością godzin dydaktycznych. Studia licencjackie mają obecnie 4720 godzin, co wskazuje na duże obciążenie pielęgniarek pod względem nauki. Dla porównania lekarz w programie kształcenia ma 5700 godzin. Na domiar złego nie przełącza się to później na status społeczny i finansowy. Powoduje to brak chętnych młodych kobiet do zawodu. W tej chwili średnia wieku pielęgniarki to 47–48 lat. W Zagłębiu jest to już znaczny problem. Młode pielęgniarki zostają w klinikach, gdzie mają praktyki, pierwszy kontakt z zawodem i tam później składają aplikacje o pracę. Rzadko chcą pracować w szpitalach zagłębiowskich.

Jak wygląda zagłębiowska struktura Ogólnopolskiego Związku Pielęgniarek i Położnych?

W każdym powiecie mamy organizację związkową: Sosnowiec, Będzin-Czeladź, Zawiercie, Jaworzno. Czasami jest to organizacjamiędzyzakładowa: Sosnowiec, Dąbrowa Górnicza. Wszyscy działacze naszego związku są aktywni, współpracują w Zagłębiu tworząc tzw. mikroregion sosnowiecki. Organizują wspólnie akcje, np. porady prawne dla członków związku w obrębie obszaru zagłębiowskiego w każdym ze szpitali.

Jakie postulaty z Pani udziałem zostały zrealizowane na terenie Zagłębia?

Niestety moje postulaty na terenie Zagłębia nie zostały zrealizowane, dlatego mamy takie problemy finansowe. Kiedyś ostrzegaliśmy władze sosnowieckie, że niezwracanie uwagi na problemy pielęgniarek i położnych skutkuje wyrokiem sądowym. Wygraliśmy dla pielęgniarek i położnych bardzo wiele spraw w Sądzie Pracy w Sosnowcu. To spowodowało namnożenie kosztów dla szpitali. Po drodze pojawiły się jeszcze odsetki.

Czy służba zdrowia, zarówno na poziomie krajowym, jak i w Zagłębiu, obecnie uznawana jest za obszar wolnego rynku?

W tej chwili jest to raczej wolna amerykanka, nie ma w ogóle zasady zabezpieczenia pacjentów w powiatach, co kiedyś miało miejsce, np. w Zagłębiu były Szpitale Powiatowe na okręg Będzina i Czeladzi, Szpital Powiatowy Zawiercia, Jaworzna, Sosnowca oraz Dąbrowy Górniczej. Ponadto był Szpital Wojewódzki zabezpieczający procedury wysokospecjalistyczne. W tej chwili zaczyna się ta struktura zmieniać, powiaty zaczynają ze sobą konkurować, w jednych jest więcej świadczeń, w innych mniej. Skutkuje to zagubieniem pacjentów. W mojej ocenie, jako osoby, która pracowała ponad 20 lat jako czynna pielęgniarka przy łóżku pacjenta, a teraz od kilku lat obserwuje to z punktu widzenia polityki zdrowotnej, nie przełożyło się to na lepsze funkcjo-

nowanie systemu ochrony zdrowia. Teraz w systemie mamy trzykrotnie więcej pieniędzy niż 10 lat temu, ale zadowolenie pacjentów i personelu jest trzykrotnie niższe. Status finansowy udało się poprawić lekarzom, ale to nie przełożyło się na jakość ich pracy, dlatego, że lekarze obecnie pracują w kilku jednostkach medycznych. Czas przemieszczania się fachowców pomiędzy różnymi placówkami trzeba opłacić. Zaczynamy tracić bezpieczeństwo pracy, względem pacjenta, ale też względem samych siebie, zaczynamy być firmami, a przestajemy być zespołem pracującym na rzecz pacjenta w zakładach opieki zdrowotnej.

Czy liczba placówek ochrony zdrowia jest dostosowana do ilości mieszkańców danego regionu? Słyszysz się, iż dobrze wycenione procedury, np. kardiologia inwazyjna oraz okulistyka w chirurgii jednego dnia są kontraktowane bez przelicznika na ilość mieszkańców, czyli bez żadnego kryterium. Czy jest tak również z innymi typami zabiegów na terenie Zagłębia?

Liczba placówek oczywiście nie jest dostosowana do ilości mieszkańców. Mówię tutaj o podstawowych dziedzinach, takich jak interna, chirurgia, ortopedia, ginekologia, położnictwo, pediatria, neurologia. Tutaj bezwzględnie powinna być zabezpieczona dostępność w powiatach. Natomiast ten wyższy poziom specjalistycznych zabiegów, jak np. kardiologia inwazyjna, neurochirurgia, powinny mieć ułożoną sieć dostępu na poziomie równomiernego rozłożenia dostępności do placówek. Szwedzi mają przelicznik jednego ośrodka kardiologii inwazyjnej na 500 tysięcy mieszkańców danego terenu, my w Sosnowcu mamy 2 takie ośrodki. Obok jest w Dąbrowie Górniczej. Nasuwa się pytanie, czy jesteśmy bogatsi od Szwecji, że na tyle nas stać? Takiego planu dostępności niestety nie ma. Powinien tym się zająć wojewoda jako ramię rządu. Wojewodowie powinni mieć plany zabezpieczenia świadczeń. Nie ma jasnych zasad w ochronie zdrowia, która przecież jest dużą częścią gospodarki Polski.



Fot. M. Gaczynski

Nie ma żadnego biznes planu, nie mówiąc już o jego realizacji. U nas jest wolny rynek, który przekłada się na nierówną dostępność pacjentów do lekarzy i pielęgniarek, a to przekłada się na cały kraj.

Pani zdaniem prywatne placówki „zagarniają śmietankę” finansowania najbardziej intratnych usług, a drogie w leczeniu powikłania trafiają do publicznych szpitali. Jak sytuacja ta przedstawia się w Zagłębiu?

Uważam, że ta sytuacja ma miejsce na terenie całego kraju, a Zagłębie nie jest tu wyjątkiem. Dzieje się tak z dobrze wycenionymi zabiegami, które kiedyś zasilają finanse na oddziałach, gdzie były wykonywane duże i kosztochłonne zabiegi. Dziś zabiegi te wchodzi niemal całkowicie w sektor prywatny. Dokumentacja medyczna pokazuje, że powikłania chorobowe pacjentów następujące w sektorze prywatnym są leczone w służbie publicznej.

Na terenie Zagłębia jeszcze występuje równowaga, jeśli chodzi o korzystanie pacjentów z publicznej i prywatnej służby zdrowia. W czasie strajku prywatnych placówek opieki podstawowej w 2006 roku prezydent Sosnowca mając połowę sektora ambulatoryjnego w ochronie publicznej, dał zezwolenie na przyjmowanie pacjentów do „jego” placówek, tym sposobem bezpieczeństwo

pacjentów zostało zachowane. Jeśli chodzi o tę kwestię, to okręg Zagłębia jest na razie wyjątkiem. Sektor prywatny w służbie zdrowia nie jest zły, ale powinien on być zrównoważony z sektorem publicznym. Wtedy pacjent jest bezpieczny.

Czy uważa Pani, że do podjęcia pracy w związku potrzebne są szczególne predyspozycje? Czy każdy może spełnić się w roli działacza związkowego?

Działacz związkowy niczym nie różni się od każdego innego lidera organizacji. Musi być operatywny, konsekwentny, konkretny, komunikatywny.

Jest Pani ważną postacią w Zagłębiu i nie tylko. Czy ma Pani jakieś przesłanie do naszych Czytelników w związku z postulatami związku? Czy jako obywatele możemy jakoś pomóc?

Myślę, że społeczeństwo powinno się zacząć upominać o pielęgniarki i położne. Osobiście rozumiem też czasami niezadowolenie pacjentów, tam gdzie pielęgniarki zaniedbują swoich podopiecznych, ale jest to wynikiem złej polityki w kierunku tego zawodu, zaniedbań pracodawców. Uważam, że społeczeństwo Zagłębia, ale też całej Polski powinno się upomnieć o ten zawód, który jest profesją naprawdę zagrożoną. Powinniśmy także wspólnie bronić publicznej ochrony zdrowia.

Lekarze o swojej pracy. Poziom zadowolenia zawodowego medyków w Zagłębiu Dąbrowskim

Joanna Wójcik

Profesja lekarza w świadomości społecznej wciąż funkcjonuje jako zawód szlachetnej misji, powołania: lekarz to ktoś, kto realizuje doniosłe zadania i służy dobru innych. Panuje powszechnie przekonanie, że osoby decydujące się na wybór zawodu medyka kierowały się swoimi zainteresowaniami i posiadaniem specyficznych predyspozycji funkcjonujących pod pojęciem „powołania zawodowego”. Jednak pamiętajmy o tym, że bycie lekarzem to nie tylko posiadanie społecznego prestiżu i autorytetu, ale także ciężka i odpowiedzialna codzienna praca, czasem w trudnych warunkach. Zawód lekarza wymaga wielu zdolności, np. interpersonalnych, komunikacyjnych, analitycznych.

Tempo i charakter pracy lekarza zależne są od wybranej specjalizacji oraz miejsca pracy. Bywa jednak i tak, że jest on zmuszony łączyć pracę w różnych miejscach, przeważnie ze względów finansowych. Wydawać by się mogło, że lekarze mogą rozplanować swój czas pracy, jednak w praktyce często pozostają aktywni zawodowo zdecydowanie dłużej, muszą bowiem liczyć się z dodatkowymi dyżurami, wypadkami, nagłymi wezwaniami czy potrzebą konsultacji. Lekarz to zawód, który powinien być pasją i życiową misją. To praca zarobkowa, ale i służenie innym, przywracanie im jakości, czasem także sensu i radości życia, a więc praca dająca satysfakcję i spełnienie. Jednak, czy faktycznie lekarze zadowoleni są ze swojej pracy zawodowej? Aby odpowiedź na to pytanie była podparta faktyczną sytuacją, pozwolę sobie przytoczyć fragmenty wyników badań prowadzonych wśród lekarzy Zagłębia Dąbrowskiego. Badania prowadzone były w 2012 r. na terenie miast Zagłębia wśród lekarzy pracujących w szpitalach.

W artykule rozpatrywane będą postawy lekarzy pracujących w Sosnowcu, Zawierciu, Czeladzi oraz Dąbrowie Górniczej.

Postawy zawodowe wobec pracy wśród lekarzy znajdują swoje odzwierciedlenie w czynnikach zawodowych, czyli stosunku lekarzy do własnej profesji, oraz w takich elementach jak stosunek do kolegów z pracy, przełożonych, warunków pracy. Dla zdecydowanej większości lekarzy zatrudnionych na terenie Zagłębia Dąbrowskiego postawa wobec zawodu jest zarówno stosunkiem do wykonywanych zawodowych obowiązków, jak i stosunkiem do środowiska społecznego pracy, czyli miejsca pracy, współpracowników, kierownictwa. Lekarze uznali, iż czynniki które wpływają na ich postawy zawodowe

to przede wszystkim relacje z pacjentami, satysfakcja zawodowa, stosunki między współpracownikami – lekarzami oraz uwarunkowania zawodowe (t.j. doświadczenie zawodowe, staż pracy, stanowisko pracy, tytuł naukowy, przynależność do organizacji zawodowych). Możemy zatem stwierdzić, iż na postawy zawodowe lekarzy Zagłębia nie ma wpływu wychowanie rodzinne czy kształcenie medyczne na studiach. Z jednej strony jest to zjawisko pozytywne, ponieważ waga przywiązana przez lekarzy do stosunków z pacjentami może wpłynąć na lepszą jakość komunikacji na linii pacjent-lekarz. Także fakt, iż lekarze cenią sobie dobre układy międzypracownicze jest pozytywnym aspektem. Jednak z drugiej strony niepokojące jest to, iż zdaniem lekarzy, kształcenie na studiach medycznych nie ma żadnego wpływu na ich późniejsze postawy zawodowe ani zadowolenie z pracy. W tym miejscu należałoby się zastanowić, czy rolą uczelni medycznej nie jest, poza nauczaniem, także przystosowanie do pełnienia roli zawodowej i kształtowanie pozytywnego podejścia do późniejszej pracy zawodowej. W związku z tym warto również podkreślić, iż zdaniem lekarzy ich stosunek do pracy zawodowej wyraża się w chęci podnoszenia własnych kwalifikacji zawodowych. Jest to niewątpliwie zjawisko pozytywne, ponieważ w zawód lekarza wpisana jest niejako ciągła nauka. Wynika to z ciągłego postępu w medycynie i farmakologii, unowocześniania technik terapii i opracowywania nowych typów chorób i sposobów ich zapobiegania.

Zagłębiowscy lekarze uznali, iż relacje z pacjentami mają duży wpływ na ich postawy zawodowe. Lekarze pracujący na terenie Zagłębia patrzą na swój zawód przez pryzmat nawiązanych relacji z chorymi, a to, czy te relacje są poprawne, czy nie, wpływa

na ich stosunek do własnej profesji. Wniosek ten napawa optymizmem, ponieważ jeśli lekarze Zagłębia chcą, aby ich podejście do pracy było pozytywne, będą starać się nawiązywać przyjacielskie relacje z pacjentami – mieszkańcami Zagłębia Dąbrowskiego, a to z kolei wpłynie korzystnie na samopoczucie i jakość leczenia chorych z obszaru Sosnowca, Czeladzi, Dąbrowy Górniczej i Zawiercia.

Badania zagłębiowskich medyków pokazały również, iż stosunek zdecydowanej większości badanych lekarzy do swojego miejsca pracy oraz grupy zawodowej jest pozytywny. Można zauważyć tu pewną prawidłowość. Tylko bardzo niewielka grupa lekarzy ma stosunek negatywny i są to wyłącznie zastępcy ordynatorów. Możliwe że postawa taka wynika z faktu, iż lekarze ci starali się o stanowisko ordynatora, jednak takiej posady nie uzyskali. Ponadto, również zdecydowana większość badanych lekarzy oceniła atmosferę panującą w szpitalu jako przyjazną dla medyków. Jedyne aspekty, w których lekarze upatrują zmian, to ilość zawodowych obowiązków, uregulowania czasu pracy oraz system pracy w szpitalu. Warto również zauważyć, iż bardzo nieliczni lekarze uważają, że atmosfera jest negatywna i są to wyłącznie mężczyźni. Możliwe, iż kobiety w odmienny sposób postrzegają atmosferę zawodową i stąd wynika powyższy rozkład odpowiedzi. Być może ów pozytywny stosunek lekarzy do swojego miejsca pracy wynikać może także z faktu, iż zdaniem medyków w ich szpitalu istnieje możliwość doksztalcenia się. Jest to możliwe za sprawą zagranicznych staży medycznych, dodatkowych szkoleń i kursów.

Lekarze Zagłębia deklarują, że między współpracownikami panuje solidarność zawodowa oraz chęć wzajemnej pomocy, co przekłada się także na przyjacielskie rela-

cje między lekarzami. Medycy podkreślają, iż ze współpracownikami łączą ich nie tylko relacje zawodowe, ale i prywatne, nieformalne. Dodatkowo, większość lekarzy oznajmiło, że w ich miejscu pracy nie występują konflikty między współpracownikami. Jedynym czynnikiem świadczącym na niekorzyść jest fakt, iż lekarze zgodnie uznali swoją pracę za stresującą, jednak fakt ten nie wynika z konkretnego miejsca pracy, lecz specyfiki zawodu lekarza.

Należy jeszcze podkreślić, że kształtowanie pozytywnych postaw zawodowych lekarzy powinno zainteresować instytucje i placówki medyczne zatrudniające lekarzy. Każdej instytucji medycznej powinno zale-

żeć na wytworzeniu możliwie najbardziej pozytywnych postaw wobec pracy. Instytucje te powinny starać się również, aby wytworzone już pozytywne postawy utrzymać. Sytuacja taka sprzyja lepszemu wykonywaniu czynności zawodowych. W przypadku lekarzy będzie to zmniejszenie stresu zawodowego oraz polepszenie stosunku do pracy. Przejawiać się to może w lepszej współpracy w zespole medycznym oraz w poprawnej relacji z pacjentem. Także chorzy skorzystają na tej sytuacji. Lekarz zadowolony ze swojej pracy w bardziej efektywny sposób komunikuje się z pacjentem, co pozytywnie wpływa na proces leczenia. Wówczas, gdy dana instytucja nie zabiega o wytworzenie pozytywnych

postaw zawodowych wśród pracowników, mamy do czynienia z sytuacją patologiczną, która negatywnie wpływa również na samą instytucję, prowadząc do jej degradacji. Brak sprawiedliwej polityki płacowej, niemożność awansowania, brak perspektyw zawodowych i możliwości doszkalania się, brak dbałości o przyjazną atmosferę pracy, wszystko to prowadzi do wytworzenia się negatywnych uczuć pracowniczych. Dlatego tak ważne jest kształtowanie pozytywnych postaw zawodowych. Pozytywne postawy zawodowe medyków to samozadowolenie lekarzy ze swojej pracy i niewspółmierne korzyści dla pacjenta oraz całego społeczeństwa. Pamiętajmy o tym również my – pacjenci.

W co gra przemysł farmaceutyczny? O tym nie usłyszysz w mediach

Victor Orwellsky

Jednym z najbardziej mglistych obszarów współczesnej nauki są badania genetyczne oraz farmakogenetyka. Dziedziny te dają wielką nadzieję dla ludzkiego zdrowia i rozwoju społeczeństwa. Jednak, tak jak i w wielu innych płaszczyznach, przedsięwzięcia tego typu nękane są przeciwnymi ideologiami politycznymi i filozoficznymi, a także żelazną już zasadą kierowania się interesami korporacyjnymi.

Musimy być bardzo ostrożni, kiedy przyglądamy się promowanym dziś programom badawczym i zasadom dokonywania odkryć w nauce, zwłaszcza w takich dziedzinach jak genetyka czy farmakogenetyka.

Przemysł farmaceutyczny przez lata twierdził, że takie zaburzenie jak autyzm ma podłoże genetyczne, idąc nawet tak daleko, aby sugerować, że to „oni” jako pierwsi odkryli gen, który go wywołuje. Podobnie w zakresie zaburzeń psychicznych, takich jak np. schizofrenia, wysuwana jest teza o jej dziedziczeniu oraz względach genetycznych. Jednak analiza dowodów, która powinna rzekomo wspierać te fakty, pokazuje wniosek dokładnie odwrotny. W rzeczywistości, większość tego typu chorób i zaburzeń ma charakter środowiskowy, są wywoływane chemicznie lub w wyniku osobistej „historii” doświadczeń.

Zgodnie z jedną z teorii, genetyka wyko-

rzystywana jest dziś do uzasadniania ograniczeń i kontroli populacji, autorytaryzmu i władzy elity nad masami. Wiele odkryć z jej dziedziny było i nadal jest trzymane z dala od opinii publicznej, podczas gdy co bardziej fantastyczne odkrycia promowane są w mediach na szeroką skalę i wchodzi do codziennego dyskursu. To oczywiście nie jest przypadek.

Musimy zrozumieć najnowsze odkrycia i późniejsze konsekwencje dla osób fizycznych, firm farmaceutycznych i przemysłu zdrowia w ogóle. Najnowsze badania (skutecznie blokowane przez korporacje) pokazują, iż firmy farmaceutyczne mogą być odpowiedzialne za wzrost przemocy, samobójstw i urazów psychicznych u wielu członków populacji.

Wszystko to za sprawą m.in. tajemniczych enzymów typu CYP450,

które związane są z produktami farmaceutycznymi. Konsekwencją tego jest nadmierne prawdopodobieństwo działań niepożądanych, co gorsza nie do końca możliwych do przewidzenia. Jedną z hipotez próbuje uzasadniać wzrost przemocy i przestępczości w USA poprzez wprowadzanie na amerykański rynek powszechnie dostępnych leków, których skutki uboczne nie są kontrolowane. Oczywiście taki poziom wiedzy nie może być reprezentatywny dla całej populacji, to byłoby sprzeczne z interesami

największych graczy przemysłu farmaceutycznego.



Bezmyślny kat

Henryk Kocot

28-letni Jan F. z Rudy Śląskiej miał za sobą trzy skazujące wyroki sądowe i tyle odsiedział w więzieniu. Namietnie też zaglądał do kieliszka. Nie inaczej było 28 grudnia 1993 r. Tego dnia po południu Jan F. biesiadował z ojcem, wypili trzy butelki wódki. Alkohol uspił syna. Na krótko.

Kac dał o sobie znać po dwóch godzinach. Dobrze znał lekarstwo na tę chorobę. Ubrał się i poszedł do kolegi, wspólnie wypili kolejne pół litra. Poczuł się trochę lepiej, więc około godz. 23.30 opuścił mieszkanie kumpla i udał się do domu. Po drodze zebrало mu się nagle na amory. Przechodził akurat w pobliżu mieszkania Doroty H., o której wiedział, że jest kobietą lekkich obyczajów. Poszedł więc do niej.

Lokatorkę zastał śpiącą. Była pijana. Położył się obok i zaczął się dobierać. To ją obudziło. Wówczas zaproponował wino. Dorota H. zgodziła się. Jan F. bez kłopotu zrobił zakupy, które szybko wypili. Wówczas przyszedł czas na miłość. Po krótkim odpoczynku mężczyzna ponownie dążył do zbliżenia, ale... Z akt sądowych: „Chciałem się z nią jeszcze raz kochać, ale ona już była za bardzo pijana i śpiąca. To mnie wkurzyło. Podniosłem z podłogi pogrzebacz i 10 razy uderzyłem ją w głowę”.

Mimo że była martwa, zabójca pobiegł do kuchni, znalazł tam nóż i kilkakrotnie ugodził nim Dorotę H. w głowę i szyję. Podczas zadawania ciosów zauważył leżący w kącie pokoju młotek. Odrzucił nóż i ważącym 2 kg młotkiem ponownie uderzył trupa Doroty H. w głowę, twarz i klatkę piersiową. Wówczas dopiero zauważył, że ona nie żyje. Miała wgniecione kości czaszki, a jedno oko wypłynęło. Zabrał więc radiomagnetofon i 10 żarówek choinkowych. Znalezionymi kluczami zamknął mieszkanie i poszedł do swojego domu, gdzie starannie uprał odzież, by nie wyglądać jak rzeźnik.

Martwą Dorotę H. znalazła nazajutrz córka i powiadomiła policję. Przybyli na miejsce funkcjonariusze ekipy dochodzeniowo-śledczej zabezpieczyli krwawe ślady: niedopałki, butelki po wódce i winie. Pokój denatki wyglądał jak miejsce kaźni. Krew pokrywała podłogę, ściany, a nawet sufit.

Inna krwawa zbrodnia zdarzyła się w Rudzie Śląskiej trzy miesiące później. W nocy z 15 na 16 marca 1994 r. 18 marca tegoż roku zgłosił się do dyżurnego IV Komisarjatu Po-

licji ojciec 23-letniego Adama N. Martwił się, że syn nie daje znaku życia. Powiedział także, że w mieszkaniu syna zobaczył na framudze drzwi ślady krwi. Dyżurny natychmiast wysłał patrol. Po wyważeniu drzwi policjanci zobaczyli leżące na podłodze zwłoki młodego mężczyzny. Były zmasakrowane, a całe mieszkanie zbryzgane krwią.

Policjanci szybko ustalili sprawcę. Odtworzyli po prostu ostatni dzień życia Adama N. Wiedzieli z kim go spędził. Zatrzymał Jana F., który wspólnie z ofiarą pił piwo w barze „Magic”, a potem razem pojechali do mieszkania ofiary. Tam wypili butelkę wódki. Co się później wydarzyło – wiemy z opowieści samego zabójcy i policyjno-sądowych ustaleń.

Z zeznań Jana F.: „Po wypiciu wódki zasnąłem. Ja obudziłem się pierwszy. Dopiero wtedy zauważyłem komputer „Amiga” wraz z osprzętem i magnetofon z kolumna-

Fot. ARC



mi. Postanowiłem ukraść te rzeczy, a właściciela zabić. W tym celu poszedłem do kuchni i zabrałem duży masarski nóż. Stałem nad śpiącym gospodarzem i uderzyłem go w szyję i w tył głowy. Wtedy złamało się ostrze noża. Przy tej okazji skaleczyłem sobie dwa palce prawej dłoni.

Później przeciągnąłem Adama N. na środek pokoju i położyłem na plecach. Gdy poszedłem do kuchni po dalsze dwa noże, słyszałem, jak gospodarz wzywał pomocy. Chciałem wbić mu ostrze w serce, ostrze skrzywiło się jednak, a drugi nóż złamał podczas zadawania ciosów”.

Przez cały czas Adam N. wzywał pomocy. Jan F. postanowił więc go udusić. Ręcznikiem i kablem obwiązał szyję ofiary. Ponieważ jednak ofiara wciąż żyła, ponownie poszedł do kuchni i zabrał ze sobą toporek do mięsa. Ciosy zadawał ostrzem i obuchem. Były tak silne, że w końcu złamał się trzonek. Te ciosy zabiły Adama N.

Jan F. przyznał się do obu zbrodni. Z brutalną prostotą wyjaśnił motyw. Dorotę H. zabił, ponieważ odmówiła mu odbycia stosunku. Adama N. zabił dlatego, że chciał ukraść mu komputer.

PS. Sąd Wojewódzki w Katowicach 22 czerwca 1996 r. skazał Jana F. na karę śmierci i pozbawienie praw publicznych na zawsze.

Powstanie styczniowe w Zagłębiu Dąbrowskim

Eugeniusz Januła

Zagłębie Dąbrowskie stanowiło ważny obszar przygraniczny zarówno Królestwa Polskiego, jak i całego cesarstwa rosyjskiego. Tu stykały się ówczesne granice trzech państw zaborczych, Austrii Prus i Rosji. Symbolem tej styczności, a zarazem współpracy zaborców w ramach Świętego Przymierza był słynny „trójkąt trzech cesarzy” położony w Modrzejowie, który dziś jest jedną z dzielnic Sosnowca.

Sytuacja przed wybuchem powstania

Obok znaczenia strategicznego w rozumieniu geopolityki Zagłębie stanowiło również ważny węzeł komunikacyjny o znaczeniu nie tylko regionalnym. Tędy przeprowadzono główną nitkę kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, która była i jest w dalszym ciągu jedną z najważniejszych komunikacyjnych arterii europejskich. Nieco później wybudowano wychodzącą z Sosnowca i biegnącą na Wschód, linię kolejową, która przez Kielce, Lublin i Dęblin łączyła Królestwo z cesarstwem rosyjskim. W Zagłębiu znajdowały się też dwa ważne nie tylko dla ruchu lokalnego przejścia graniczne, we wspomnianym wcześniej Modrzejowie oraz w Czeladzi.

Kapitałne w tym czasie położenie geopolityczne nie było jedynym atutem Zagłębia Dąbrowskiego. Kolejnym była istniejąca już w chwili wybuchu powstania styczniowego baza przemysłowa. Był to okręg przemysłowy o największym potencjale w Królestwie, ale również, co bynajmniej nie świadczyło dobrze o państwie carów, w całym ówczesnym cesarstwie rosyjskim. Tu trzeba dodać, że dopiero po powstaniu styczniowym w Rosji zaczął się przyspieszony rozwój przemysłu¹. Wtedy też rozpoczęto gwałtowną rozbudowę słynnych zakładów pułtowskich, podjęto też pierwsze duże inwestycje w przemyśle górniczo-hutniczym m.in. na. Uralu, w Zagłębiu Donieckim, w Moskwie, Petersburgu itd. Trzeba też dodać, że w tym okresie znaczna część przemysłu zagłębiowskiego pozostawała w rękach niemieckich. Znaczenie przemysłu zlokalizowanego w Zagłębiu Dąbrowskim doceniał już ok. pół wieku wcześniej Napoleon. Przekazał znaczną część Zagłębia, w tym również przemysłu, marszałkowi Lannesowi, ale z zadaniem natychmiastowego podjęcia produkcji zbrojeniowej na rzecz Wielkiej Armii². W ten sposób zakłady przemysłowe Zagłębia, szczególnie huty, produkowały na potrzeby armii Napoleona, jak i wojsk księcia Józefa, istot-

ne komponenty uzbrojenia oraz wyposażenia. Huty w Dąbrowie produkowały m.in. armaty, a zakłady kuźnicze w Niwce wytwarzały słynny karabin gładkolufowy wzór 1794, który należał w tym czasie do najlepszych na świecie. Później część przemysłu przeszła w ręce rządu Królestwa, poprzez bank, który stał się właścicielem m.in. huty „Bankowej” w Dąbrowie Górniczej. Ogółem na przemysł Zagłębia składały się kopalnie węgla kamiennego oraz huty i zakłady metalowe. Przy kopalniach funkcjonowały też zakłady pomocnicze, takie jak cegielnie, a nawet małe zakłady odzieżowe, warsztaty szewskie itd. Był to bowiem jeszcze okres, w którym bardziej opłacało się pracować metodami po części autarkicznymi, niż sprowadzać gotowe, chociaż lepsze i tańsze wyroby z dalekich odległości. Dopiero rozwój kolei żelaznych jako środka transportu mogącego przewozić wielkie masy towarów na dalsze odległości doprowadził do naturalnej przecież i znacznie bardziej efektywnej specjalizacji. Sosnowiec był stacją graniczną, stąd jego istotne znaczenie. Wybudowano wówczas, praktycznie w szczyrim polu, obszerne i nowoczesne budynki dworca kolejowego i komory celnej³. Te budynki po pewnych przebudowach stoją do dzisiaj i dają świadectwo solidności zarówno sztuki architektonicznej, jak i wykonawstwa. Dworce kolejowe wybudowano też w Maczkach, Ząbkowicach oraz w Będzinie. Wkrótce rozpoczęto budowę drugiej linii kolejowej, biegnącej od Sosnowca wzdłuż biegu Brynicy na wschód w kierunku Kielc, Lublina i dalej na wschód. Ta linia oprócz znaczenia ekonomicznego miała także bezpośrednie znaczenie militarne, przewożono bowiem tą linią oddziały wojskowe z głębi Rosji. Ale w chwili wybuchu powstania były gotowe tylko niektóre odcinki tej linii kolejowej. Tu trzeba nadmienić, co jest ważne również dla dziejów powstania, że pociągi na linii Warszawsko-Wiedeńskiej jeździły generalnie podczas dnia.

Na okres nocny zatrzymywały się na wyznaczonych przedtem stacjach i dalej ruszały rano. W ciągu powstania natomiast częściowo zrezygnowano z tej procedury, bo często trzeba było dowieźć wojska na czas. W takim wypadku najczęściej przed pociągiem jechała parowa drezyna z drużyną techniczną, która miała za zadanie usuwać ewentualne przeszkody. Powstańcy w ciągu powstania kilkakrotnie raczej rozkręcali szyny niż wysadzali tory. Rozkręcenie powodowało z reguły zaledwie kilkugodzinną przerwę w ruchu. Dopiero Romuald Traugutt, który był profesjonalnym specjalistą od wojsk technicznych (dzisiaj saperów, wówczas zwanych pionierami), doceniał rolę kolei w ogólnej logistyce militarnej i wydał rozkaz bezwzględного niszczenia torów, które obiektywnie znacznie ułatwiała działania i tak przecież silniejszemu przeciwnikowi. Możliwości wykonania tego rozkazu były już jednak bardzo iluzoryczne. Pozostający jeszcze w walce powstańcy nie posiadali zapasów materiałów wybuchowych, a trzeba pamiętać, że w tym okresie podstawowym materiałem nie był trotyl, heksagen czy plastik ani nawet dynamit, ale po prostu czarny proch, który był znacznie słabszym od wymienionych i na skuteczne wysadzenie torów trzeba było ok. 15–20 kg, ponadto był on niebezpieczny dla samych użytkowników. Pozostawała oczywiście sprawa kwalifikacji samych użytkowników, bo ładunek trzeba było odpowiednio wkopać, umocować, a także sporządzić – najczęściej wełniany – lont i też nasycić go prochem.

Armia rosyjska w chwili powstania przechodziła głęboki kryzys, którego główną przyczyną była bezprzykładna klęska Rosji w wojnie krymskiej⁴. Upadł, podtrzymywany od czasów Piotra Wielkiego, mit niezwyciężonej mocarstwowej Rosji jak również jej państwowego kręgosłupa, czyli armii. Wyżsi oficerowie armii rosyjskiej przeżyli klęskę w bardzo bolesny sposób, bo na Krymie poniesiono kilka znaczących klęsk,

a również, co było bardzo dotkliwe najbardziej zresztą dla mentalności oficerów, ponoszono klęski na froncie zakaukaskim, gdzie przeciwnikiem była tradycyjnie dotąd przegrywająca z rosyjską armią turecka. Dopełnieniem klęski była praktycznie samobójcza śmierć wybitnego władcy, jakim był Mikołaj I^o. Znaczna część oficerów przyjmowała śmierć cara jako coś prawie normalnego. System hierarchiczny, który był bardzo mocno ukształtowany również w kategorii świadomości społecznej, sprawiał, że w tym konkretnym wypadku, skoro car nie ukarał praktycznie nikogo za złe przygotowanie do wojny, to odpowiedzialność ponosił sam⁶.

Wbrew niektórym twierdzeniom, ani w całym Królestwie, ani też w Zagłębiu Dąbrowskim nie stacjonowały w przededniu powstania jakieś poważne siły wojskowe. Mimo starań dowództwa I Armii oraz Warszawskiego Imperialnego Okręgu Wojskowego dopiero późną jesienią 1862 r. do Królestwa sprowadzono dodatkowo Pierwszą Gwardyjską Dywizję Gwardii oraz cztery samodzielne gwardyjskie pułki. Gwardia była już uzbrojona w gwintowane sztucery odznaczające się dużą siłą przebijania oraz zwiększoną celnością. To był istotny atut.

W samym Zagłębiu oddziały rosyjskie nie były liczne ani zbyt dobrze uzbrojone. W koszarach będzińskich kwaterował formalnie pułk kozaków należący do stacjonującej w Częstochowie dywizji jazdy. Ale będziński pułk w tym okresie był typowym

działem szkieletowym; liczył tylko niecałych 500 Kozaków, a zadania utrzymania porządku na terenie Zagłębia, oczywiście wraz z policją, oraz konieczność dozoru granicy sprawiły, że siły tego pułku były rozproszone. Ponadto, Kozacy nie nadawali się do działań typowo liniowych. Przejścia graniczne, a tym samym komory celne były od jesieni 1862 r. dodatkowo chronione. Kompania piechoty liniowej ochraniała dworzec kolejowy i komorę celną w Maczkach oraz przejście graniczne w Modrzejowie. Pragmatyka tej ochrony wyglądała w ten sposób, że jeden pluton stacjonował w Maczkach, a pozostałe dwa w Modrzejowie. Logika takiego rozwinięcia trochę musi dziwić, bo oczywiście przejście graniczne, komora celna i dworzec kolejowy w Maczkach miały znacznie większe znaczenie niż przejście w Modrzejowie. Maczek jeden pluton raczej nie był w stanie obronić przed jakimkolwiek atakiem. Pojedyncze plutony piechoty kwaterowały też w komorze celnej na nowym dworcu kolejowym w Sosnowcu, przejściu granicznym w Czeladzi oraz stacji kolejowej w Ząbkowicach, które wtedy i jeszcze długo później były w regionie największym kolejowym węzłem. Doliczyć należy jeszcze na każdym przejściu granicznym po kilku żandarmerów, kilku funkcjonariuszy ochrony i nawet po kilkunastu celników. Wszyscy byli uzbrojeni i zobowiązani do ochrony i obrony swych placówek.

Trzeba jednak zauważyć, że nie było ja-

koś scentralizowanego dowództwa rosyjskiego w regionie, nie tworzyło go nawet przynajmniej do chwili wybuchu powstania dowództwo dywizji w Częstochowie. Zatem sytuacja była dla strony powstańczej korzystna, bo oddziały, w większości raczej oddziały, wojskowe i posiłkujące je funkcjonariusze innych rosyjskich służb byli związani koniecznością ochrony swych obiektów. Łączność między poszczególnymi placówkami polegała na wysłaniu, w najlepszym wypadku, wiadomości kolejowymi drezynami, a częściej jeszcze poprzez konnych lub pieszych gońców. Powstańcy mogli i powinni więc kolejno zdobywać poszczególne obiekty i obsadzać swoimi załogami.

Po stronie powstańczej od strony teoretycznej przygotowania do powstania były zaawansowane, a od strony organizacyjnej bardzo dobre. Na dowódcę powstania w Zagłębiu Dąbrowskim był wyznaczony jako komendant rejonu Jacek Siemiński, właściciel m.in. dworu w Zagórze, a jego posiadłości stanowiły logistyczny ośrodek przygotowań do powstania. W konspiracji brały też udział grupy kolejarzy z Sosnowca, Maczek, Sławkowa i Ząbkowic. Właśnie ci kolejarze organizowali i obsługiwali główny kanał przerzutu broni zakupionej na zachodzie Europy⁷. Trzeba zauważyć, że w całości broń transportowana była dalej, w Zagłębiu było jej bardzo niewiele. Również od strony politycznej sytuacja w tym regionie była bardzo sprzyjająca. Miejscowa ludność, a na pewno znaczna jej część, była nastawiona patriotycznie i znaczące grupy były zaangażowane w konspirację. Żyłó wówczas w Zagłębiu Dąbrowskim wielu robotników, którzy obok aspektu narodowego już w tym okresie wiązali z powstaniem nadzieje na poprawę położenia socjalnego. Planowano utworzenie w regionie zbiorczego pułku powstańczego, podzielonego operacyjnie na kilka samodzielnych batalionów operujących od granicznej Brynicy do rejonów Myszkowa i Olkusza.

Przyspieszony i wyjątkowo niekorzystny, dla obu stron konfliktu, wybuch powstania spowodował siłą rzeczy poważne zmiany po stronie powstańczej zarówno w planach mobilizacyjnych, jak i szkoleniowo-operacyjnych. Branka zarządzona przez A. Wielopolskiego przyniosła od razu olbrzymie straty. Powołani przymusowo do armii carskiej rekruci byli już dla

Artur Grottger, Bitwa, grafika z cyklu Polonia, 1863



strony powstańczej definitywnie straceni. Lokalnie było nieco lepiej. Rejestry poborowych w Zagłębiu Dąbrowskim nie były w urzędach uzupełniane na bieżąco i stąd powołania częściowo trafiły w tym regionie w próżnię. Ale i po stronie powstańczej system informacyjno-mobilizacyjny zawodził.

Powstańcze państwo zagłębiowskie

Do Zagłębia informacja o wybuchu powstania nie dotarła przez kurierów, tylko drogą pośrednią, przez kolejarzy oraz pasażerów przybywających z Warszawy. Zarządzono wtedy zbiórkę na wyznaczonym miejscu. Była to góra zamkowa w Będzinie. Według planów miała się tam zebrać około 1,5-tysięczna grupa powstańców. Ale jak się okazało, ta mobilizacja była zorganizowana źle. Zamiast półtoratysięcznego oddziału powstańczego, który mimo że słabo uzbrojony, miał od razu rano zaatakować, będzińskie koszary, aby zdobyć broń i wyposażenie, zebrało się na wzgórzu tylko około 400 powstańców. Co gorsza, nie przybyli również na miejsce zbiórki wyznaczeni wcześniej dowódcy.

Powstańczy major, Jacek Siemiński był ciężko chory, ale przecież byli wyznaczeni zastępcy, dowódcy poszczególnych pododdziałów itd. Ale na zbiórce olbrzymiej większości tych funkcyjnych po prostu nie było. Powstańcy, pozbawieni dowódców, nad ranem w większości się rozeszli. Przede wszystkim do domów, ale ok. 150 z nich wymaszerowało do innego miejsca zbiórki, pod Olkusz. Część znalazła się kilka dni później pod Ojcowem w warownym obozie powstańczym pułkownika Apolinarego Kurowskiego, mianowanego przez rząd powstańczy wojewodą małopolskim.

Jest również inna pozytywna przesłanka. Pierwszy oddział Mariana Langiewicza, działający w szeroko rozumianej Małopolsce, jeszcze przed okresu jego dyktatury stanowili w przeważającym stopniu głównie robotnicy przemysłowi z Zagłębia Dąbrowskiego. Ta pierwsza partia powstańcza Langiewicza, używając ówczesnego określenia, liczyła ok. 700–800 powstańców⁸. Jest to kolejny dowód poświadczający patriotyczną postawę społeczeństwa regionu, mimo jednoznacznie negatywnej organizacji początków powstania.

Wyzwolenie Zagłębia w pierwszej fazie walk mogło mieć dominujące znaczenie, może nie jeszcze dla wyniku powstania, ale na pewno dla pierwszej fazy walk.

Nadgraniczne położenie umożliwiało kontakt w pierwszej kolejności z zaborem pruskim, czyli Górnym Śląskiem, gdzie władze były ambiwalentnie nastawione do powstania w sąsiednim Królestwie. Po prostu bano się, że powstanie może ogarnąć narodowościowo polski Górny, a może i środkowy Śląsk. Ale z drugiej strony, władze pruskie nie miały nic przeciwko temu, aby powstanie osłabiło Rosję i zmusiło ją do zaakceptowania, prowadzonej od dłuższego czasu przez Prusy, polityki dążącej do zjednoczenia Niemiec, pod swoją egidą. Ponadto, Prusy sprzedawały stronie powstańczej



Apolinary Kurowski

niewielkie, i po wygórowanej cenie, ilości broni. Najczęściej przestarzałe gładkolufowe ładowane od strony lufy karabiny. Ale i to była cenna pomoc dla powstania. Pozostawała jeszcze pobliska Galicja, gdzie nastroje były wyraźnie propowstańcze, a również i pomoc materiałowa znacząco większa. Te względy, obok potencjału technologicznego, ekonomicznego i demograficznego, czyniły obszar Zagłębia jednym z newralgicznych w pierwszej fazie powstania. Dodatkowo sprzyjały możliwości opanowania tego regionu brak jednolitego dowództwa oraz mała liczba wojsk rosyjskich stacjonujących w Zagłębiu Dąbrowskim.

Wszystko wskazuje na to, że tę wielką szansę dostrzegł pułkownik Apolinary Kurowski, prowadzący intensywne szkolenie powstańców w obozie pod Ojcowem. Dysponował on dobrym przeglądem sytuacji,

bo jego pododdziały aprowizacyjne często zapuszczały się do Zagłębia i raportowały o zastanej sytuacji wojskowej i społecznej.

Pułkownik Apolinary Kurowski dostrzegł szanse militarnego opanowania Zagłębia Dąbrowskiego. Wątpliwe jest, że konsultował swój plan, a raczej koncepcję, z władzami centralnymi. Do akcji użył tylko części swoich sił zgromadzonych w Ojcowie. Oddział wydzielony, w liczbie ok. 150–170 powstańców pod jego osobistym dowództwem ruszył częściowo pieszo, częściowo furmankami w kierunku Zagłębia. Towarzyszył tym siłom wydzielony 50-osobowy oddział kosynierów pod dowództwem Teodora Cieszkowskiego⁹. 6 lutego 1863 r. maszerujący przez Ojców i Sławków oddział dotarł do Maczek, które nazywano wówczas ze względu na położenie – Granicą. Spodziewano się walki o zabudowania stacyjne i komory celne. Jednak okazało się, że rosyjski oddziałek wojska wraz z uzbrojonymi celnikami wycofał się pod osłonę kompanii piechoty do Modrzejowa. W rejonie Modrzejowa Rosjanie pomimo zimy budowali umocnienia polowe, kopali okopy, przygotowując się do obrony. Tu siły rosyjskie liczyły po wzmocnieniu przez pododdział z Maczek nawet 300 dobrze uzbrojonych i zaopatrzonych ludzi, czyli znacznie więcej niż mogli wystawić powstańcy. Co prawda siły pułkownika Apolinarego Kurowskiego rosły. Po opanowaniu Olkusza dołączyło do niego kilkudziesięciu ochotników. Odesłał ich jednak, co było naturalne, gdyż byli niedoszkoleni i nieuzbrojeni, do powstańczego obozu pod Ojcowem. Kolejne grupy ochotników dołączyły w Sławkowie i Maczkach. Ci zostali bezpośrednio włączeni do oddziału. Kurowski w czasie przemarszu ustanowił władze powstańcze w Olkuszu, powołał urzędników i lokalną gwardie narodową¹⁰.

Dalsze wydarzenia kształtują się jak w powieści sensacyjnej, świadczą też o dużym talencie operacyjnym i organizacyjnym Apolinarego Kurowskiego. W Maczkach wpadł w ręce powstańców stojący na stacji pociąg towarowy z dwoma lokomotywami. Powstańcy postanowili wykorzystać go do swoich celów. Lokomotywy ustawili na początku i końcu składu, ściany wagonów wzmocnili z pomocą miejscowych kolejarzy podkładami kolejowymi, tak że stały się one nie do przebiccia dla pocisków karabinowych przeciwnika, poza tym wycięto w tych samych ścianach otwo-

ry strzelnicze. W ten sposób powstał jeden z pierwszych zaimprovizowanych pociągów pancernych w świecie¹¹. Przed północą ten pociąg pancerny ruszył przez Żabkowice i Dąbrowę Górniczą do Sosnowca. Zarówno w Sławkowie, jak i Dąbrowie wysadzono kilkunastoosobowe patrole, których zadaniem było utrzymanie dworców kolejowych w razie ataku Rosjan. Ponieważ siły powstańcze w czasie marszu z Ojcowa powiększyły się też o ok. 30 koni, ta zaimprovizowana kawaleria pod dowództwem T. Cieszkowskiego posuwała się równoległe do pociągu, mając za zadanie niszczyć szarżę wszelki możliwy opór sił rosyjskich. Ale aż do samych zabudowań stacyjnych w Sosnowcu teren był wolny od sil okupacyjnych¹².

Obszerne i nowoczesne budynki stacyjne i celne w Sosnowcu w tym czasie stały w szczerym polu. Zabudowania miejskie, które stanowią obecnie centrum miasta, jeszcze wówczas nie istniały. Ten kompleks, mimo braku po stronie rosyjskiej artylerii, był stosunkowo łatwy do obrony. Stąd użycie niewrażliwego na ogień karabinowy pociągu pancernego było, jak się później okazało, bardzo dobrym pociąganiem taktycznym. Atakowano kompleks budynków w szyku pieszym i pod osłoną nocy. Mimo ciemności rosyjska załoga, która łącznie, tj. żołnierze, celnicy i funkcjonariusze ochrony, mogła liczyć od 40–70 dobrze uzbrojonych ludzi, strzelała bardzo celnie. Przede wszystkim, co okazało się już w pierwszej fazie walki, Rosjanie byli przygotowani do obrony i oczekiwali na atak. Siły powstańców, atakujące bezpośrednio budynki, liczyły ok. 140–170 ludzi, więc przewaga w kategoriach ówczesnych i współczesnych norm taktycznych, gdzie atakujący powinien przeważać w stosunku 3 do 1, aby istniała realna przesłanka sukcesu, nie była duża. Ponadto Rosjanie byli o wiele lepiej uzbrojeni. Co prawda, siły atakujących wspierało, ale tylko pośrednio, ok. 30 kawalerzystów oraz ok. 20 powstańców pozostałych w pociągu pancernym. Trzy ataki zostały przez stronę rosyjską odparte z dużymi stratami po obu stronach. Ale oczywiście większe ponosili atakujący bez żadnej osłony powstańcy. Dużą odwagą wykazał się bezpośrednio prowadzący atak Cieszkowski, który zresztą został ranny w rękę. Na niepowodzeniu trzech kolejnych ataków zaważył brak wykształcenia po stronie powstańczej. Nie byli

oni po prostu przyzwyczajeni do silnego ognia przeciwnika. Dopiero czwarty atak, prowadzony ze wszystkich stron, a posilko- wany ogniem z pociągu pancernego, który wjechał na stację tuż pod budynki dworca, przyniósł powodzenie. Powstańcy wdarli się przez kilka poprzednio zabarykadowanych drzwi do budynków¹³.

Ostatnia faza walki to przetrząsanie budynków, wyszukiwanie ukrywających się tam jeszcze Rosjan i rozbijanie ich. Grupa około 50 uzbrojonych Rosjan starała się uciec w stronę odległej zaledwie o jeden kilometr granicy pruskiej. Jednak nieoczenio-



Teodor Cieszkowski

na okazała się powstańcza kawaleria, która chociaż nieliczna, schwytła większość ludzi z tego oddziału.

Epilog starcia połączonego ze szturmem budynków dworca i komory celnej w Sosnowcu był bardzo pomyślny dla strony polskiej¹⁴. Rezultaty nie ograniczały się tylko do opanowania budynków i zdobycia ok. 70 karabinów i pewnych ilości amunicji. Łupem powstańców stało się przede wszystkim 600 tysięcy złotych polskich, co na owe czasy było bardzo dużą sumą. Straty po stronie powstańców, jak się okazało, ogółem nie były wielkie. Tylko trzech zabitych i 17–22 rannych. Straty po stronie okupantów były znacznie wyższe – 7 lub 9 zabitych, około 30 rannych i taka sama liczba jeńców, wśród nich kapitan piechoty. Ujętych żołnierzy przeciwnika wypuszczono, rannych razem z powstańcami uloko-

wano w szpitalach w Dąbrowie i Czeladzi. Rosyjskiego oficera wypuszczono na słowo, że do końca tej kampanii z Polakami walczyć nie będzie.

Tymczasem zaszła kolejna bardzo pomyślna dla powstania okoliczność. Przygotowana do obrony w rejonie Modrzejowa wzmocniona rosyjska kompania piechoty zamiast ruszyć na odsiecz swoim, na stację Sosnowiec, z obawy, że zostanie zaatakowana przekroczyła granicę pruską. Było to nic innego jak haniebne uchylenie się od walki. Co prawda zgodnie z kodeksem dyplomatycznym, uchwalonym na Kongresie Wiedeńskim rosyjscy piechurzy i celnicy powinni zostać internowani i rozbrownieni, ale konwencja rosyjsko-pruska, mimo że jeszcze nie podpisana, już w praktyce funkcjonowała. Po kilkunastu dniach, kiedy już powstańcy wycofali się z Zagłębia, rosyjski oddział, co prawda bez rozwiniętych sztandarów, wrócił przez przejście graniczne Modrzejów do Królestwa Polskiego.

Oprócz dowodzącego pułkownika Apolinarego Kurowskiego i wielu anonimowych bohaterów niewątpliwym beneficjentem wydarzeń w Zagłębiu stał się w wyniku ataku na dworzec w Sosnowcu dzielny dowódca kosynierów, a później kawalerii, Teodor Cieszkowski – za zasługi w boju do stopnia podpułkownika awansowany¹⁵.

Zagłębie Dąbrowskie było więc de facto wyzwolone i pozostawało terenem wolnym przez około dwa tygodnie. Kwaterę główną wojsk powstańczych urządzono w Dąbrowie Górniczej. Zdobyte pieniądze zużył płk Kurowski natychmiast, zakupując u będzińskich Żydów kozuchy i buty na potrzeby powstania. Znamienne jest, że miejscowi Żydzi sprzedali te elementy wyposażenia po znizonych cenach, a sami zebrali w swoim środowisku 10 tysięcy złotych polskich na potrzeby powstania, które przekazali płk. Kurowskiemu.

Formalnie w ciągu tego dwutygodniowego epizodu władzę sprawował w Zagłębiu Rząd Narodowy. Powstały różne urzędy, zorganizowano transport i, co bardzo ważne, podjęto produkcję uzbrojenia oraz sprzętu wojskowego na potrzeby powstania. Można potraktować podjęcie produkcji zbrojeniowej jako umiarkowany sukces. Wyprodukowano ok. 400 karabinowych elementów metalowych, do których już w okresie późniejszym wykonano części drewniane, wyprodukowano również cztery armaty, z których dwie nadawały się do użytku¹⁶.

Pomyślnie rozwijająca się sytuacja w Zagłębiu Dąbrowskim – bo trzeba dodać że pułk Kozaków z Będzina wycofany został już po kilku dniach powstania do Częstochowy – została przerwana niekorzystną dla powstania bitwą o Miechów. Ta batalia została wymuszona wkroczeniem do tego miasteczka rosyjskiego batalionu liniowego. Kurowski musiał interweniować i to natychmiast. To tłumaczy, dlaczego użył, nieprzydatnej w boju o obszar zurbanizowany i nieodpornej na ogień karabinowy, kawalerii. Ale praktycznie innego wyjścia nie miał. Posiadał informacje, że Rosjanie podejmują ofensywę, a jej pierwszym elementem jest właśnie opanowanie Miechowa, który miał kluczowe położenie w układzie komunikacyjnym z obszarem Gór Świętokrzyskich. Podciągnięcie piechoty musiałyby potrwać co najmniej cały tydzień. Sądził, że Rosjanie nie zdążyli się jeszcze umocnić w Miechowie i stąd jest szansa wyrzucenia ich z miasta przy pomocy szarż kawalerskich. Niestety poniósł duże straty i porażkę. W efekcie został pozbawiony stanowiska wojskowego naczelnika województwa krakowskiego¹⁷.

W samym Zagłębiu Rosjanie również



Francesco Nullo

podjęli działania ofensywne. Na początku niewielkimi siłami. Nocą z 28 lutego na 1 marca rozegrała się nierozstrzygnięta bitwa między kolumną rosyjską posuwającą się od strony Częstochowy a pozostającym dla obrony Zagłębia oddziałem Cieszkowskiego w Mrzygłodzie. Ale później wobec rosnącej przewagi rosyjskiej powstańcy musieli się cofać. 22 marca powstańcy przegrali niewielką bitwę pod Łazami. Olkusz i Maczki

utracili już 20 lutego, a sam Sosnowiec i Modrzejów 23 lutego.

Rząd Narodowy był bardzo zaniepokojony przebiegiem wydarzeń w Zagłębiu, ponieważ doceniano ważność strategiczną tego regionu. Ale na ewentualne odbicie utraconego terenu wobec zdecydowanie już defensywnego przebiegu powstania po prostu brakowało sił. Dopiero na przełomie kwietnia i maja 1863 roku udało się skierować w stronę Zagłębia, silny jak na tę fazę powstania, ok. 500-osobowy oddział pod dowództwem płk. Miniewskiego. W strukturze tej formacji funkcjonował też oddział włoskich ochotników „garybaldczyków” pod dowództwem jednego z bliskich współpracowników Garibaldiego płk. Francesco Nullo. Nocą z 3 na 4 maja oddział wkroczył do wsi Krzykawka. Tam w rejonie miejscowego dworku doszło do dużej bitwy z oddziałem rosyjskim. W trakcie tej, przegranej przez stronę polską, bitwy poległ Francesco Nullo. Jego mogiła znajduje się na starym cmentarzu w Olkusz. Sam przebieg fragmentu bitwy utrwalił na płótnie Juliusz Kossak. Oddział powstańczy nie zdołał się przebić do Zagłębia¹⁸. Kolejną bitwę powstańcy próbujący się przeдрzeć do Zagłębia przegrali pod Szyca-

Film o powstaniu styczniowym w Zagłębiu – nadal krąży w sieci

W 2010 roku stowarzyszenie regionalne Forum dla Zagłębia Dąbrowskiego, o czym pisaliśmy na naszych łamach, stworzyło film dokumentalny opisujący losy powstania styczniowego w naszym regionie. Blisko jedenastominutową produkcję wciąż można obejrzeć na stronie internetowej stowarzyszenia www.zaglebiedabrowskie.org lub na portalu YouTube.

Czy temat powstania wciąż budzi zainteresowanie? – z tym pytaniem zwróciliśmy się do Piotra Bieleckiego z FdZD. – Od czasu, kiedy kręciliśmy film, zauważyłem wzrost zainteresowania tematyką powstania styczniowego w naszym regionie. Zwracają się do nas szkoły, instytucje jak i osoby prywatne, które chciałyby wykorzystać film przy różnych okazjach. Poza tym produkcja zawierała kilka mało znanych ciekawostek, a także wyjaśniała, czemu znaczenie Zagłębia w trakcie powstania było wyjątkowe. Uważam, że upowszechnienie filmu podniosło historyczną rangę regionu. Ostatnia wieść niesie nawet, że obchody rocznicowe w Sosnowcu zaszczyli sam prezydent Bronisław Komorowski. Podsumowując, powstanie styczniowe jest jednym z ciekawszych epizodów, aczkolwiek nie jedynym wartym wyeksponowania – mówi Piotr Bielecki.



mi 7 maja 1863 roku. Ostatni niewielki oddział powstańczy wkroczył na krótko do Dąbrowy 28 maja. Ale ta grupa powstańców nie posiadała sił ani wyposażenia, które umożliwiłyby podjęcie walki o ponowne wyzwolenie Zagłębia Dąbrowskiego.

Jesień 1863 r. to już lokalnie nie tyle walki, ile próby przedarcia się uciekających powstańców przez granicę. Pułk kozacki wrócił do Będzina, jego żołnierze patrolowali tereny nad Brynicą i Przemszą. Bagniste i zarośnięte tereny w rejonie dzisiejszego sosnowieckiego dworca południowego oraz w Milowicach ułatwiały tego typu przedsięwzięcia. Co prawda, Kozacy za ujęcie lub też zabicie powstańców dostawali nagrody, ale wielu uczestników powstania, nawet kilkuset, zdołało się przedrzeć przez kordon graniczny. Po stronie pruskiej byli z reguły zamykani do więzień, natomiast austriackiej puszczani wolno. Przez pewien czas na jesieni 1863 r., a może nawet w zimie 1864 r., w obszarze granicznym między Milowicami a Czeladzią funkcjonował zakonspirowany szpitalik, w którym część rannych i chorych powstańców mogła uzyskać pomoc¹⁹. Odnotowano też wiosną 1864 r., potycz-

kę w Zagorzu. Prawdopodobnie grupa uciekających w kierunku granicy powstańców natknęła się na rosyjski patrol. Z tym incydentem wiąże się miejscowa legenda, według której powstańcy mieli dosłownie zniknąć między wieczorem a ranem, broniąc się w miejscowej kapliczce. Prawda jest bardziej prozaiczna. Powstańcy po prostu wykorzystali podziemia do nocnej ewakuacji.

Zagłębie Dąbrowskie w trakcie powstania styczniowego było jedynym większym obszarem wyzwolonym, gdzie obok aspektu czysto militarnego, działała też legalnie praktycznie przez okres dwóch tygodni, powstańcza administracja cywilna, organizowano produkcję nie tylko zresztą zbrojeniową itd. Część działań prowadzących do wyzwolenia tego regionu była oczywiście, jak podczas każdej wojny, czysto przypadkowa, ale można było też dostrzec przemysłane i celowe działania, prowadzące do rozszerzenia i utrwalenia tego minipañstwa powstańczego. Wielka szkoda, że powstańcze państwo zagłębiowskie było ważnym, ale tylko epizodem.

1 W.I. Lenin: *Rozwój kapitalizmu w Rosji*. W: Idem: *Dzieła*. T. 25. KiW. Warszawa 1973, s. 43 i nast.

2 A. Stasiak: *Przemiany stosunków mieszkaniowych w Zagłębiu Górnośląskim w latach 1850-1965*. Arkady. Warszawa 1971, s. 82-86.

3 J. Ziolkowski: *Sosnowiec. Drogi rozwoju miasta przemysłowego*. Warszawa 1972, s. 34 i nast.

4 E. Tarle: *Wojna krymska*. T.II, s. 253 i nast.

5 Mikołaj I zachorował na zapalenie płuc i mając poczucie winy za przegraną wojnę zakazał lekarzom go leczyć. Szerzej: E. Tarle: *Op. cit.* T.II, s. 189 i nast.

6 Ibid., s. 323.

7 WWW.Powstanie styczniowe w Zagłębiu Dąbrowskim. Wejście: 05.01.2013

8 S. Kieniewicz: *Powstanie styczniowe*. PWN. Warszawa 1983, s. 267-271.

9 Raport Apolinarego Kurowskiego, naczelnika wojskowego, woj. Krakowskiego do Tymczasowego Rządu Narodowego pisany 8 lutego 1863 roku. WWW.Powstanie styczniowe w Zagłębiu Dąbrowskim. Wejście: 05.01.2013.

10 Ibid.

11 Pociągów opancerzonych podkładami używano też w amerykańskiej wojnie secesyjnej. Szerzej: E. Januła: Gettysburg. „Przegląd” nr 24/2006.

12 Raport Apolinarego Kurowskiego..., op. cit.

13 Ibid.

14 Ibid.

15 *Wiadomości z pola bitwy z 18.II.1863*. W: *Prasa tajna 1861-1864*. T.III. PWN. Warszawa 1985, s. 211-214.

16 S. Kieniewicz..., op. cit., s.307-309.

17 WWW.Dąbrowa Górnicza. Powstanie styczniowe 1863. Wejście: 05.01.2013.

18 Ibid.

19 *Kronika parafialna kościoła rzymskokatolickiego w Milowicach*. Rękopis, s. 23.



Zima w mieście

Paulina Budna

Co prawda, zima w tym roku jest zmienna i oszczędnie gospodaruje śniegiem, nie oznacza to jednak, że musimy zamknąć się w domu i spokojnie czekać na pierwsze przejawy wiosny. Zima to również czas dla aktywnych!



Fot. MOSIR Sosnowiec

Nie od dziś wiadomo, że sporty letnie mają więcej zwolenników niż zimowe. Jednak to nie jest powód, aby w tym chłodniejszym okresie zaprzestać wszelkich działań na świeżym powietrzu. Wręcz przeciwnie, Zagłębie oferuje nam mnóstwo atrakcji, które mają uprzyjemniać czas w trakcie

zimowych weekendów. Tym bardziej że 11 lutego w naszym regionie rozpoczną się długo oczekiwane przez dzieci ferie zimowe. Jak powszechnie wiadomo, dzieci nie lubią się nudzić. A nic nie sprawi im większej frajdy niż zabawa na śniegu.

Przegląd zimowych atrakcji Zagłębia

należy rozpocząć od najpopularniejszego miejsca w regionie – góry w sosnowieckim Parku Śródula. Znajdujący się tam kompleks rekreacyjno-sportowy oferuje nam możliwość zjazdu na nartach i snowboardzie już od 8 zł za 10 wjazdów. Jeśli nie jeździmy jeszcze na żadnym sprzęcie, możemy go wypożyczyć i zapisać się do szkoły, która funkcjonuje na stoku. Na miejscu jest zamknięty ogródek piwny oraz telebim umożliwiający oglądanie transmisji z zawodów zimowego pucharu świata w skokach i biegach narciarskich. Obok stoku na oslej łączce swoich sił mogą spróbować mali zimowi zapaleńcy, którzy na razie do perfekcji opanowali zjazd na sankach lub jabłku. To idealna opcja dla tych, którzy nie chcą oddalać się za bardzo od domu. Ci, którzy stok na Śróduli znają już na pamięć, z chęcią odwiedzą inne zakamarki regionu w poszukiwaniu wrażeń. Nie zawiodą się, jeśli dotrą do miejscowości wypoczynkowej Morsko. Tam od lat już istnieją niezbyt długie, ale bardzo przyjemne trasy o średnim stopniu trudności, liczące ok. 400 m. Obok znajduje się również nartostrada leśna. Tutaj także nie musimy posiadać własnego sprzętu – wszystko, co potrzebne, znajdziemy na miejscu. Dla chętnych istnieje możliwość organizacji kuligu. W pobliżu Morska usytuowany jest kolejny stok narciarski – w Ciesowej, w gminie Pilica istnieją dwa wyciągi: 700- i 550-metrowy również z odpowiednim zapleczem. Fani nart biegowych także znajdą coś dla siebie. Profesjonalne trasy zostały przygotowane na malowniczych terenach w gminie Żarki oraz niedaleko niej.

Fot. MOSIR Sosnowiec





Fot. MOSiR Sosnowiec

Pod tym względem nie ustępuje im Dąbrowa Górnicza z trasą wokół jeziora Pogoria III oraz Eurocamping w Błędowie.

Zwolennicy deski i nart mogą czuć się usatysfakcjonowani. Co jednak z resztą zainteresowanych? Jak co roku, miasta Zagłębia oferują swoim mieszkańcom bezpłatny wstęp na lodowiska. W Sosnowcu znajdziemy je na terenie MOSiR-u oraz Białego Orlika w dzielnicy Zagórze. Tradycyjnie ślizgawka powstała również w Dąbrowie Górniczej na orliku przy Zespole Szkół nr 2. Pod tym względem od reszty nie odstaje Będzin, który oferuje zwolennikom łyżew możliwość jazdy na naturalnym lodzie, który pojawił się w miejscu boiska do gry w siatkówkę pla-

Fot. www.pogoria3.com.pl



żową. Z bezpłatnych ślizgawek można skorzystać także w Myszkowie i Koziegłowach.

Spragnieni mocniejszych wrażeń powinni postawić na coś nowego i jeszcze mało popularnego – bojery. Żeglarstwo lodowe, bo tak brzmi polska nazwa tego sportu, to nic innego jak zimowa kombinacja narciarstwa, surfingu i żeglarstwa. Pojazd, którym się poruszamy, czyli bojer (ewentualnie iceflyer), ma kilka odmian. Może składać się z żagla doczepionego do płóz, bądź z deski surfingowej przystosowanej do jazdy po lodzie. Miłośnicy iceflyerów rozpędzają się, jak mogą najbardziej i dzięki wbudowanemu żaglowi po chwili mogą poczuć, że latają. Co więc w tym takiego ekstremalnego? Ano to, że

bojery „fruwają” po zamrożniętym jeziorze! Zwolennicy tego sportu twierdzą, że najlepszym miejscem do jego uprawiania są Mazury, jednak i u nas nie brakuje śmiałków, którzy na jeziorze Pogoria próbują swoich sił w ślizgu lodowym.

Kolejnym nieco ekstremalnym sportem są z pewnością wyścigi zaprzęgów. W tym roku na początku lutego po raz drugi odbyły się Otwarte Mistrzostwa Ziemi Śląsko-Dąbrowskiej w wyścigach psich zaprzęgów. Zawody zostały rozegrane na trasach w pobliżu Eurocampingu w Błędowie. Chętnych do wzięcia udziału w konkursie było wielu tak samo, jak kibiców, którzy dopingowali swoich faworytów w trakcie wyścigu.

Wielkimi krokami zbliża się także VI Półmaraton Dąbrowski. Co prawda odbędzie się on dopiero pod koniec kwietnia, jednak już trwają zapisy, a chętnych z pewnością nie zabraknie. Jednak żeby dobrze wypaść w trakcie biegu, należy już zacząć trenować, do czego idealnie nadaje się nie tylko trasa wokół jezior Pogoria, ale każda alejka w parku w każdym mieście.

Jeśli wciąż opieramy się aktywności na świeżym powietrzu, na pewno znajdziemy coś dla siebie w zamkniętej przestrzeni hal, basenów, kortów i teatrów. Na dzieci będą czekać atrakcje zorganizowane przez miejskie domy kultury oraz kluby osiedlowe. Nieco starsi wybiorą się do kina, bądź umilą sobie wieczór ciekawą lekturą. Koniec końców najważniejsze jest, żeby te zimowe miesiące po prostu z godnością przetrwać. Bo jak mówi stare polskie przysłowie: „Byłe do lata!”

„Małe Zagłębie” cz. 1

Jacek Malikowski

Trudno uwierzyć, ale Ziemia Mierzęcicka była przez ponad 200 lat obszarem ekstensywnego wydobycia bogactw naturalnych – na przełomie XIX/XX wieku na obszarze od Gołuchowic poprzez Boguchwałowice i Mierzęcice po Nową Wieś stało ponad 20 szybików poszukiwawczych i wydobywczych. Można się zatem pokusić o nazwanie jej „Małym Zagłębiem”.

Na obszarze gminy Mierzęcice (do 1915 r. gmina Sulików z siedzibą w Mierzęcicach) występują po dzień dzisiejszy złoża surowców mineralnych – w większości wyeksploatowane już w XIX w. – takich jak: dolomity, rudy cynku i ołowiu, gliny ceramiczne oraz węgiel brunatny na północno-wschodnim krańcu. Ponadto wspomnieć trzeba o dobrych jakościowo wodach głębinowych, które też należą do ważnych bogactw naturalnych.

Pierwsze niewielkie zakłady przetwórcze zaczęły powstawać jeszcze w okresie istnienia Księstwa Siewierskiego. Wykorzystywały one zalegające w okolicy surowce. Należała do nich Kuźnica Przeczycza – istniejąca od połowy wieku XVII – którą S. Miczulski zaliczał do zakładów średniej wielkości. Posiadała ona 1 piec dymarski do przetopu rudy, 1 piec kowalski do wygrzewania żelaza oraz 1 ciężki młot mechaniczny do kucia żelaza, usytuowany między piecami. Piece miały osobne miechy mechaniczne. Wszystkie te urządzenia poruszane były osobnymi kołami wodnymi; używano kół korzecznich i walnych, tj. nasiębiernych i podsiębiernych. Ich dębowe wały obracały się na otwartych łożyskach, tzw. walnicach żelaznych lub dębowych. Stosowano dwa rodzaje młotów mechanicznych: podrzutowy i naciskowy. W kuźnicy znajdowały zastosowanie różnego rodzaju narzędzia potrzebne do wytopu żelaza, obróbki łupy i przekuwania surówki. W Przeczycach były to: 2 haki, 1 otuła, 1 stachła, 4 kleszcze wielkie, 7 kleszczy mniejszych, 1 ręczny młotek, 2 szrotzyny, 1 zynkierz, 1 szrotarka, 1 cep, 1 kijania, 4 taczki. Przy kuźnicy znajdowała się węgielnia, czyli szopa do przechowywania węgla drzewnego przywożonego z mierzęckiego lasu po wytleniu go w mielerzach. Drużyna szopa była przeznaczona na zwożoną z kopalni rudę żelazną, a różne jej gatunki składowano osobno. Wytop odbywał się następująco: dymarze do rozgrzanego pieca wsypywali na przemian rudę i węgiel. Opadający w szybie wsad uzupełniano, żużel zaś wypuszczano. Efektem tego procesu była bryła stałego żelaza zmieszanego z żużlem, zwana łupą. Dziennie wytapiano dwie łupy. Po obiciu z żużlu dzielono ją na części, następnie wygrzewano w piecu kowalskim i przekuwano. Tak otrzymany metal sprzedawano do Krakowa po dość wysokiej cenie¹.

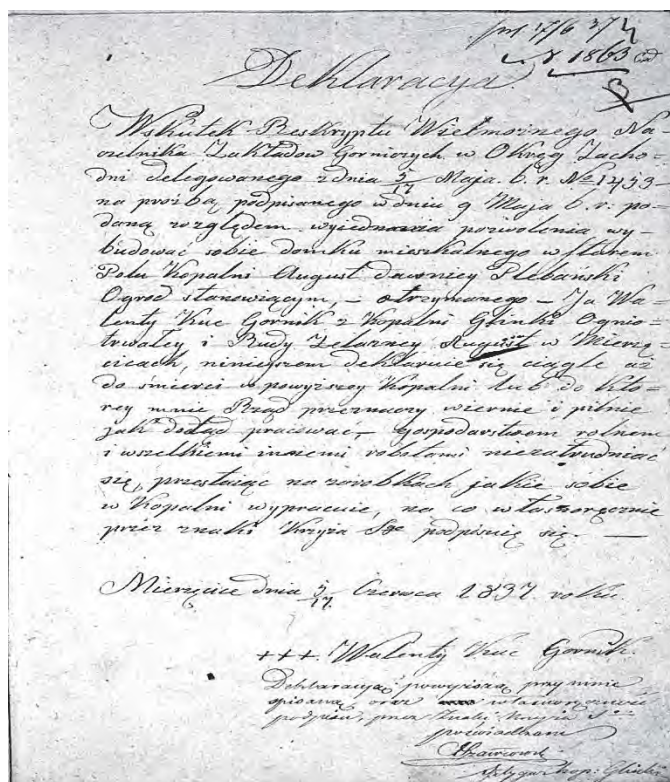
Już w 1795 r. ks. proboszcz targoszycki Jan Hantulski przedstawił Prusakom projekt ośrodka przemysłowego

na tzw. Kopaninie we wsi Mierzęcice. Został on zaakceptowany przez Królewsko-Pruską Kamerę Wojenno-Dominialną (*Kriegs und Dömanenkammer*) we Wrocławiu. Ratując parafię przed bankructwem, zaciągnął we Wrocławiu – na poczet przyszłych zysków z dzierżawy terenów pod wydobywanie – dług w wysokości 1000 talarów, na wybudowanie plebanii, szkoły, szpitala. Władze pruskie skierowały tu geologa Leopolda F. von Bucha, który przeprowadził badania występujących pokładów węgla brunatnego, nazywanego przez niego *morkohle* (bagnisty). To sprawiło, że po kilku latach stanęły tu pierwsze szybiki i pochylnie wydobywcze².

Wydobywana od XVIII w. ruda żelaza zalegała na niewielkiej głębokości, jednak jej eksploatację utrudniały wody podskórne. Dlatego konieczne było cembrowanie szybów i wylanie z nich wody. Na początku XIX w. czynne były w Mierzęcicach dwie kopalnie: rudy żelaznej „August” (1816) i glinki ogniotrwałej (1825)³.

Okolice stały się przedmiotem narastającego zainteresowania górniczego w 2. połowie XIX w. ze względu na wydobycie, ograniczone do kilku miejsc, różnego rodzaju kruszców. Kopaliny znajdowały się – jak trafnie określał W. Kuczera – na obszarze od Najdżiszowa, północnej części Nowej Wsi, Zawady, Sadowia I, Mierzęc bez Przykościela, dalej w kierunku Niwisk i lasu Szeligowiec oraz na wschód w stronę Zakamienia, Przymiarek i południowych Boguchwałowic. Na warstwach wapienia zalegały tutaj bardzo płytko, w formie gniazd, rudy cynku oraz żelaza. Były jednak niskoprocentowe i zawierały znaczne ilości wody⁴.

Deklaracja pracy górnika Walentego Kuca, zabiegającego o zgodę na budowę chałupy (1837). Fot.: APK, 839 Archiwum Górnicze z Dąbrowy Górniczej, sygn. 2312, k. 4





Kopalnie rządowe w Zachodnim Okręgu Górniczym w latach 60. XIX wieku. Fot.: R. Szwed, Powstanie styczyńskie w Zagłębiu Dąbrowskim, Warszawa–Kraków 1978, s. 17.

W okolicy istniały już od początku XIX w. – co widać na zamieszczonej mapce – kopalnie rudy żelaza w Strzyżowicach i glinki ogniotrwałej oraz glinki w Mierzęcicach i rudy żelaza w Boguchwałowicach i Najdżiszowie.

Nowa ustawa górnicza z 1844 r., odwołując się do art. 552 kodeksu cywilnego regulowała prawo własności ziemi z jej wnętrzem. Wszystkie surowce mineralne uznane zostały jako własność właściciela ziemi. Przepisy wykluczały możliwość odmówienia właścicielowi powierzchni zgody na otwarcie kopalni na jego terenie, ale zabraniano wydobywania minerałów zastrzeżonych (rudy metali, węgle kamienne) bez odpowiedniej koncesji. Należy zaznaczyć, że odpowiednie przepisy przewidywały także odszkodowania z tytułu zniszczeń na etapie poszukiwań, jak i eksploatacji surowców mineralnych. Jedną z wad ustawy była konieczność zabezpieczenia właścicielom gruntów (powierzchni terenu) połowy zysku kopalni, co wpływało negatywnie na potencjalnych inwestorów. Jak zapisano w art. 66: „Każdy zyskujący pozwolenie na prowadzenie sztolni lub inny zakład górniczy winien jest w miarę wielkości zakładu złożyć stempel od 50 do 500 złp., na którym to pozwolenie udzielone zostanie [...]”⁵.

W tej sytuacji prawnej przybywało zatem chłopów kopiących miejscową rudę żelaza, glinę ogniotrwałą i dostarczających surowiec własnymi środkami transportu do zagłębiowskich hut. Zachęcał do tego przywilej zwalnający ich od obowiązku służby wojskowej. Część z nich odrabiała w tej formie pańszczyznę, inni świadczyli usługi dostawy odpłatnie, np. do huty cynku „Joanna” (istniejącej do 1842 r.) w osadzie Niemce pod wsią Porąbka (zob. skan dokumentu).

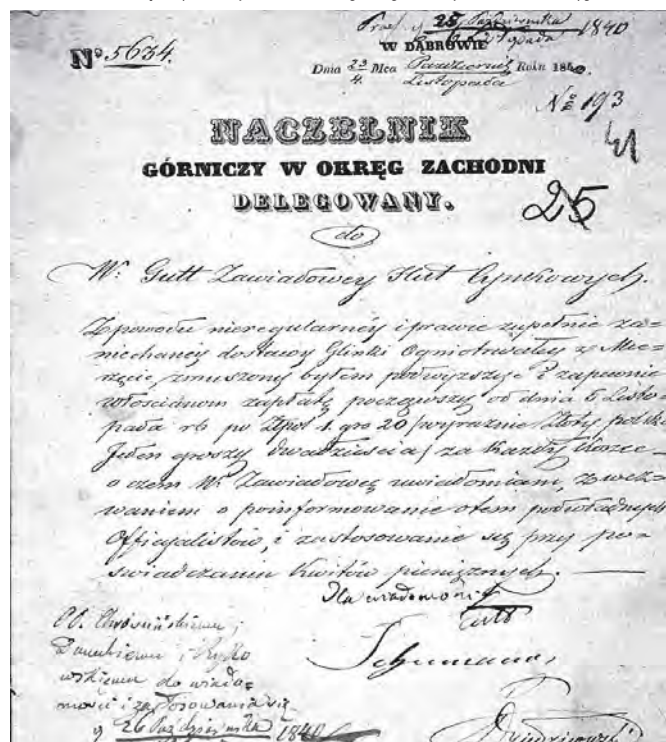
Naczelnik Górniczy Okręgu Zachodniego w sierpniu i wrześniu 1872 r. organizował licytację na transport

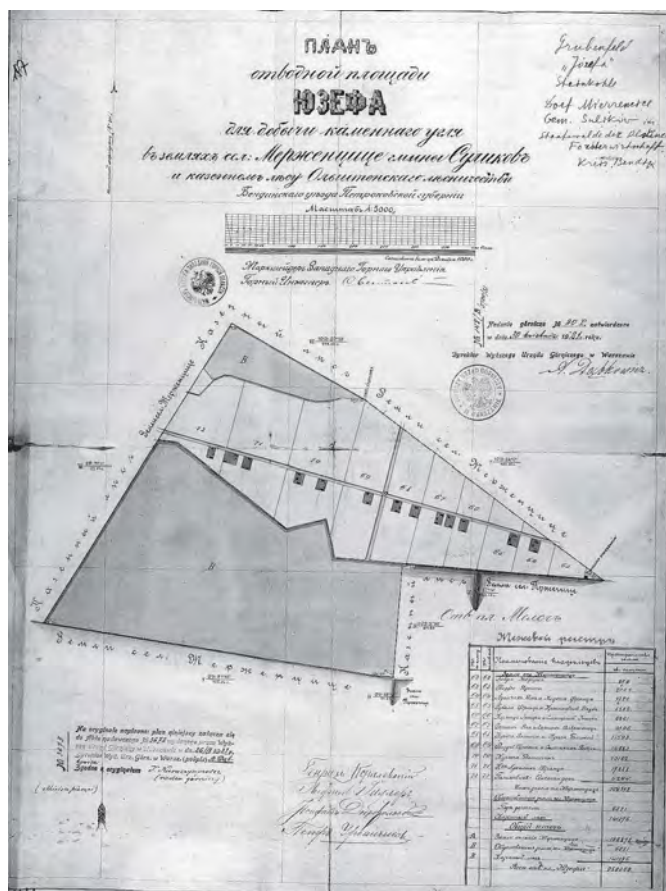
podwodami rudy żelaza i glinki ogniotrwałej z rudników w Najdżiszowie, Siemoni, Mierzęcicach i na Kadłubie do odlewni żeliwa w Hucie Bankowej czy w Pan-kach. Za samą dostawę glinki zalegającej na gruntach włościan Mierzęcic ustalono sumaryczną kwotę w wysokości 8575 rb. 65 kop. Wielu mierzęcickich, sadowskich i zendeckich chłopów za pieniądze lub odrabiając pańszczyznę woziło glinę furmankami do Huty Bankowa w Dąbrowie i do huty w Niemcach. W latach 1865–1866 do najwydajniejszych wozaków za pańszczyznę należeli: Kazimierz Krzykowski, Jacenty Cembrzyński, Leon Sołtysik, Maciej Cichoń, Józef Sołtysik, Wojciech Kocot, Izidor Sapiński, Tomasz Kurzeja, Maciej Kucze-ra, Sobestyan Stuczeń, Antoni Duda, Sobestyan Gil, Józef Szydło. Z kolei za pieniądze najwięcej korców glinki białej wywieźli w latach 1862–1865: Alojzy Wojdas, Maciej Cichoń, Ludwik Krzykowski, Szymon Gwóźdź, Paweł Wojdas, Walenty Knapik, Jacek i Kacper Kocotowie, Andrzej Cichoń⁶.

Dopiero postanowienie o poszukiwaniach i nadaniach górniczych z 10 maja 1873 r. oddzieliło własność górniczą od własności powierzchni ziemi, wprowadzając obowiązek uzyskiwania nadań na eksploatację węgla i rud. Wielu już wydobywających kopaliny zaczęło o nie zabiegać, także przez podstawionych figurantów.

Z konskrypcji rekruckiej – opartej na dokumencie pod nazwą Najwyższy Manifest z 1 XII 1870 r. – obejmującej także przysięgłych pracujących w Górnictwie Rządowym Okręgu Dąbrowskiego, można się dowiedzieć o zatrudnionych w Boguchwałowicach górnikach z powiatu olkuskiego (Feliks Dzierżanowski) czy ostrow-

Pismo Naczelnika Górniczego J. Schumanna w sprawie podwyżki zapłaty za glinę z Mierzęcic (1840). Fot.: APK, 839 Archiwum Górnicze z Dąbrowy Górniczej, Akta t. s. dowozu glinki ogniotrwałej do hut 1840–1843, sygn. 2313, k. 41





Plan nadania górniczego „Józefa” dla wydobycia węgla kamiennego na gruntach wsi Mierzęcice i lasu skarbowego leśnictwa Olsztyńskiego (X 1900) Źródło: APK, 840 Okręgowy Urząd Górniczy w Dąbrowie Górniczej, sygn. 337, k. 197

skiego (bracia Jan i Ignacy Michniewscy)⁷. Zmieniło to nowe prawo górnicze (przepisy o przemyśle górniczym w guberniach Królestwa Polskiego z 28 kwietnia 1892 r.) umożliwiające odraczanie i zwalnianie górników od służby wojskowej, co zachęciło miejscowych włościan do występowania do Ministerstwa Dóbr Państwa w Warszawie o pozwolenie na wydzielenie gruntu dla eksploatacji rudy żelaza i glinki ogniotrwałej. Każdy z wydzielonych działów miał mieć szyb i sztolnię z otworem na powierzchni tylko jednego działu. Już w latach 80. XIX w. odnotowano serię takich przedsięwzięć, jedno z nich opisał na swoich łamach we wrześniu 1889 r. piotrkowski „Tydzień”, wskazując na fakt wystąpienia do ministerstwa skarbu państwa włościan Sadowia: Franciszka Cembrzyńskiego – plac „Maria” o powierzchni 1 morga 177 $\frac{1}{2}$ prętów i Jana Krzykawskiego – plac „Antoni” o pow. 1 m 29 $\frac{1}{2}$ pręta. Z taką samą prośbą wystąpili włościanie wsi Mierzęcice: Józef Hyla, Jan Gwóźdź, Ignacy i Jan Cichoniowie, Jan Sołtysik starszy i młodszy na placu „Cichon” – pow. 7 morgów 242 pr.⁸. Na gruntach włościańskich w Nowej Wsi w lutym 1890 r. odkryto złoża rudy żelaza na powierzchni 13 morgów 232 prętów⁹.

Po 1892 r. od wielu okolicznych nadań górniczych nie były regularnie odprowadzane podatki skarbowe. Nie wszystkie też były eksploatowane, pomimo

że za przerywanie robót bez zezwoleń władz przepisy prawne groziły odebraniem własności górniczej. Jednak obowiązujące regulacje pozostawały martwą literą prawa, m.in. dlatego że ustalone maksymalne rozmiary pola górniczego wynoszące 150 000 sążni kwadratowych nie wystarczały do założenia głębiny kopalni, lecz pozwalały tylko na płytką. Właściciele niejednokrotnie traktowali je jako pola rezerwowe, które mogły być wykorzystane w czasie dobrej koniunktury gospodarczej¹⁰. Z powodu rosnącego popytu na rudę żelaza wielu inwestorów, licząc na łatwe zyski, zyskiwało pozwolenie włościan na poszukiwania górnicze i rejestrowało odkrywkę. Następnie przedstawiano plan wydobywania, często obejmujący także sąsiednie grunty. Nie zawsze jednak złoża przynosiło spodziewane zyski, co powodowało wygaszenie koncesji połączone z planem

МЕЖЕВОЙ РЕЕСТРЪ

КЪ ПЛАНУ

ОТВОДНОЙ ПЛОЩАДИ

„Чапля Завода № II”
для добычи желѣзной руды въ земляхъ,
протяжѣхъ селеній. Завода, Огоче
и Нова - Весъ
Будиминского уезда Нижегородской губернии

Rejestr mierniczy odkrywki rudy „Czapla Zawada nr IV” (1902). Fot.: APK, 891 Akta Gminy Sulików, K dѣlu, svѣdѣniju i rukovodstvu 1902, sygn. 355, k. 298

likwidacji szybu wydobywczego lub przeniesienie koncesji na innego przedsiębiorcę. Dotyczyło to m.in. generał-majora Antona Riesenka z Dąbrowy, Aleksieja Plemiannikowa z Dąbrowy, Oskara F. Preisa z Sielca, Henryka Berndta z Zawiercia, Henryka Koralewskiego z Dąbrowy, Gustawa Nordmana z Łagiszy, Romana Lipa z Piotrkowa, Izaaka Ingstera z Łodzi, Adama Piwozara z Dąbrowy, Jana Karniewskiego z Ząbkowic, Stanisława Wojtacha z Katowic¹¹.

W sierpniu 1902 r. koncesję otrzymała odkrywka rudy „Czapla-Zawada nr 4” Teodora Skawińskiego z Sielca i Juliana Grabiańskiego o pow. 152 836 sążni kwadratowych, na gruntach Sadowia i Nowej Wsi (Macieja Psikuty, Franca Kukuły, Stanisława Wylenzka, Bartłomieja i Wiktorii Białasów, Franca Pasamonika, Jana Krzykawskiego, Jana Woźniaka i Jana Jakubczyka, Macieja Cem-

brzyńskiego [24 111 sążni], Macieja Ferdyna [21 238 sążni], Józefa i Karola Kaimów) oraz Zawady (Szymona i Ignacego Czapłów [19 981 sążni], Franca Kaima, Szymona Sarnika i Józefa Tworka (zob. skan dokumentu)¹². W tym samym roku pracownicy Huty „Bankowa” z Toporowic: Balcer Cichoń, Ignacy Kocot, Stanisław Kocot i Antoni Kozieł zwrócili się o pozwolenie na wydobywanie rudy na swych gruntach¹³.

Coraz częściej dochodziło do oszustw polegających na rejestrowaniu na pojedynczym nadaniu po kilku szybków, jak również eksploataowaniu niezarejestrowanych szybków i zatrudnianiu do wydobywania rudy miejscowych rolników¹⁴. Tak było w 1905 r. z odkrywką „Lotar” w Mierzęcicach (o powierzchni 25 000 sążni kwadratowych) Henryka Berendta z Zawiercia współwystępującą z odkrywką „Jadwiga”, uruchomioną w następnym roku. Zapewne dotyczyło również sąsiadujących ze sobą odkrywek „Diana” i „Ceres” na gruntach Nowej Wsi, Zawady i Sadowia¹⁵.

W styczniu 1902 r. odkrywka „Pasternik” otrzymała przedłużenie koncesji przez Inżyniera Okręgowego Górnictwa Powiatu Będzińskiego Kandaltha, otrzymały je ponadto odkrywka „Antoni” w Sadowiu (Jan Krzykowski). Kilka miesięcy później ruszyły rudniki „Jadwiga” i „Lotar” Henryka Berendta z Zawiercia na gruntach Aleksego Wojdasa, Aleksandra Jakubczyka, Michała Drygalskiego, Sebestjana Wojdasa i innych o powierzchni 250 000 sążni kwadratowych. Przybywało stopniowo studni artezyjskich. Ich budowę przyspieszało Towarzystwo Wzajemnych Ubezpieczeń od Ognia, udzielając zapomóg włościanom w związku z często występującymi suszami w latach 1904–1905¹⁶. Terytorium gminy pokryte zostało w pierwszych dwóch dekadach XX w. szybkami górniczymi, które stawiano od Nowej Wsi poprzez Mierzęcice, Przeczyce, Boguchwałowice, Kuźnicę Sulikowską, Brudzowice, Piwoń aż do Gołuchowic¹⁷. Było ich 28 w latach 20. Koncesje obejmowały węgiel kamienny, węgiel brunatny, galman, rudę żelazną i błyszcz ołowiu.

W 1913 r. znajdowały się w gminie dwa zakłady produkcyjne: sulikowski browar zatrudniający 10 pracowników (kierownik Jaroslav Bradać), o produktywności rocznej 13 100 rb. i kopalnia węgla brunatnego „Teodor” w Gołuchowicach (zawodowca Ludwik Szwejner) z 12 pracownikami i produktywnością 10 000 rb. Majoratem Sulików w imieniu Margherity Suasius zarządzał Franz Vosper. Na handel składały się 2 rzeźnie, 10 trafik z wyrobami tytoniowymi, 4 kramy spożywcze i 1 traktoria III kategorii. Obroty handlu sięgały rocznie 18 725 rb. Chałupnictwo reprezentowało 10 kuźni, 2 warsztaty krawieckie, 1 zakład szewski, 2 ciesielskie – szczególnie dochodowe, tj. 1600 rb. rocznie, 1 stolarski i 1 wyrób rur. Uruchomiono ponadto w październiku 1913 r. odkrywkę węgla kamiennego „Wydmy” Konstantego Gartinga w Nowej-wsi na gruntach Stanisława Paksa, Stanisława Czapli, Antoniego Torbusa, Józefa Czapli, Piotra Muca, Antoniego Czapli, synów Piotra

Cesarza, Andrzeja Czapli, Józefa Cesarza, Bartłomieja Waławczyka, Wojciecha Kocota i innych o łącznej powierzchni 2 morgów. W styczniu 1914 r. inżynier powiatowy Nikola Trifichow zatwierdził nadanie górnicze na 250 000 sążniach kwadrat. rudnik „Przeczyce nr V” na gruncie Mikołaja Hyli i Michała Pawlikowskiego, rudnik „Dolina” na gruncie Antoniego Gnacka w Nowejwsi (250 000 sążni) i rudnik „Nowa Wieś nr II” na gruncie Mikołaja Kubika. Kilka miesięcy później ruszyła odkrywka „Irena” w Brudzowicach na gruncie Jana Góry i Antoniego Jurczyka¹⁸.

1 S. Miczulski, *Hutnictwo żelaza w księstwie siewierskim od średniowiecza do XVIII wieku (kuźnice dymarskie)*. W: *Siewierz, Czeladź, Koziegłowy. Studia i materiały z dziejów Siewierza i Księstwa Siewierskiego*, F. Kiryk (red.), s. 475–478.

2 APKie, 1 Urząd Gubernialny Radomski, Acta specialia t. s. zrewidowania rachunków z administracji klucza Sulikowskiego, sygn. 10 635, k. 2, 5; AACz, KK Spis fundatorów plebanii Targoszyce 1818, b.p.

3 *Poznaj swoją „małą ojczyznę” Zagłębie Dąbrowskie i okolice*, oprac. A. Zieliński, Sosnowiec 1991, s. 72; Z. Noga, *Słownik miejscowości księstwa siewierskiego*, Katowice 1994, s. 90–92.

4 A. Wójcik, *Józef Cieszkowski i jego wpływ na rozwój polskiego słownictwa górniczego*. W: *Górnictwo w czasie, przestrzeni, kulturze*, red. S. Januszewski, Wrocław 2007, s. 32; W. Kuczera, *Kronika*, t. I, s. 141.

5 H. Łabęcki, *Wiadomość o nowej ustawie górniczej Krakowskiej z d. 16 lipca 1844 roku*. „Biblioteka Warszawawska”, t. IV, 1844, s. 445–461; J. M. Bocheński, *Krakowskie prawo górnicze. Zbiór górniczych ustaw i rozporządzeń*, Kraków 1898, s. 45. <http://dlibra.bg.polsl.pl/dlibra/doccontent?id=137&from=FBC>, dostęp 8.07. 2011.

6 APK, 839 Archiwum Górnicze z Dąbrowy Górniczej, Kontrola poboru glinki ogniotrwałej z kop. August dla budowli okręgu 1861 [do 1866], sygn. 2318, k. 2–56; APK, 891 Akta gminy Sulików, Ob opublikowaniu o raznych akcyjnych targach 1872–1876, sygn. 18, k. 3–8.

7 APK, 891 Akta gminy Sulików, O pasportach vpu kraju, w Imperiju i zagranicę, a także o legitymacyjnych książkach 1871, sygn. 9, k. 12.

8 *Włościanie*, „Tydzień” 1889, nr 36, s. 2, http://bc.wimbp.lodz.pl/dlibra/doccontent?id=6661&from=&dirids=1&ver_id=7880&lp=1&QI=B4935BE4E2B6E4454A03C201E44562C4-41

9 *W powiecie będzińskim*, „Tydzień” 1890, nr 8, s. 4, http://bc.wimbp.lodz.pl/dlibra/doccontent?id=6684&from=&dirids=1&ver_id=7903&lp=1&QI=IFADC517B2F3032357F4996D150E7874-32

10 S. Jaros, *Słownik historyczny kopalń węgla na ziemiach polskich*, Katowice 1984, s. 13.

11 APK, 840 Okręgowy Urząd Górniczy w Dąbrowie, Księga rejestralna dla zgłoszeń [odkrycia minerałów] (ok. 1918–1939), sygn. 252, k. 48–49, 53, 57, 61–62, 66, 75, 80–86, 91, 104; Tamże, Akta dotyczące eksploatacji nadeń górniczych na rudę żelazną należących do Sosnowieckich Fabryk Rur i Żelaza przez Kopalnię Rudy Żelaznej w Mierzęcicach, sygn. 503, k. 125–167.

12 APK, 891 Akta Gminy Sulików, K dělu, svědění i rukovodstvu 1902, sygn. 355, k. 5–7, 8, 295–296, 298–99.

13 APK, 794 Komisarz do Spraw Włościańskich Powiatu Będzińskiego, Po selenji Toporovice Gminy Sulikov 1864–1906, sygn. 129, k. 135–136.

14 W. Kuczera, *Kronika*, t. I, s. 142.

15 APK, 891 Ob. odkryti kopi želěznoj rudy v sel[eni] Meržencie i perepiskę po semu dělu 1905, sygn. 422, k. 1, 4–6.

16 *Włościanstwo*, „Kraj” 1904, nr 40, s. 16.

17 APK, 840 Okręgowy Urząd Górniczy w Dąbrowie Górniczej, Spisy nadeń naniesionych na arkusze map w skali 1:25 000, obejmujące okręgi górnicze sosnowiecki i dąbrowski 1925, sygn. 255; Ibidem, Nadania górnicze ..., sygn. 273, 274, 275, 286, 287, 288, 296, 310, 321, 337, 346, 350, 355, 356, 376, 380, 390, 393, 404, 405, 406, 407, 409, 416, 458, 470, 485, 491.

18 APK, 891 Akta gminy Sulików, O statističeskich svěděníach 1914, sygn. 573, k. 86, 91–93, 152, 155–156, 164–168, 283, 424.

Stanisław Jarząbek. Najmłodszy ambasador

Czesław Ludwiczak

Stanisław Jarząbek, w dzieciństwie zwany Tuskiem, jest dyplomatą, który w służbie zagranicznej osiągnął prawie wszystkie najwyższe możliwe stopnie. Urodził się 1 stycznia 1937 roku w Jęzorze nierozewalnym z Niwką, w której zresztą wkrótce po przyjściu na świat zamieszkał wraz z rodzicami. Pochodził, podobnie jak zdecydowana większość postaci występujących w tej opowieści z rodziny robotniczej. Jego ojciec Jan był pracownikiem Centralnych Warsztatów Mechanicznych przemianowanych następnie na Wytwórnę Maszyn Górniczych im. Marcelego Nowotki, dziś już nieistniejącą.

Naukę rozpoczął w 1944 r. w Szkole Podstawowej w Modrzejowie, zresztą na krótko, bowiem po zajęciu budynku szkolnego przez wojska niemieckie uczęszczał na tajne komplety w organistowce i na plebanii kościoła w Nivce. Bezpośrednio po wyzwoleniu w roku 1945 kontynuował naukę w miejscowej Szkole Podstawowej, w klasie, której wychowawczynią była pani Kazimiera Witulska. Po ukończeniu szkoły podstawowej, w roku 1951 kontynuował naukę w Liceum Ogólnokształcącym im. Tadeusza Kościuszki w Mysłowicach, gdzie w 1955 r. otrzymał świadectwo dojrzałości. Z tego okresu z sentymentem wspomina takich pedagogów jak Kasper Dubiel, Aniela Ujma, Stanisława Czerwińska, Józef Krzysztof i Jan Kielbasa.

W tym samym roku podjął studia w Szkole Głównej Służby Zagranicznej w Warszawie na Wydziale Dyplomatyczno-Konsularnym. Po piątym roku studiów w ramach praktyki zawodowej skierowany został przez polskie władze do pracy w Międzynarodowej Komisji Kontroli i Nadzoru w Indochinach. Trzeba bowiem wiedzieć, że ową komisję tworzyły trzy państwa – Polska, Indie i Kanada. W ciągu dwóch lat (1961–1962) pełnił funkcje tłumacza polskich oficerów w Laosie i Wietnamie Południowym, posługując się językiem angielskim. W roku 1963 ukończył z wyróżnieniem studia w Moskwie z tytułem magistra.

W 1963 roku rozpoczął pracę w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, w którym

przeszedł wszystkie szczeble zawodowe, od najniższego, czyli referenta, do najwyższego szczebla urzędniczego, czyli dyrektora departamentu i szefa gabinetu ministra. W tym okresie odwiedził służbowo wszystkie kraje Ameryki Łacińskiej oraz pracował w polskich placówkach zagranicznych, zaliczając odpowiednie stopnie dyplomatyczne. Pełnił więc funkcje attaché, drugiego i pierwszego sekretarza ambasady. Dwukrotnie był także ambasadorem, w latach 1975–1980 w Peru i w latach 1982–1985 na Kubie. Ponadto w roli ambasadora akredytowany był także w Boliwii (w okresie swej pracy w Peru) oraz na Jamajce i na Grenadzie (w okresie pobytu na Kubie). Warto przy tym podkreślić, że wówczas kiedy pierwszy raz nominowany został ambasadorem miał dopiero 38 lat, co oznacza, że w całej polskiej służbie zagranicznej był najmłodszym dyplomatą pełniącym tak wysoką funkcję.

Zdarzało się, że podczas pracy w Ministerstwie Spraw Zagranicznych pełnił czasem rolę tłumacza ważnych osobistości przybywających do Polski z oficjalnymi wizytami. I tak było w dniach 6–13 czerwca 1972 r., kiedy wizytę w Polsce złożył Fidel Castro. Jarząbek jako odpowiedzialny w MSZ za stosunki z Kubą był współautorem projektu marszruty gościa po Polsce. W sekwencji zwiedzania Śląska i Zagłębia, w szczególności zaś Mysłowic i Sosnowca udało mu się także tak rozplanować trasę by orszak choć częściowo przejechał przez Niwkę. Kolumna podążała więc drogą z Mysłowic przez Modrzejów i skraj Nivki przez Wygodę do Sosnowca.

Służba dyplomatyczna daje często aktywnemu jej uczestnikowi okazje spotkania wielu interesujących ludzi, nie tylko ze świata polityki, ale i wielu innych dziedzin życia. Jedną z ciekawszych postaci, z którymi się zetknął jest laureat literackiej nagrody Nobla Mario Varga Llosa. Po raz pierwszy spotkał się z nim w roku 1968, kiedy pracował w polskiej ambasadzie na Kubie. Wtedy właśnie w Hawanie odbywał się Salon de mayo, czyli spotkanie lewicujących intelektualistów z Ameryki. Llosa był wtedy ul-

tralewicowcem i aktywnym członkiem owego zgromadzenia. I jakkolwiek Stanisław Jarząbek był tam tylko obserwatorem, to jednak los sprawił, że miał okazję zawrzeć z nim znajomość.

Następne spotkanie obu panów nastąpiło już w latach siedemdziesiątych, tym razem w Peru, gdzie Jarząbek był ambasadorem, a Llosa już tylko umiarkowanym i mocno antykomunistycznym liberałem. Nastąpiło ono podczas manifestacji przed polską ambasadą w Limie. W kraju tym działało polskie przedsiębiorstwo połowowe Rybex, dysponujące 13 statkami i zatrudniające około tysiąca peruwiańskich robotników. Niezadowoleni z płac robotnicy zagrozili strajkiem a swoje oburzenie demonstrowali właśnie pod ambasadą, zresztą pod chwytliwym na owe czasy hasłem: „Polonia socjalista, Rybex kapitalista”. Jednym z uczestników tej manifestacji był właśnie Llosa, który wprawdzie nie pracował w tym przedsiębiorstwie, ale wspierał żądania robotników.

Później było jeszcze kilka spotkań, bo pisarz przyjmował na ogół zaproszenia do polskiej ambasady w Limie na przyjęcia z okazji świąt państwowych, a czasem na zwykłą pogawędkę. Raz natomiast nastąpiła odwrotna wizyta. Otóż w 1978 roku do Limy przybyła znana polska para podróżnicza Elżbieta Dzikowską i Tonny Halik i przy okazji poprosiła ambasadora o ułatwienie im kontaktu z Llosą. Stanisław Jarząbek zadzwonił więc do pisarza, aby ten zechciał spotkać się w ambasadzie z parą podróżników. Tym razem jednak Llosa zaprosił ich do swojego apartamentu w Limie. Spotkanie przebiegło w przyjemnej atmosferze i utrwalone zostało na kilku zdjęciach. Wreszcie ostatnie spotkanie z pisarzem nastąpiło w latach dziewięćdziesiątych podczas kongresu Amerykanistów odbywającego się w Warszawie.

Losy dyplomaty wysokiego szczebla bywają często poplątane i tak było również w przypadku Stanisława Jarzębka. Dziś powiada, że poza dyplomacją istnieją również inne, ciekawe dziedziny życia, w których człowiek spełniać może swoje ambicje zawodowe.

Blisko, coraz bliżej – Bangladesz

Michał Kubara

Bangladesz to niewielkie państwo w Azji Południowej położone nad Zatoką Bengalską, a graniczące z Indiami i Birmą. Jego stolicą jest Dhaka. Kraj ten pojawił się na mapach świata w 1971 roku, a w następnym roku został uznany przez rząd PRL. Wtedy też powstała polska ambasada w tym kraju, a w 1974 roku otwarto ambasadę bengalską w Warszawie. Z naszego polskiego punktu widzenia Bangladesz to kraj egzotyczny i wciąż mało znany. A już na pewno mało kto w Polsce wie, że w roku 2010 w Sosnowcu powołano bengalski konsulat honorowy.

Mohammad Omar Faruque mieszka w Polsce od ponad 21 lat. W 1983 roku wyjechał ze swego rodzinnego kraju na studia inżynierskie do Moskwy, gdzie studiował budownictwo. Tam też poznał pochodzącą z Sosnowca swoją przyszłą żonę Katarzynę, która studiując rusycystykę przyjechała na jeden semestr do Moskwy. Państwo Faruque pobrali się w 1991 roku i zamieszkali w Sosnowcu. Mają dwie córki.

Założona przez M.O. Faruque firma „Ganges” importuje do Polski odzież z Bangladeszu. W 1997 roku firma rozszerzyła swoją działalność o branżę gastronomiczną, otwierając restaurację „Pipi Grill Steak & Salad Bar”, która następnie zmieniła nazwę na „Bombaj Tandoori”, serwującą potrawy kuchni orientальной. – *Mieszkając tak daleko od swego kraju wybrałem tę branżę, bowiem Bangladesz jest obecnie drugim po Chinach producentem odzieży gotowej na świecie. Ten biznes – import odzieży z Bangladeszu pomógł mi w reklamie mojego kraju na Śląsku i w całej Polsce. Po zamknięciu ambasady, ale i jeszcze w czasie jej działania zorganizowałem w Polsce wiele imprez kulturalnych związanych z Bangladeszem* – mówi pan Faruque. W roku 1998, w obecności ówczesnego ambasadora Bangladeszu odbyły się pierwsze w Polsce uroczyste obchody Dnia Zwycięstwa Bangladeszu, które miały miejsce w Teatrze Zagłębia. Gdy w 2002 roku Polska zamknęła ze względów ekonomicznych swoją ambasadę w Bangladeszu, w odpowiedzi na ten krok rząd bengalski zlikwidował swoją ambasadę w RP.



Mimo to Mohammad Omar Faruque postanowił kontynuować promocję bengalskiej kultury w Polsce. W latach 2008–2010 współorganizował odbywające się w Teatrze Zagłębia obchody bengalskiego Nowego Roku, przypadającego na dzień 14 kwietnia. Informacje na temat jego działalności kulturalnej dotarły do ambasady Bangladeszu w Holandii, która w owym czasie odpowiadała za kontakty z Polską. W uznaniu zasług w promocji Bangladeszu w Polsce, pani ambasador Ismat Jahan zaproponowała Faruque stanowisko Konsula Honorowego. Konsul objął swój urząd w 2010 roku, odrzucił jednak propozycję założenia placówki konsularnej w Warszawie. Przywiązany do Sosnowca, założył biuro konsulatu w budynku swej restauracji „Bombaj Tandoori” przy ulicy Partyzantów. Jako konsul honorowy nie ustaje w staraniach o większe rozprzeczanie swojego ojczystego kraju w Polsce. Z jego to inicjatywy,

26 maja 2012 roku w Sosnowcu obchodzono Dzień Kultury Bangladeszu. – *Chciałem, aby Dzień Kultury Bangladeszu pojawił się w kalendarium kulturalnym miasta i był obchodzony co roku* – wyjaśnia. – *Impreza odbyła się na terenie konsulatu; w programie prezentowaliśmy bengalski folklor: taniec i śpiew, występowały też polskie grupy folklorystyczne. Było wiele gier i atrakcji dla dzieci, w tym malowanie henną – bardzo ciekawa tradycja pochodząca z Bangladeszu, a także poczęstunek z bengalskiej kuchni. Można było też kupić wiele bengalskich gadżetów i suwenirów. Atmosfera była naprawdę sympatyczna*

na, przyszło około 600-700 osób, co było dobrą frekwencją, jak na pierwszy raz. Myślę, że wszystkim się podobało i że w przyszłym roku zwiedzających będzie więcej – podsumowuje konsul. Natomiast w roku 2011 w Teatrze Zagłębia odbyły się zorganizowane przez konsulat uroczyste obchody 150. rocznicy urodzin Rabindranath Tagore, indyjskiego artysty i filozofa. W organizacji imprez kulturalnych aktywnie wspierają konsula jego żona i córki.

W chwili obecnej Mohammad Omar Faruque zabiega o budowę w sąsiadującym z konsulem parku pomnika Męczenników Bangladeszu dla uczczenia ofiar krwawej pacyfikacji manifestacji studentów w Dhace w dniu 21 lutego 1952 roku. Wydarzenia te zapoczątkowały bengalską walkę narodowo-wyzwoleńczą, która zakończyła się uzyskaniem przez Bangladesz niepodległości niespełna 20 lat później. Dzień 21 lutego jest dziś obchodzony w Bangladeszu jako święto narodowe, a planowany pomnik będzie piątym takim obiektem w Europie.

Obok działalności kulturalnej konsulat zajmuje się również wspieraniem i umacnianiem wymiany gospodarczej pomiędzy Polską a Bangladeszem, która według konsula jest obecnie na zbyt niskim poziomie. Mohammad Omar Faruque gorąco zatem zachęca do inwestowania w Bangladeszu i jako konsul aktywnie pomaga wszystkim zainteresowanym w załatwianiu koniecznych formalności. W przyszłości planuje także organizację w Katowicach wielkich targów firm bengalskich. Marzy też o budowie w Sosnowcu lub na Śląsku centrum kultury Bangladeszu, służącego jako miejsce organizacji imprez kulturalnych związanych z tym krajem oraz jako punkt pośrednictwa handlowego między Polską a Bangladeszem.

Energiczna działalność konsula Bangladeszu niezwykle wzbogaca sosnowiecką ofertę kulturalną, toteż z uwagą śledzić będziemy jego kolejne przedsięwzięcia. Czekamy na z pewnością jeszcze wiele niezwykłych spotkań z kulturą tego odległego dla większości Polaków kraju, który dla nas, Zagłębiaków, stał się już o wiele bliższy.

Smutny koniec cementowni

Zabytkowa cementownia w Grodźcu jest nieużywana już od 33 lat i nieubłaganie popada w ruinę. Władze miasta nie mają pomysłu na rozwiązanie tego problemu. Czy sprawa w końcu znajdzie swój pozytywny finał?

Fot. arch.



Cementownia w Będzinie Grodźcu powstała w 1857 r. jako pierwsza w ówczesnym Królestwie Polskim. Wtedy była znakiem nowoczesności będzińskiego grodu. Jednak teraz staje się utrapieniem nie tylko dla władz miasta, ale przede wszystkim dla mieszkańców, którzy uważają, że ruiny cementowni stanowią zagrożenie dla przebywających na jej terenie osób.

Będzin miał plany na zagospodarowanie nieużywanych od dawna budynków cementowni. W 2008 r. miasto zgłosiło się do Europejskiego Programu Współpracy Transnarodowej EUROPA ŚRODKOWA 2007–2013 i otrzymało dotację przedmiotową dla projektu „Międzynarodowe Działanie na rzecz Partnerstwa Publiczno-Prywatnego / ACT4PPP”. Urzędnicy przygotowali dwie propozycje rewitalizacji obiektu. Pierwsza zakładała stworzenie przestrzeni kulturalno-biurowej, która stałaby się miejscem odpoczynku dla mieszkańców, druga natomiast przewidywała stworzenie miasta-ogrodu przeznaczonego wyłącznie do celów kulturalnych. Wszystko oczywiście przy zachowaniu pierwotnego charakteru budynków. Projekt był szeroko dyskutowany, trwały nawet ekspertyzy terenu. Znaleźli się również inwestorzy, którzy prowadzili rozmowy z władzami miasta. Urzędnicy zapewniali, że rewitalizacja cementowni to tylko kwestia czasu, ponieważ plany już

były i brakowało jedynie funduszy. Całość inwestycji miała pochłonąć ponad 100 mln zł.

Niestety, rzeczywistość przerosła plany władz miasta. Nawet dofinansowanie z Unii Europejskiej nie zdołało całkowicie pokryć kosztów stworzenia planów oraz ich realizacji. Projekt rewitalizacji został zarzucony na 2 lata. Jednak sprawa cementowni w Grodźcu powraca jak bumerang. Mieszkańcy dzielnicy skarżą się, że zabudowania stały się miejscem spotkań i za-

baw młodzieży oraz, co gorsza, dzieci. Stałymi bywalcami okazują się również złomiarze. Stare budynki cementowni powoli rozsypują się i w niedługim czasie mogą grozić całkowitym zawaleniem. Specjaliści obawiają się, że zabytkowej cementowni nie da się już uratować, a jedynym rozsądnym rozwiązaniem jest zrównanie jej z ziemią. Byłaby to ogromna strata dla przemysłowej historii miasta. Będziński magistrat próbuje uspokajać mieszkańców: „Zależy nam na tym, aby cementownia nie była dalej dewastowana. Prowadzimy rozmowy z potencjalnymi inwestorami, których inwestycyjne zamiary względem zagospodarowania tego obiektu są zróżnicowane” – mówi **Agnieszka Siemińska**, rzeczniczka prasowa Urzędu Miejskiego w Będzinie. Jedyną przeszkodą jest przymus zachowania dotychczasowego charakteru cementowni, dlatego po raz kolejny powstały dwie koncepcje zagospodarowania opuszczonych budynków: jako strefy kulturalnej oraz mieszkaniowej.

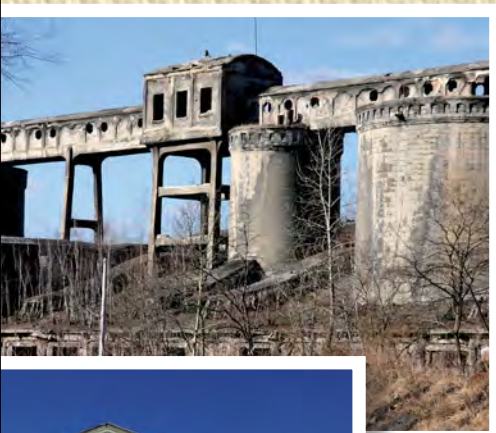
Pomysł, choć odważny i ciekawy, raczej nie ma większych szans powodzenia. Część ruin cementowni w Grodźcu zostanie poddana rozbiorce, część zabezpieczona na podstawie wpisu na listę Śląskiego Wojewódzkiego Rejestru Zabytków. To pozwoli miastu starać się o dodatkowe fundusze, które są potrzebne do usunięcia niebezpiecznych pozostałości zabudowań. Będziński magistrat jest nastawiony do sprawy optymistycznie. Plan inwestycji i zagospodarowania starej cementowni został umieszczony w zapisach Strategii Rozwoju Miasta Będzina na lata 2012–2020.

Paulina Budna



POSZUKAJ W SWOJEJ BIBLIOTECE

KATALOG ZABYTKÓW TECHNIKI PRZEMYSŁOWEJ ZAGŁĘBIA DĄBROWSKIEGO



Śląskie. Pozytywna energia

zawiercie

Urodził się w 1951 roku. Studia w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, wydział grafiki w Katowicach. Dyplom w 1976 roku. Obecnie profesor – prowadzi pracownię plakatu w Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach. Uprawia plakat, drzeworyt, collage, rysunek, malarstwo i projektowanie autorskie. Wystawia na ważnych pokazach grafiki i plakatu w kraju i za granicą: Warszawa, Kraków, Katowice, Rzeszów (Polska); Lahti, Helsinki (Finlandia); Toyama, Ogaki (Japonia); Paryż, Chaumont, Rouen, Grenoble (Francja); Chicago, Waszyngton, Colorado, Ames (USA); Koln, Düsseldorf, Berlin, Heilbronn, Essen (Niemcy); Winterthur, Fribourg, Zurich (Szwajcaria); Wenecja, Mediolan, Cremona (Włochy); Sofia, Warna (Bułgaria); Brno, Praga (Czechy); Bratysława, Trnava (Słowacja); Sevilla (Hiszpania); Ljubljana (Słowenia); Mous, Bruksela (Belgia); Ballart (Australia); Budapeszt, Pecs (Węgry); Kijów (Ukraina); Moskwa (Rosja) oraz Indie, Iran, Chiny i Meksyk.

Ważniejsze wystawy indywidualne: Katowice, Kraków, Łódź, Warszawa, Poznań i inne (Polska); Heilbronn, Braunschweig, Düsseldorf, Essen, Berlin, Dachau (Niemcy); Bruksela (Belgia); Thiant, Grenoble (Francja); Kansas City (USA); Londyn (Anglia); Budapeszt, Pecs (Węgry); Kijów, Czernichów (Ukraina); Sztokholm (Szwecja); Helsinki (Finlandia); Mińsk, Grodno, Witebsk (Białoruś).

Regularnie bierze udział w międzynarodowych wystawach, sympozjach, warsztatach, m.in.: Istanbuł (Turcja) „Grafist 99” – Mimar Sinan University – 1999 r.; Tel Aviv (Izrael) „Vital” Center For Design Studies – 2000 r. Santiago i Vina del Mar (Chile) Universidad Diego Portales i Universidad Vina del Mar – 2005 r.; Indiana University of Pennsylvania (USA) – 2006 r. Współautor i współrealizator (wspólnie z Joanną Piech) realizacji sakralnych (polichromie, malarstwo, witraże) w kościołach pw.: błogosławionej Karoliny Kózkówny w Tychach i Matki Kościoła w Katowicach.

Zdobył wiele nagród i wyróżnień. Tworzy obrazy, plakaty, grafiki, znaki graficzne, ilustracje, scenografie teatralne, wnętrza kościołów i klubów muzycznych.

Roman Kalarus





Roman Kalarus. „Rysunek jest najważniejszy”

Podczas wystawy zatytułowanej „Kalarus i już” zorganizowanej przez Sosnowieckie Centrum Sztuki – Zamek Sielecki od 12 października do 4 listopada prezentowano prace mistrza plakatu. Wystawa miała charakter retrospektywny, zebrano prace wykonane w różnych technikach, warto bowiem pamiętać, że plakat jest tylko jednym z obszarów zainteresowań artysty. Profesor Roman Kalarus prowadzi pracownię plakatu w katowickiej Akademii Sztuk Pięknych. W Sosnowcu jego charakterystyczne plakaty można oglądać na afiszach promujących coroczne Sosnowieckie Dni Literatury, w przestrzeni miejskiej pojawiają się również zrealizowane przez Kalarusa projekty plakatów wspierające akcje społeczne.

W odautorskim komentarzu do wystawy – zatytułowanym „Rysunek jest najważniejszy” – profesor podkreśla istotność rysunku w warsztacie artystycznym twórcy. Wskazuje na rysunek jako podstawową umiejętność artysty plastyka. Ta ważna sugestia odnosi się do renesansowej koncepcji *disegno*, w której odnajdujemy prekursorskie sformułowanie myśli o twórczym charakterze widzenia i postrzegania (zob. Janusz Krupiński: „Di, segno, o”. *Renesansowa idea „disegno” jako teoria estezy świata*. „Estetyka i Krytyka” nr 7/8 (2/2004 – 1/2005)). *Disegno*, rozumiane jako „rysunek”, „projekt”, „intencja” stanowi uchwycenie zarysów myśli i pomaga utrwalić ulotne pomysły w formie szkiców poprzez określenie konturów oraz kształtów.

Roman Kalarus wykorzystuje w swoich plakatach aluzje kulturowe oraz przedstawienia alegoryczne. Często odwołuje się do

tradycji symbolicznej, zarówno sakralnej, jak i narodowej (np. fortepian Chopina będący jednocześnie białą-czerwoną flagą). W pracach Kalarusa mamy do czynienia z wyrafinowaną intelektualnie grą znaczeniami symbolicznymi.

Profesor Kalarus nie unika kontrowersyjnych motywów erotycznych. Wykorzystuje detale powycinane z pism pornograficznych i tworzy z nich zaskakujące kolaże. Dużym zaskoczeniem dla widza może być na przykład interpretacja tajemniczego uśmiechu Mony Lisy. W jego grafikach przejawia się zainteresowanie fizycznymi atrybutami męskości i kobiecości, artysta dokonuje prowokacyjnych przesunięć elementów fizjonomicznych (wycięte usta lub oczy są umieszczane w miejscu wagin). Wydaje się, że oczy przedstawione w tak nietypowym miejscu zostają zwrócone w stronę widza, który ogląda drzeworyty i kolaże. Uprzywilejowanie oka jako narzędzia poznania i zestawienie go z perwersyjnymi motywami erotycznymi odsyła do twórczości francuskiego pisarza i filozofa Georgesa Bataille’a oraz jego prowokacyjnej książki „Historia oka”.

W ramach podsumowania warto zwrócić uwagę na trafne słowa kuratorki wystawy Małgorzaty Malinowskiej-Klimek „Tak więc w twórczości Romana Kalarusa na przemian przewija się liryzm i satyra, subtelność i dosadność. (...) Obie postawy czerpią z natury człowieka, w której stale ścierają się przeciwstawne siły”. To właśnie niejednoznaczna i paradoksalna natura człowieka staje się wyzwaniem dla refleksji pobudzonej przez prace profesora Kalarusa.

Adrian Witczak



Lądek w Sławkowie

18 stycznia 2013 r. w Dziale Kultury Dawnej Muzeum w Sławkowie odbył się wernisaż poplenerowej wystawy Stowarzyszenia Miłośników Fotografii z Sosnowca pt. „Lądek 2011”. Wystawa jest podsumowaniem letniego pleneru fotograficznego, w którym uczestniczyli członkowie Stowarzyszenia Miłośników Fotografii działającego przy Klubie im. Jana Kiepurę w Sosnowcu. O działalności grupy i samej wystawie opowiedzieli: opiekun artystyczny SMF, prezes Okręgu Górskiego ZPAF Zbigniew Podsiadło oraz prezes stowarzyszenia pani Joanna Bratko-Lityńska.

Plener odbył się w Lądku Zdroju, a terenem poszukiwań artystycznych fotografów była cała Kotlina Kłodzka, zaliczana przez koneserów do najbardziej ciekawych turystycznie regionów Polski. W wystawie udział biorą: Zbigniew Podsiadło, Zdzisław Biernas, Joanna Bratko-Lityńska, Ewa Chrapka, Jerzy Chrapka, Ireneusz Czechowicz, Dawid Juszczyk, Joanna Kawoń, Marek Lityński, Wojciech Skórka, Teresa Solarz, Wiesława Stawarz, Leszek Wolski, Zbigniew Zdzienicki.

Wystawę można oglądać do końca lutego 2013 r.



Fot. J. Kawoń



Fot. Zbigniew Podsiadło

Ekspozycja w zabytkowych wnętrzach. Fot. I. Czechowicz



Demony wojny według Hollywood

Będzie skandal. Według twórców filmu „Wróg numer jeden” w Polsce znajdowało się tajne więzienie CIA. Czy jedna krótka scena opatrzona napisem „Gdansk, Poland” wywoła reakcję naszej dyplomacji, która dość już się nabiedziła prostując wypowiedź prezydenta Obamy dotyczącą polskich obozów koncentracyjnych? Pewnie nie, choć amerykańska widownia znowu dostanie o Polsce informacje, które robią z nas kraj Trzeciego Świata i stawiają w jednym rzędzie z Afganistanem czy Pakistanem. Ale nie uprzedzajmy faktów.



Doskonale pamiętam ciepłe letnie popołudnie 11 września 2001 roku. Właśnie wróciłem do domu, gdy zadzwonił mój ojciec, krzycząc „Włącz telewizor! Pentagon się wali! Koniec świata!” Tych ostatnich słów użył na pewno. Chwilę później już wiedziałem o tragicznych zamachach na World Trade Center. Reżyser Kathryn Bigelow nie pozwala nam zapomnieć tamtych chwil. Początkowa sekwencja jej filmu to pozbawiony obrazu zapis rozmów z miejsca, które później stało się znane jako Ground Zero. Dalej jest już tylko mocniej. Bo gdy opadł kurz, a życie w Ameryce odzyskało swój rytm, zaczęła się wojna. Nie tylko ta w Afganistanie i później w Iraku. Także zupełnie inna, cicha wojna.

„Wróg numer jeden” to kronika pościgu za Osamą bin Ladenem. Kronika ukazująca sukcesy i porażki, w której każdy atak wywołuje odwet. Kolejne etapy polowania są oddane z niemal dokumentalną precyzją. Film zabiera nas w szaloną podróż dookoła świata, podczas której oglądamy kolejne przesłuchania, naloty komandosów, zamachy w Arabii Saudyjskiej i Wielkiej Brytanii. Nie brakuje tutaj ani scen akcji, ani żmudnej pracy wywiadowczej. Część z ukazanych wydarzeń robi wrażenie, bo słyszymy o nich po raz pierwszy. Część jest nam doskonale znana z mediów, ale przez to w jeszcze większym napięciu czekamy na tragiczne chwile, które i tak muszą nastąpić.

W czasie pogoni za bin Ladenem oglądamy nie tylko strzelaniny i wybuchy, ale również mrówczą pracę, analizę poszlak, ślepe zaułki i mylne tropy. Szczegółów jest tyle, że nie chcemy uronić ani jednego dialogu, ani jednej informacji. Ostatnim filmem tak wiernie ukazującym każdy detal był „JFK” Olivera Stone’a. Tam pieczołowicie zrekonstruowane śledztwo w sprawie zamordowania amerykańskiego prezydenta doprowadzi-

ło do gorącej dyskusji i odkrycia nowych faktów. Tutaj też poznamy pracę śledczych od kuchni, ale spora część układanki, rzecz jasna, pozostaje tajemnicą.

„Wróg numer jeden” mimo wszystko nie jest przecież dokumentem i swój sukces zawdzięcza także świetnemu aktorstwu. Grająca główną rolę Jessica Chastain naprawdę dała z siebie wszystko. Podobnie jak w oscarowym „The Hurt Locker. W pułapce wojny”, poprzednim filmie wyreżyserowanym przez Kathryn Bigelow, prawdziwe gwiazdy pojawiają się w epizodach. Są wśród nich znakomity Mark Strong i znany z „Rodziny Soprano” James Gandolfini. I choć wojna kojarzy się z mężczyznami, to kobiety są tutaj na pierwszym planie. To one szantażują, pociągają za spust i giną po obydwu stronach barykady. Kobieta jest nawet narzędziem tortur, gdyż bycie rozebranym do naga w jej obecności jest dla przesłuchiwanego muzułmanina okrutnym poniżeniem. Rozpoczynające film sceny tortur spowodowały zresztą ostry sprzeciw niektórych amerykańskich senatorów. Ale przecież dla speców z CIA podtapianie i zamykanie człowieka w skrzyni to nie tortury, a jedynie „techniki rozszerzonego przesłuchiwania”...

Bigelow na pewno umie wywoływać kontrowersje. Partia Republikańska w USA obawiała się też, że „Wróg numer jeden” będzie hołdem złożonym ku czci prezydenta Obamy. Jednak w rzeczywistości obrywa się wszystkim politykom po równo. Tutaj w ogóle nie ma podziału na dobrych i złych, bo wszyscy kłamią, oszukują, ranią i zabijają. Nawet nakręcona z wielką dbałością o szczegóły scena ataku na kryjówkę bin Ladena daje



do zrozumienia, że zawsze będą ginąć niewinni ludzie. Poza tym, czy ściganie terrorystów wszystkimi dostępnymi środkami nie sprawia, że stajemy się tacy jak oni? I jaki jest sens spędzania dziesięciu lat i wydawania setek milionów dolarów w celu schwytania jednego człowieka?

Zakończenie filmu napisało samo życie. Szef Al-Kaidy został zlikwidowany, ale to nie oznacza, że niebezpieczeństwo minęło. Niewidoczna wojna ciągle trwa i jeszcze długo będzie inspiracją dla filmowców. Pozostaje sobie życzyć, aby wszystkie ich dzieła były tak dobre jak „Wróg numer jeden”. Jego twórcom udało się złożyć hołd ofiarom walki z terroryzmem nie popadając przy tym w banal i typowy amerykański patos. Gorąco polecam.

Jakub Wesecki

Hobbitem być

Miłośnicy może nie tyle fantastyki – jak zwykle się nazywać wszystko, co wykracza poza doświadczalny świat – lecz raczej legend i podań wyrosłych z kultury anglosaskiej za-pewne się udali do kin, aby poprzez jakże nowoczesne 3D przenieść się w krainę baśni. Chodzi oczywiście o tę baśń, której bohaterem jest sympatyczny niziołek imieniem Bilbo.

Monika Bednarczyk



Dlaczego hobbity?

Bilbo Baggins reprezentuje rasę hobbity – istot o nikczemnym wzroście, które mieszkają wewnątrz ziemi w rozległych norkach o krętych korytarzach. Lubują się w słodkim lenistwie, spędzając chętnie czas nieopodal paleniska i suto zastawionego stołu. Nasz Bilbo zrywa jednak z ukształtowanym przez wieki stereotypem przywiązanego do swej norki hobbita i wyrusza w podróż swojego życia: tam i z powrotem. Jego przygoda będzie miała poważne konsekwencje dla całej „fantastycznej” krainy Śródziemia stworzonej przez J. R. R. Tolkiena. Za sprawą tej przygody zostanie nieco odwieczona w czasie wojna na śmierć i życie z odradzającym się Okiem Zła – Sauronem.

Zostawmy jednak kwestię ratowania Śródziemia, kwestię magicznego pierścienia, który Bilbo wygra w mrocznej jaskini z napotkaną przypadkiem postacią. Zastanówmy się, cóż takiego urzeka nas w opowieściach Tolkiena, czego w nich szukamy?

Nie jest to nowoczesna fantastyka, choć za sprawą ekranizacji kolejnych tomów

za taką uchodzi. To jednak coś więcej, to system równoległego świata skonstruowanego tak precyzyjnie, iż jego wiarygodność trudno jest podważać. Mamy więc wrażenie obcowania z legendą o bohaterach i ich niezwykłych czynach. Wrażenie realności, czy też prawdopodobności i jednocześnie nieuchwytność owego baśniowego świata fascynuje czytelników oraz widzów nieprzerwanie.

Gdzie jest człowiek?

Opowieści Tolkiena (głównie „Władca Pierścieni”) odnoszą się bardzo krytycznie do kondycji ludzkiej moralności. Człowiek jako mieszkaniec Śródziemia występuje w roli żadnego władcy egoisty, łatwo poddaje się manipulacji i chętnie staje najemnikiem idącym ślepo za wizją zysku. Honor ludzi ratuje oczywiście Aragorn. Jego postać jest jednak niejednoznaczna. Obieżyświat – drugie imię ry-cerza – zdradza bowiem, iż pozostaje on na uboczu spraw ludzkich, dystansuje się do nich. I my, wchodząc w tak ukształtowany świat, chętnie wyzbywamy się własnej tożsamości. Podobnie jak Bilbo, któ-

ry wyruszając w drogę strząsnął z siebie hobbicie przywary i my wyrzekamy się ludzkich skłonności i poszukujemy dla siebie nowej skóry, w której pocujemy się wygodniej. Mamy zaś wiele możliwości.

Natura elficka kusi spragnionych miłośników wyrafinowanego piękna. Gwarantuje bowiem nieskazitelną sylwetkę i szlachetną urodę. Elfy mogą poszczycić się wiecznością, giną jedynie na polu walki. Są pełne gracji i tajemniczej, czasami mrocznej wiedzy z pogranicza magii. Można by rzec, iż grzeszą doskonałością. Zupełnie inaczej przedstawia się charakterystyka krasnoludów, które możemy bliżej poznać za sprawą Gimlego – jednego z bohaterów drużyny pierścienia. Krasnoludy są przede wszystkim zarozumiałe i chciwe. Nie można jednak odmówić im sprytu i zaradności. Lubią bliskość ziemi, a nawet jej wnętrze, pracują w kopalniach. Są przy tym ukazane zdecydowanie bardziej realistycznie – dalekie od ideału, bliższe więc człowiekowi. Nie można tego powiedzieć o czarodziejach. To postacie niezwykle. Zrzeszeni na podobieństwo zakonników, pojawiają się w życiu mieszkańców Śródziemia, zwiastując niepokojący czas. Niewiele o nich wiadomo, skąd pochodzą i gdzie dokładnie żyją. Czarodziej za nadludzkie zdolności płaci nadludzką świadomością, a to nie lada brzemień. Lecz może ktoś chciałby właśnie stać się czarodziejem i wziąć do ręki szarą laskę – atrybut władzy na dsiłami magicznymi. Ktoś inny może chciałby zamieszkać wśród krasnoludów lub elfów. Bycie hobbitem ma również zalety. Beztroskie życie pośród łąk i lasów Hobbitonu skusiłoby zapewne niejednego mieszkańca wielkiego miasta, ale i coraz bardziej wyzbywających się swej większości wsi. Dostosowywanie rytmu egzystencji do cyklu przyrody, a w szczególności możliwość bezpiecznego przezimowania w przytulnej norce, to rado-





sna perspektywa. Również wizja letnich poranków spędzonych bez pośpiechu (lub raczej przedpołudni – hobbity lubią dłużej pospać) w ogrodzie, napawa optymizmem każdego, kto zwykł spędzać je w pracy.

Poszukiwanie miejsca dla siebie w krainie Śródziemia, choć stanowi próbę ucieczki od otaczającej rzeczywistości, pozwala zachować uciekinierowi cechy własnej osobowości, znaleźć analogie – podobne mechanizmy i struktury, jak w naszym świecie.

W krainie niedostępności

Postacie tolkienowskie można również analizować w sposób metaforyczny. Każda bajka – ta lżejsza odmiana baśni – niesie z sobą morał. Zwłaszcza bohaterowie słynnej trylogii prezentują charaktery jednoznaczne w interpretacji.

Oto niziołki z odległej i spokojnej krainy Hobbitonu, trudniące się uprawą roli i paleniem fajkowego zioła, wyruszają na straceńczą misję ratowania świata. Ci najmniejsi i niepozorni wykazują się zatem odwagą, jakiej ów świat wyczekiwał. Po części ich odwaga wyrosła z naiwności i dobroduszości, jest jednak niezaprzeczalna. Wyprawa pozwala niziołkom zaprezentować światu nieujawnione dotąd cechy – spryt, inteligencję, męstwo, przede wszystkim zaś umiejętność bycia lojalnym wobec towarzyszy. Sama zaś Drużyna Pierścienia obrazuje możliwość zaistnienia niemoż-

liwego. Człowiek, elf, krasnolud i hobbit – każde z tych istnień żyje w odrębnej kulturze i z niechęcią toleruje inność – z założenia rzecz jasna. Każde z nich pokonuje jednak stereotypowe antagonizmy z powodu swej dumy. Gdy bowiem nikt nie podejmuje się ruszyć do Mordoru, prócz rzecz jasna Frodo Bagginsa, oni wszyscy postanawiają mu towarzyszyć. A zatem: obowiązek, męstwo i poświęcenie w imię lojalności – romantyczne idee wyzierają z kart tej „fantastycznej” opowieści. Czyż to również nas czytelników nie kusi? Przecież romantyzm – wiek XIX stał się podsta-

wą nowoczesności i choć staramy się odciąć od patosu i irracjonalnych działań, w sferze marzeń pozostajemy romantykami, którzy pędzą samotnie na przeciw przeznaczeniu. A wszystko to dla późniejszych opowieści, dla gawędy sączonej w spragnione wielkich czynów umysły słuchaczy.

Czy coś zagraża wycieczkowiczom?

Regularne wyprawy do Śródziemia, czy to poprzez lekturę, czy wizytę w kinie zdradzają niezaspokojoną potrzebę obcowania z nierealnym światem. A to, co staje się fascynacją, łatwo przeradza się w obsesję. Jaka obsesja grozi więc miłośnikom prozy Tolkiena? Może być to obsesja niedoskonałości „własnego” świata i życia uwikłanego w narzucone, nie wiedzieć przez kogo, schematy cywilizacyjne. Coraz częściej bowiem zdaje się nam, iż nie byłibyśmy w stanie porzucić rządzących myśleniem większości stereotypów i ograniczeń, by ruszyć w podróż gdzieś tam i z powrotem, która odmieniałaby każdy kolejny dzień naszego życia. Paradoksalnie, im więcej oferuje nam rzeczywistość, tym więcej i my od niej oczekujemy, dlatego stabilny porządek tolkienowskiej baśni, choć traktującej o trudnych do odnalezienia w sobie pokładach heroizmu, jest tak atrakcyjny i chętnie odwiedzany.

Pytanie, jak odnaleźć równowagę na granicy dwóch światów, musi jednak pozostać bez odpowiedzi.



Pustka i milczenie

O filmach, śmierci i Michale Smolorzu, a także o przestrzeni Śląska i Zagłębia z reżyserem, operatorem i scenarzystą Adamem Sikorą rozmawia Edyta Antoniak-Kiedos



Jest Pan twórcą kina artystycznego (*Angelus, Wojacek*), często eksplloatującego tematykę lokalną, głęboko osadzonego w pejzażu rodzinnego Śląska. Jak Pan widzi ten region?

Przez wiele lat Śląsk był dla mnie tylko dekoracją. Jego architektura, szczególnie zaś przestrzeń postindustrialna, która się tutaj pojawiła w latach 90. Ten nowy obraz stał się przyczyną moich eksploracji. Filmy, które realizowałem, np. o Erwinie Sówce czy Janku Skrzeku – wykorzystywały urodę miejsc, nie dotyczyły problemów, jakie kryły się za nimi. Mnie to nie interesowało, po prostu czysta eksploatacja. Dopiero z czasem przyszła refleksja, że przecież w tej przestrzeni żyją ludzie, którzy mają jakieś problemy. Punktem wyjścia był film *Boże Ciało*, pozwalający skupić się na dylematach ludzi, którzy stracili pracę. Nie umieli się odnaleźć w nowej sytuacji. Sprawa dotyczy trudnych lat 90., kiedy tu praktycznie wszystko się zapadło i nie było żadnych perspektyw. To był mój jedyny film, który zwracał się wprost w stronę problemów społecznych. **A później przychodzi film *Ewa*.**

Ewa jest pokłosiem, konsekwencją *Bożego Ciała*, bo w trakcie realizacji *Bożego Ciała* pojawiła się bohaterka, która doświadczy-

ła problemu poruszonego w *Ewie*. Skazana na prostytutkę, żeby utrzymać rodzinę. Wspólnie z Ingmarem Villqistem zrealizowaliśmy ten dramat.

Jak Pan, będąc szczególnie wrażliwym na obraz, widzi różnice między ową dekoracją Śląska a Zagłębiem?

Różnica jest ogromna. Choć nie penetruję specjalnie Zagłębia, to architektura jest tu raczej wschodnia; peryferia wschodniego imperium. Nie wywołuje to we mnie takiego dreszczu emocji jak architektura Śląska, chociaż jest tu kilka znakomitych przestrzeni, takich jak: cmentarze żydowskie, niektóre uliczki Będzina czy Zamek w Będzinie, gdzie kręciliśmy z Lechem Majewskim fragmenty filmu *Młyn i Krzyż*. Niemniej jest to przestrzeń odmienna kulturowo. Wchodzi się tu w świat inaczej ukształtowany przez historię. To jest niesamowite. Już sam dworzec w Sosnowcu jest zupełnie odmienny od śląskich dworców.

Czy widziałby Pan możliwość pokazania *Trójki* Trzech Cesarzy w jakimś ze swoich projektów?

Nie, historia to jest domena poważnych twórców. Przyznam, że od paru lat nie zajmuję się już tak bardzo śląską tematyką, chociaż nowy projekt nad którym

pracujemy z Villqistem też jest poświęcony Śląskowi, ale w zupełnie odmienny sposób. To też będzie rodzaj dekoracji, tła, ale w większości wygenerowany. Film pod tytułem *Miłość w mieście ogrodów* będzie bardzo futurystyczny i Katowice mają się w nim jawić jako przestrzeń nasyciona elementami fantastycznymi. Ta wizja powstaje na realnych obiektach. To miało stać się dosyć sporym placem budowy, powstają bardzo interesujące realizacje takie jak Muzeum Śląskie, dworzec, itd. Chcemy zadośćuczynić temu, co przedstawiliśmy wcześniej. Chcemy teraz stworzyć zupełnie odmienną wizję Śląska, oczywiście w tle, bo film będzie o miłości. Nie zagłębialiśmy się w przeszłość, bo tę lekcję już odrobiliśmy, szczególnie Villqist. Chcemy się zwrócić w stronę przyszłości.

Sposób patrzenia na Śląsk to ważny kontekst rozmowy o niespodziewanie zmarłym Michale Smolorzu. Chciałabym zapytać o Pana kontakty z tym wybitnym felietonistą, ale i filmowcem, producentem. Czy może Pan opowiedzieć o swojej współpracy z Michałem Smolorzem, w kontekście wspólnego projektu z 2006 roku pt. *Missa de Spe – msza o nadziei*?

To było jedyne wspólne przedsięwzięcie, gdzie mieliśmy okazję poznać się z Michałem bliżej, pracowaliśmy nad nim wiele tygodni. Był to projekt bardzo interesujący, poświęcony górnikom Kopalni Wujek, dokładnie kolejnej rocznicy tej tragedii. Michał zaprosił mnie do współpracy przy realizacji widowiska poświęconego ich śmierci. Wcześniej znałem Michała z telewizji Katowice, gdzie był dyrektorem technicznym (chyba, nie pamiętam). Ja byłem wtedy początkującym pracownikiem, więc nasze relacje były dosyć sporadyczne. A tu miałem niepowtarzalną okazję wsłuchiwać się w to, co mówił. Przyznam, że bardzo mi zaimponował, taką jednorodną, konsekwentną wizją Śląska. Bardzo odpowiadało mi jego pojęcie hajmatu, małej ojczyzny, to było poza polityką, poza państwowością. Ta śląskość objawiała się na poziomie tradycji, rytuału rodzinnego, nie była uwikłana w polityczne rozważania. Dla niego ważne było to miejsce, z którego się pochodzi, by to miejsce kultywować. Zaimponował mi tym, że realizował to na co dzień. Spotykaliśmy się częściowo u niego w domu, gdzie miał montażownię. To była dla mnie ogrom-

na radość, gdyż wchodziłem w rodzinny dom, pełen ciepła. Wtedy poznałem Michała bliżej.

Czy ta znajomość zaowocowała później w inny sposób?

Nic to nie zmieniło. Mieliśmy plany, ale nic z nich nie wyszło. Michał chciał zekranizować powieść Janoscha pt. *Cho-*



Michał Smolorz. Fot. Lajsikoni

lonek. Kilka razy o tym rozmawialiśmy. Później kilka razy, wykorzystując montażownię Michała, pracowałem u niego, ale nad swoimi projektami. Nic więcej wspólnie nie zrobiliśmy, ale praca przy tamtym widowisku była bardzo ważna dla mnie.

Dwie różne osobowości, Pan – zdystansowany, wyciszony, i Smolorz – ruchliwy, dynamiczny, jakie były Panów relacje? Jak przy Jego energii układają się proporcje Waszej współpracy?

Nie porównywałbym naszych osobowości, byliśmy na zupełnie innych pozycjach. Nasze przeciwieństwa bardzo dobrze się połączyły. Moja tendencja metaforyczna współgrała z ogromną wiedzą i dokumentalną pasją Michała.

W swojej działalności naukowej zajął się Pan pustką i milczeniem, to pojęcia bardzo blisko śmierci.

Tak, w pewnym sensie tak. To wynikło z filmu *Wydalony*, który zrealizowaliśmy wspólnie z poetami Maciejem Meleckim i Krzysztofem Siwczakiem. Film oparty został na prozie Samuela Becketta, to daleko idąca improwizacja, taki zarodek, który rozwinęliśmy w coś zupełnie innego. Tematem była właśnie pustka i milczenie. Film został pozbawiony warstwy dialogowej, wszystko odbywało się w na-

bożnym, rytualnym milczeniu. To jest już takie kino niemożliwe. Chociaż znalazło się paru wnikliwych widzów, którzy napisali w Internecie zaskakujące interpretacje. Epatowanie pustką, milczeniem, rozciągłością jest trudne dla przeciętnego widza, co zresztą cechuje również Becketta.

Powiedział Pan kiedyś, że dąży w swej twórczości do „obrazu zastygłego”. Jak Pan widzi zastygły obraz Michała Smolorza?

Często pojawiał mi się ten zastygły obraz Michała, bo ja mieszkam w Mikołowie, a On mieszkał w Podlesiu. Wracając z Katowic, zawsze mijałem Jego dom i wyobrażałem sobie, że siedzi w swoim pokoiku, pisze albo dyskutuje. W stanie takiego specyficznego podniecenia, bo On nieustannie musiał coś robić. To jest bardzo dziwne, ale taka nagła śmierć pokazuje, że człowiek jest kompletnie nieprzygotowany. Nie ma żadnych symptomów, znaków, które ułatwiłyby przyjęcie takiej śmierci. Myślę, że do dziś nie pogodziłem się z tym, że Michała nie ma. Nawet teraz, przejeżdżając przez Podlesie, miałem wrażenie, że On tam jest. Myślę, że podobnie jak wszyscy, którzy byliśmy na Jego pogrzebie, mieliśmy wrażenie, że to jest jakaś nieprawda, mistyfikacja. Trudno się pogodzić z tym, że Go nie ma. To ogromna strata, z której zupełnie nie zdajemy sobie jeszcze sprawy. Dopiero teraz widać, jak ważną był osobą, był takim strażnikiem śląskości, sumieniem Śląska. Nie ma właściwie następcy. Został tylko o pokolenie starszy Kazimierz Kutz, który ze zdwojoną siłą musi stać na straży. Michał był bezkompromisowy, był całkowicie niezależny, mógł występować przeciwko wszystkim. Ceniłem Go za odwagę, to chyba najbardziej odważny publicysta, jakiego ta ziemia wydała.

Myślę, że wrażenie szoku na wieść o śmierci Smolorza potęguje fakt, że kilka lat temu realizował Pan cykl rozmów ze śp. Pawłem Targilem, poetą, założycielem Instytutu Mikołowskiego. Czy gdyby miał Pan szansę powtórzyć tamto doświadczenie zapis czyjegoś odchodzenia przed kamerą, zrobiłby Pan to raz jeszcze?

Nie, zdecydowanie nie. Paweł Targiel ze swojego odchodzenia uczynił opowieść. To trwało kilka miesięcy, więc to zupełnie inna śmierć, taka, do której się dojrzewa, przygotowuje. Paweł miał zupeł-

ną świadomość zbliżającego się końca, chociaż zawsze jest jakaś nadzieja. Miał też ogromną refleksję na temat życia. W Jego umieraniu było coś buddyjskiego. Jak z tych opowieści mistrzów Zen, którzy w sposób dojrzały, świadomy odchodzili. Nie odczytywali tego jako tragedia, ale mądry proces dojrzewania. Tak samo jak trzeba dojrzeć do życia, trzeba dojrzeć do śmierci. Efektem mądrego życia jest mądra śmierć. W obliczu diaгноzy, jaką otrzymał, nie ugiął się. Jego umysł nie został zainfekowany chorobą. Paweł w świadomy sposób przechodził na drugą stronę. Dlatego mam wrażenie, że śmierć Michała Smolorza jest jakby niezauważona, wszystko się tak szybko wydarzyło. Jego śmierć przyszła zdecydowanie za wcześnie.

W realizowanym przez Pana filmie *Bluesmeni. Ballada o Janku „Kyksie” Skrzeku* tytułowy bohater śpiewał: „o mój Śląsku, umierasz mi w biały dzień”. Czy śmierć Smolorza jest w jakimś sensie kolejną zwrotką tej piosenki?

To była prosta ballada i bardzo dobre motto filmu. Ale jego realizacja przypadała pod koniec lat 90. i wtedy rzeczywistość Śląsk w sposób dramatyczny zapadała się. Panował klimat rozkładu, upadku, umierania tej całej śląskiej tradycji. Wtedy ten tekst był adekwatny. Myślę, że od kilku lat coś się na szczęście zmieniło. Spotykam się z postawami, że ludzie są dumni, bo tu mieszkają, zauważają, że tu zaczyna się zmieniać na lepsze. Nie chcą stąd wyjechać, by gdzieś indziej robić karierę. Zaczynają wiązać się z tym miejscem i to jest cenne i niezwykle ważne. Ta ziemia przestała umierać i żyje w inny sposób niż dotychczas. Budowanie przyszłości oparte jest na innych przesłankach. Stąd Michał nie dopisał kolejnej zwrotki. Był po tej pozytywnej stronie. Nawet zaatakował mnie za *Boże Ciało*, za *Ewę*, bo uprawiamy negatywny obraz Śląska. Michał gloryfikował tę ziemię. On był jak najbardziej po stronie życia.

U Pana jak się okazuje ta wizja też się zmienia.

Tak, bo sądzę, że to, co dzieje się wokół nas, daje podstawy, żeby tak myśleć. Oczywiście są różne oblicza Śląska, zależy jaką perspektywę widzenia się przyjmuje, czy to będą Katowice czy peryferia Bytomia. Wszystko jednak wymaga czasu i to długiego.

Dziękuję za rozmowę.



Hanna Dikta – rocznik 1977. Ukończyła filologię polską na Uniwersytecie Śląskim oraz studium podyplomowe z historii na Uniwersytecie Opolskim. Laureatka kilkudziesięciu ogólnopolskich konkursów poetyckich. Publikowała m.in. w „Pograniczach”, „Arkadii”, „Arteriach”, „Migotaniach”, „Toposie”, „Odrze” i „Śląsku”. Debiutowała książką poetycką pt. *Stop-klatka* („Zeszyty Poetyckie”, Gniezno 2012). Mieszka wraz z mężem i córkami w Piekarach Śląskich, gdzie pracuje jako nauczycielka języka polskiego i historii. Strona autorska: www.hannadikta.pl.

Gipsowa panienka z L.

Postawił ją na parapecie - obok podwiązek i spinek, ukradzionych z hotelowej toaletki. Czasem układa przy niej kwiaty, pali świece, częściej zuchwale zdrapuje gips z podbródka, drąży niebieską sukienkę.

We śnie bierze ją naprawdę.
Ma ciepłe łono, drobne piersi i ufne spojrzenie dziewczyny z obrazu Balthusa.

Zbawicielka

Przychodzą do mnie w szlafroku chorej matki,
otuleni zieloną poświatą szpitalnego korytarza.

Gotuję im pomidorową na maśle, przemywam podbrzusza,
zdrapuję z głów nadpaloną kobaltem skórę.
Heroicznie bronię przed psem obszczekującym
blade palce w plastikowych kłapkach.

Wbrew gównianym prognozom wyrzucam susz,
wieszam dzwonki, kupuję nowe dywany i meble.

Zakończenie jednak jest wciąż takie samo -
obcy ludzie wkładają ciało do prześcieradła,
zaplatają palce.

Włosy

Nadal trzyma w szufladzie perukę z końskiego włosia.
Tę, którą bawił się chory szczeniak i potem nie nadawała się już
do trumny. Ubiera ją albo tylko wyczesuje palcami
kurz spomiędzy silikonowych żyłek.

Pokazuje wybranym, między drinkiem i pierwszą francuską
pieszczotą.
Uciekają, jakby obawiali się mikrobów raka między włosami.

Oskar prosił, żeby go w niej kochała.

Przeglądając się swojemu odbiciu w szybie, pomyślała,
że z profilu coraz bardziej przypomina matkę.

W kolejce po lobotomię

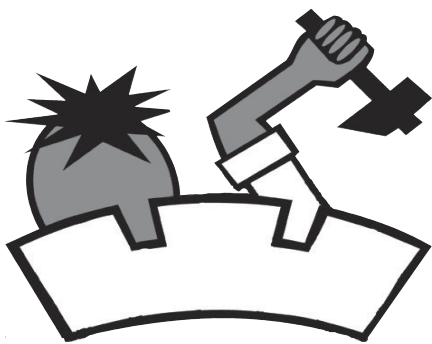
Między śniadaniem a psychoterapią nie ma miejsca na dziwki.
Najprościej zamknąć oczy, wertować obrazy, kiedy gaśnie światło,
pomagać sobie ręką, głośnym oddechem wariata spod ściany.

To seks, resztę można załatwić książkami, oglądając sto razy komedię o szczęściu,

Nie mów mi, że świat ma inne kształty niż geometryczne,
a całe to akwarium można zgnieść w papierowe kulki, rzucać nimi w ptaki.
Nie sadzaj na mnie kobiet i nie wkładaj wędki w trzęsące się ręce.

Z kieszeni Wielkiej Oddziałowej też słychać starą indiańską piosenkę,
zaklinanie deszczu.

Młotkiem w łeb



Mydło, powidło, kaloryfer

To, że telewizja oglupia, odczuwa się intuicyjnie. Im więcej czasu spędzamy przed telewizorem, tym jesteśmy głupszy. Po prostu. Bo nie rozmawiamy ze sobą, bo za rozmowę nie sposób uznać jednowyrazowych a co najwyżej jednozdaniowych komentarzy kierowanych pod adresem tego czy innego osobnika-indyka lub osobniczki-indyczki, gulgocących coś zazwyczaj bez ładu i składu w plenerze, na scenie, w jakiejś sali względnie korytarzu lub w tzw. studio telewizyjnym. Bo nie gramy w karty – np. w brydża – a to zajęcie było nie tylko okazją do rozmów w nieco szerszym niż rodzinne gronie, ale zmuszało do gimnastykowania umysłu. Bo nie czytamy książek...

No tak, ale po co je czytać, skoro większość z nich, ta lansowana w telewizji i ta omawiana w popularnych tygodnikach, które czasami kupujemy, poświęcona jest jakimś głupotom i odmiencom, co najczęściej jest nudne, a nierzadko obrzydliwe. Więc trzeba by poszukać czegoś ważniejszego, ale księgarnie są zawałone anglosaskim chłamem i nie sposób się zorientować, na której półce znalazłoby się coś interesującego. Ekspedientki/ekspedienta nie warto pytać, niczego nie wie, bo czyta co najwyżej instrukcje obsługi (niechętnie) i przepisy kulinarne oraz śledzi doniesienia, czy aktualna super-indyczka miała pod mini spódniczką majtki, czy nie, a jeśli miała to w jakim kolorze... Przepraszam, nie powinienem nazywać ekspedientki „ekspedientką”, bo to najprawdopodobniej „menedżer do spraw obsługi klienta” lub coś w tym stylu, co zajęło miejsce dawnego księgarza, który nawet jeśli jakieś książki nie przeczytał, to wiele o niej wiedział, bo o niej poczytał, zamiast oglądać telewizję. Nie oglądał, bo kiedyś nie było telewizji? Naprawdę nie było telewizji?

Nie... niemożliwe, żeby nie było... Może jednak warto sprawdzić, co było, a czego nie było i przez to było się jakby bardziej? Żył się swoim życiem, prawdziwym, a nie wymyślonym i pozornym? I widzieliście, tak się upiera przy tych książkach, a w nich też wszystko wymyślone... Oczywiście, ale tylko na tyle, by każdy, kto czyta, mógł domyśleć sobie więcej. Czasem o wiele, wiele więcej niż pisarz wymyślił. Pewnie dlatego, że takie długie zdania tam są, że jak się do końca takiego zdania, to już się nie pamięta początku i trzeba albo zaczynać od nowa, albo poczekać, może zrobią z tego film, albo chociaż sztukę teatralną... Dobrze, jest przecież Internet, tam raczej bez problemu można znaleźć sensowną lekturę, o ile wie się, gdzie, w której księgarni internetowej szukać. Na przykład chciałoby się wiedzieć, dlaczego jest tak, jak nie miało być, że zielona farba, którą pan premier tak obficie chlapał, zlała ze wszystkiego i widać, że wszystko zardzewiało, rozpada się, nie działa, a jak jeszcze działa, to skrzypi i piszczy, jak ta przysłowiowa bieda. I na kupno książki i tak nie będzie pieniędzy, bo ceny wzrosły, a pensje nie, zresztą i tak dobrze, że jest jeszcze nadzieja, że z roboty nie zwolnią... W dodatku zdjęcia są teraz takie drogie... Mąż/zona, gdy spieszył/a się samochodem do domu (albo piętnastoletnim, albo kupionym na kredyt, który nie wiedzieć dlaczego zsumował się z kredytem na mieszkanie) – bowiem siedł w telewizji bardzo ważny 16 289 odcinek tego serialu, w którym miała być wyjaśniona kwestia braku majtek (lub ich koloru) – został/a sfotografowany... I przyjdzie wezwanie do zapłaty... Jechał/a niezgodnie z przepisami? Przecież jechał/a, jak zawsze przed serialem... Tylko że przedwcześnie ustawili tam fotoradar! I teraz robią się korki, bo wszyscy co już zostali sfotografowani, nie chcą się więcej fotografować i jadą powolutku. Jednak jeszcze wielu tamtędy pędzi, co nie wiedzą jakie fajne zdjęcie będą mieli zrobione i ani myślą spóźnić się na serial, czy gdzie tam ich niesie... Rytm ruchu samochodów został zakłócony, co chwilę jakieś stłuczki... A u nas przecież był ruch, jak w Warszawie i warszawskie tempo jazdy. Od świateł do świateł – gaz do dechy! I po hamulcach! Tak, faktycznie, każda droga, każde miasto ma inny rytm. Na co dzień nie zwraca się na to uwagi, dopiero gdy się jedzie gdzie indziej, można to dostrzec. U nas jeździmy nerwowo, właśnie jak w Warszawie, choć pewnie

z innych powodów. W stolicy ręce na pewno bardziej świerzbią, żeby... Żeby co? Jak to co? Pogonić moskali! Jak 150 lat temu, akurat mamy okrągłą rocznicę! A najpierw tego, co sobie lata samolotem na weekendowe seriele a przy okazji ciągle chłapie tą zieloną farbą. Idzie mu to teraz gorzej, farba zrobiła się rzadka jak woda, z której wypływa na wierzch coraz więcej oliwy... Malarz to może z niego kiedyś był, jak kominy i inne wysokościowe rzeczy malował za młodu. Aż mu się zdało, że i za szklarza może robić, kit nam pociskać i mydło. Dlaczego mydło? Bo nam oczy mydlił tą zielenią! I jak tu jeździć? Znaków drogowych tyle, że przez mydliny nie sposób wszystkich zauważyć. W których to książkach zostało napisane, dlaczego jest tak, jak jest? Dlaczego w telewizji wciąż pokazują tylko tych co myją niemieckie tyłki i całują rosyjskie? Tak, telewizja oglupia, zupełnie. Ale przecież muszę oglądać te różne seriele, bo w pracy zaraz by się zorientowali, że nie oglądam, i... Zresztą... I tak już szepcą po kątach, gdyż kiedyś powiedziałem/am, że taki wielki telewizor to nienormalność i że mnie wystarczy ten co mam. Czy ja przedrzeźniałem/am pana premiera, który kiedyś napisał, że „Polska to nienormalność”? Czy ja powiedziałem/am, że taki pan premier to nienormalność? Czy ja mam coś przeciwko odmiencom? Nic, zupełnie nic, dopóki nie próbują odmieniać mojego życia tym swoim mydłem na swoją modłę! Jeśli chłopu się wydaje, że jest babą, albo babie, że jest chłopem, dwóm chłopom albo dwóm babom, że są jak Adam i Ewa, to ja im współczuję, ale niech nie zwracają mi głowy, to jest ich prywatna, intymna sprawa. Gorzej, gdy Piotrusiowi Panowi wydaje się, że jest premierem panem... gdy wciąż nie wyrasta nie tylko z upodobania do zapachu męskiej szatni po meczu... I najwidoczniej za dużo ogląda telewizji... I przyznam się. Ja też jestem odmiencom. Jak każdy? Niech pomyślę... Pewnie tak... W mojej klatce schodowej mieszkają pobożni ludzie i w niedzielę wszyscy wychodzą. Wtedy, podjadając powidła, które robi moja mama, znakomite, biję drewnianym kijem od szczotki w kaloryfer. Mam jeden taki stary, żeliwny. Niekiedy wydaje mi się, że ktoś w sąsiednim bloku robi to samo, co ja. Słyszę go. Zastanawiam się, czy on słyszy mnie? Zastanawiam się, czy słyszy kogoś trzeciego? A ten trzeci kogoś czwartego... I wtedy mam zupełny kaloryferowo-powidłowy odjazd.

Jerzy Suchanek

Co dalej?

Mamy wreszcie oczekiwany początek 2013 roku. Końca świata, mimo zapowiedzi, na szczęście nie było. Czy rok „z trzynastką” okaże się dla Polski i jej mieszkańców szczęśliwy, czy pechowy? Zapowiedzi ekonomistów w mediach nie są zbyt optymistyczne. Tytuły prasowe wręcz straszą: kryzys, recesja, zwalnianie w Fiacie i nie tylko, rosnące bezrobocie. Myślę, że jak na początek nowego roku nie są to dobre przewidywania. Wobec tych kataklizmów zapowiadane nowe radary na drogach, które mają ratować budżet i system „eWUS” w ochronie zdrowia – chociaż uciążliwe dla społeczeństwa, nie wydają się, aż tak groźne.

Zacznijmy od tematu recesji – czy jest realna. Jest. W ubiegłym roku według różnych mniej i bardziej optymistycznych przewidywań tempo wzrostu gospodarczego miało wynosić 2,0–2,7%. Na początku tego roku twierdzi się, że nie będzie wyższe niż 1,5% PKB. To rzeczywiście świadczy o znacznym spowolnieniu gospodarczym. Jeżeli tak będzie, to przedsiębiorstwa będą ograniczać zatrudnienie, a może nawet zwalniać pracowników. Nie jesteśmy sami w Europie. Jeżeli największy odbiorca naszego eksportu, tzn. Niemcy spowolnią rozwój gospodarczy, a takie są zapowiedzi, to nie ma cudów w ekonomii – nasz wzrost będzie hamował, a bezrobocie rosło nawet do zapowiadanych 15%. Wprawdzie jestem zwolennikiem gospodarki rynkowej i liberalizmu, ale myślę, że bez mądrej ingerencji rządu się nie obejdzie. To nie radary są potrzebne – tylko miejsca pracy. Gdybyśmy produkowali w Polsce chociaż jeden polski samochód – to nie musielibyśmy się martwić, że producenci zagraniczni w okresie recesji pozamykają firmy u nas i przeniosą produkcję do siebie. Mamy Wspólną Europę, ale trudno oczekiwać, aby Włosi wspierali naszych pracowników, gdy u siebie mają problemy.

Mamy ostatni rok wykorzystywania funduszy unijnych z perspektywy 2007–2013. Zanim ruszą kolejne środki na lata 2014–2020, przyjdzie nam trochę poczekać. I to również może być przyczyną rosnącego bezrobocia. Przy budowie dróg, oczyszczalni ścieków, wodociągów, stadionów pracowali ludzie.

Nim powstaną nowe projekty, nim zostaną ocenione, a środki trafią do beneficjentów – trochę to potrwa. Trzeba będzie poczekać, kiedy przy ich realizacji będą pracować ludzie.

Bezrobocie, a nawet zapowiedź jego wzrostu zawsze powoduje zmniejszenie konsumpcji. Mniejsza konsumpcja to niższe wydatki i spadek popytu na samochody, mieszkania, wczasy, droższą żywność, wobec tego nie ma sensu zwiększanie produkcji. Trzeba ją ograniczać – przedsiębiorcy rezygnują z trzech zmian na rzecz dwóch, z dwóch na rzecz jednej i ograniczają zatrudnienie. Rośnie bezrobocie, które powoduje jeszcze większy spadek popytu, a co za tym idzie jeszcze większe ograniczenia w produkcji. To zakłęte koło może przerwać tylko mądra polityka rządu. Tylko czy nas na nią stać? – bo przecież w budżecie mamy deficyt, który musimy ograniczać, a nie powiększać, szczególnie jeżeli chcemy myśleć o euro, nawet dopiero w 2018 roku.

Dyskusja o euro ciągle trwa. Sfera euro nadal się integruje i tworzy nowe instytucje. Jeżeli się nie zdecydujemy, to sfera euro nam odpłynie, przynajmniej tak twierdzi premier Tusk. Według niego perspektywa jest taka, że albo będziemy szli swoją drogą z własną walutą i polityką pieniężną, ale wówczas nasz głos w Europie będzie znaczył mniej, albo wejdziemy do strefy euro i będziemy istotną częścią idącej do przodu Europy.

Kolejnym ważnym kryterium oceniającym naszą gospodarkę jest stopa inflacji. Przewidywania co do inflacji są korzystne. Ma wynosić tylko 2,1%, czyli ceny będą rosły wolniej niż płace. Według szacunków ekonomistów mają wzrosnąć o 3%. Oczywiście nie wszyscy pracownicy dostaną podwyżki. W budownictwie, motoryzacji następuje spadek zamówień i nie ma tam co marzyć o wyższych płacach. Również w sferze budżetowej rząd zamroził fundusz płac. Podwyżki pensji obiecują pracodawcy w handlu, energetyce, transporcie, górnictwie. Wyższe o 4% mają być emerytury. Wzrosła płaca minimalna do 1600 złotych. Czy to oznacza, że będzie nam się lepiej żyło w 2013 roku? No nie, bo już straszą nas kolejne podwyżki: wzrost cen biletów w komunikacji miejskiej, więcej też zapłacimy za żywność i wy-

wóz śmieci. Może zdrożeć energia. A co będzie tańsze? – gaz i benzyna. Czy te dwa produkty zniwelują wzrost cen pozostałych? Zobaczymy.

Co na to nasz rząd? Przygotowuje drugą ustawę antykryzysową. Z rozwiązań pierwszej ustawy skorzystało 1100 firm. Pytanie tylko, czy przedsiębiorstwa zdążą skorzystać z drugiej. Zwolnienia następują już, a ustawę zapowiada się na drugą połowę roku. Ustawa ma zawierać dwa rozwiązania. Pierwsze polega na tym, że firmy, które będą miały kłopoty mogą obniżyć wymiar czasu pracy i wynagrodzenie, a pracownicy dostaną rekompensatę w postaci zasiłku z Funduszu Gwarantowanych Świadczeń Pracowniczych. Drugie rozwiązanie polega na tym, że w czasie przestoju w firmie z powodu mniejszej ilości zleceń można pracowników wysłać na szkolenia czy studia podyplomowe, za które również zapłaci Fundusz. Rozwiązania potrzebne i słuszne – tylko czy nie będą spóźnione? To, co najgorsze ma się wydarzyć w pierwszym półroczu, a zatem czy ustawa będzie jeszcze potrzebna w drugim.

Mimo że wraz z kolejnymi latami życia czas płynie coraz szybciej, to z okazji wejścia w Nowy 2013 Rok życzę Państwu i sobie również, żebyśmy jak najszybciej znaleźli się w drugim półroczu, jeżeli ma być ono lepsze niż pierwsze. Niech się Państwu darzy w pracy, w domu i wszędzie tam, gdzie jesteście.

Jadwiga Gierczycka



Diamantowa Dama

W poprzednim numerze wspominałem zmarłego boksera Górnika Sosnowiec, Wiesława Dylę. Sosnowiecki sport na początku tego roku poniósł kolejną stratę. W wieku 80 lat, po krótkiej chorobie, zmarła Irena Półtorak, założycielka w 1974 r. sekcji piłki nożnej kobiet w Czarnych Sosnowiec, najbardziej utytułowanej polskiej drużyny w futbolu kobiecym (12 razy mistrzostwo Polski i wielokrotny zdobywca Pucharu Polski). Sportowici poświęcili 40 lat życia... 9 stycznia 2013 roku pożegnaliśmy ją na cmentarzu przy ul. Andersa w Sosnowcu

Jesienią ubiegłego roku umawialiśmy się na spotkanie, żeby porozmawiać o kobiecym futbolu w Polsce. Jednak z Panią Ireną ciężko było się umówić, bo mimo 79 lat ciągle była w rozjazdach. Przygotowywała zimowe zgrupowanie kadry narodowej 17-letnich piłkarek, której była kierownikiem. Nie zdążyliśmy się spotkać. Przed świętami Bożego Narodzenia trafiła do szpitala, a 5 stycznia otrzymałem informację, że Pani Irena zmarła...

Krajanka Poli Negri

Irena Półtorak, tak jak Pola Negri (Apollonia Chałupiec), pochodziła z Lipna, ale w przeciwieństwie do słynnej aktorki, która w Sosnowcu mieszkała bardzo krótko, z naszym miastem związała się na długich 60 lat. Jej mąż Czesław był piłkarzem AKS Niwka. Ona, pracując w Sostalu, była zawodniczką i działaczką sekcji tenisa stołowego Czarnych Sosnowiec. To futbol był jednak jej największą pasją, która w 1974 r. przerodziła się w „wielką miłość i stały związek”.

– To było po mundialu w Niemczech – wspominała Pani Irena. – Cała Polska oszalała na punkcie trzeciej drużyny świata, prowadzoną przez Kazimierza Górskiego. Również dziewczyny, które zapragnęły kopać piłkę. Przychodziły do mnie i pytały gdzie mogą trenować i grać. Przy jakiejś okazji spotkałam się z Janem Zielińskim, redaktorem naczelnym sosnowieckiego tygodnika „Wiadomości Zagłębia”, który powiedział mi, że do redakcji przychodzą listy od kobiet chcących grać w piłkę. Zdecydowaliśmy się więc na zorganizowanie spotkania z chętnymi do uprawiania piłki nożnej. Po ogłoszeniu w tej gazecie do siedziby Czar-

nych przy Alei Mireckiego przyszedł 84 pannie. W różnym wieku – od nastolatek po mające grubo ponad 20 lat...

Ten fakt dokumentowała pieczętówką przechowywaną przez Panią Irenę lista obecności z tego zebrania, odbytego 20 września 1974 r. I tak to się zaczęło. Irena Półtorak została kierownikiem sekcji piłki nożnej kobiet w Czarnych Sosnowiec (pełniła tę funkcję do 1991), a pierwszym trenerem został Tadeusz Maślak, były piłkarz i hokeista Stali Sosnowiec. Pierwszy mecz podopieczne trenera Maślaka przegrały 0:2. Drugi wygrały 2:1, a pierwsze historyczne bramki dla sosnowiczanki zdobyły Barbara Juda z Wojkowic, pracująca na co dzień jako... murarz, i ekonomistka z Szopienic, Wanda Waniek, która w stylu Kazimierza Deyny, potrafiła zdobywać bramki bezpośrednio z rzutów różnych.

Rzut monetą? Nie!

Z roku na rok przybywało w Polsce klubów, które toczyły nieformalne rozgrywki. W 1980 r. powstała w Sosnowcu Komisja ds. Piłki Nożnej Kobiet (którą później włączono w struktury PZPN i do dziś jako Wydział Piłkarstwa Kobiecego zawiaduje rozgrywkami) i udało się zorganizować oficjalne rozgrywki ligowe, które miały wyłonić pierwszego mistrza Polski. Rywalizowano wówczas w dwóch grupach (Północna i Południowa). Ich zwycięzcy (odpowiednio Checz Gdynia i Czarni Sosnowiec) mieli spotkać się w finale, który zaplanowano przed meczem mężczyzn Polska – Algieria (19.11.1980). Gdynianki nie dotarły jednak do Warszawy. Ktoś wtedy zaproponował, że najlepszą drużynę kraju wyłoni... losowanie, czyli rzut monetą. – Nie zgodziłam się na to. Historyczna chwila nie mogła być przecież w tak niepoważny sposób rozstrzygnięta. Postanowiliśmy doprowadzić do tego spotkania w późniejszym terminie. Udało się to dopiero 3 maja 1981 r. w Częstochowie. Ten mecz sosnowiczanki wygrały 4:2 i zostały pierwszymi mistrzyniami Polski. Tak zrodziła się wielka potęga Czarnych, które w sumie mistrzowski tytuł zdobyły 12 razy – opowiadała Pani Irena. Gdy kobieca liga już funkcjonowała, przyszedł czas na stworzenie reprezentacji narodowej. – Jej debiut miał miejsce w czerwcu 1981 roku, pod wodzą Tadeusza Maślaka oczywiście. Polska zmierzyła się na Sycylii z Włoszkami. To był nasz pierwszy mecz, a rywalek już 75. Nic więc dziwnego, że

stremowane nasze dziewczyny przegrały w Katanii 0:3, co i tak uznaliśmy za niezły wynik – śmiała się Pani Półtorak, wspominając reprezentacyjne początki. Irena Półtorak z kadrą senierek związana była przez prawie 20 lat. W ostatnich latach zajmowała się młodzieżowymi reprezentacjami, do lat 15 i 17. Młodziutkie piłkarki nazywały ją pieszczotliwie „Babcia”, bo też troskliwie się nimi opiekowała.

Los tak zrzucił

Od wielu lat była też członkiem Wydziału Piłkarstwa Kobiecego PZPN i szefową tej komórki w Śląskim ZPN. Pytana, jak godzi tak intensywną działalność z życiem rodzinnym, odpowiadała z humorem: – Dzięki temu mniej kłócę się z mężem, bo mnie ciągle w domu nie ma... Na serio dodawała już: – Dzieci były odchowane i na całe szczęście, mąż jako piłkarz również był zakochany w sporcie i wybaczał mi to, co się działo w domu kosztem wyrzeczeń na rzecz mojej działalności. W 90. rocznicę powstania PZPN-u, w 2009 r. doczekała się uhonorowania swojego oddania. Jako jedyna kobieta w Polsce odebrała najwyższe odznaczenie piłkarskiej centrali – Diamantową Odznakę. Żartowano więc, że jest Diamantową Damą polskiego futbolu...

Tych wyróżnień Pani Irena otrzymała bardzo dużo. Bardzo dumna była z nagrody, przyznanej przez Komisję Sportu Kobiet PKOl, w kategorii „Za całokształt pracy z kobietami”. W tym miejscu nieskromnie się pochwalę, że to ja, w imieniu redakcji „Sport”, zaproponowałem jej kandydaturę do tej nagrody.

Miałem zaszczyt przez wiele lat, jako członek zarządu KKS Czarni, współpracować z tą niezwykłą kobietą. Podczas licznych wspólnych wyjazdów z piłkarkami na mecze wiele godzin przegadaliśmy. Pamiętam, jak mówiła, że życiem rządzi przypadek, czego przykładem była ona sama. – Od dzieciństwa kochałam śpiew i taniec. Udzielałam się na różnych szkolnych przedstawieniach w Lipnie. Jedną z nauczycielek powiedziała, że mam talent i powinnam go rozwijać, namawiając mnie do startowania w różnych konkursach. Gdy miałam 15 lat i byłam już w szkole średniej, poszłam na kwalifikacyjny przegląd do słynnego „Mazowsza”. Oceniono mnie pozytywnie i otrzymałam zaproszenie do siedziby tego zespołu na kolejne próby. Zrezygnowałam niemal tuż przed wyjaz-

dem. W domu było ciężko i chciałam pomóc mamie, a nie ją opuszczać...

Pani Irena nie żałowała jednak zmarnowanej być może szansy na artystyczną karierę. – Los zrzucił, że w poszukiwaniu pracy trafiłam do Sosnowca, gdzie poznałam męża i założyłam rodzinę; no i tu zaczęła się moja wielka, wspaniała przygoda z piłką kobietą. Dzięki niej zwiedziłam kawał świata i poznałam wielu wspaniałych ludzi...

Choć Pani Irena odeszła, to jednak pamięć o Niej i jej oddaniu dla kobiecej piłki nożnej pozostanie na zawsze.

Andrzej Wasik



Pan i pani – czyli o radarach

Pani strząsnęła z włosów resztki brokatu, którym fryzjerka rozmigotała jej koafiurę i westchnęła banalnie – znów minął rok. Pan nie odpowiedział, bo też nie miało sensu ani potwierdzanie, ani zaprzeczanie. Ten kontredans czasu powtarza się bowiem od prawieków. Niekoniecznie w tym samym momencie, ponieważ różne kultury mają swój przełom roku w różnym czasie, ale sens jest nieustannie taki sam. Koniec i początek. Umarł król, niech żyje król. Karuzela pór roku. Więc o czym tu gadać? Sapnął tylko, wznosząc bezsilnie oczy ku górze na okazanie współczucia pani, która się szybciej od niego starzała. Jak to kobiety... ale zwerbalizować tej myśli kunktatorsko się nie odważył. Zresztą, przecież to i jego pech. Stara kobieta. Może jeszcze nie tak bardzo stara, ale przecież o rok starsza, a on był stały w upodobaniach – nieustannie, od lat, niezmiennie podobały mu się panie w przedziale osiemnaście do dwudziestu pięciu... no, niechby – łaskawie przesunął zakres –

dwudziestu sześciu. Nawet dwudziestu siedmiu. Wystarczy! – poczuł, że się zagalopował w swojej bezmiernej łaskawości dla pań. Pani miała nieco więcej, lecz cóż było robić? Był stały również w uczuciach. Pani to pani. I kropka. Westchnął nabożnie nad swoją stałością, nie nadmiernie zachwycony tą stroną swego charakteru, którą inni szczerze podziwiali.

– I cóż – intrygująco nawiązała rozmowę pani – znów jesteś o rok starszy? Ale jeszcze chodzisz całkiem żwawo – pocieszyła. A nawet ze dwa razy porwałś mnie w sylwestra do tańca – dodała z uznaniem.

– Ciekawe, jaki ten rok będzie – pan zmienił temat – z trzynastką na końcu? Pewnie pechowy dla gospodarki. Rząd już otwarcie przygotowuje nas na kryzys – a to znaczy, że dopadł nas co najmniej pół roku temu. Wystarczy spojrzeć na jajka.

– Fakt – stwierdziła pani dwuznacznie – jakieś takie marne. Chociaż coraz droższe – dodała szybko, nie mniej dwuznacznie.

– I zwolnień zapowiadają mnóstwo: w fabrykach samochodów, w usługach – zgodził się pan, wspominając tytuły doniesień prasowych. Nie zamierzał się wdawać w dyskusję o rzeczach nieistotnych. Podniósł problem wagi ciężkiej – a wiesz ty, że stawiają coraz więcej fotoradarów?

– O! – pani wydała z siebie okrzyk zgrozy – żeby ci robić zdjęcia? Ostatnie dwa kosztowały całkiem sporo, a jakoś taka sobie – dodała jadowicie. Do albumu rodzinnego z pewnością się nie nadają. Prędzej znajdują się w kronice kryminalnej.

– No wiesz? – pan żachnął się zniechęcony. Jak możesz? Przecież sama najlepiej wiesz, że to rozbój na prostej drodze, a całe te fotoradary służą tylko łataniu dziury budżetowej. Rząd nie ma pomysłu na rozwój gospodarki, więc próbuje tą drogą zabezpieczyć tłuste synekury swoim totumfackim.

– Czytałam, że poprawiają bezpieczeństwo i temperują przygłupich piratów drogowych. Podawali nawet w TV, że znacznie poprawiło się bezpieczeństwo na drogach.

– Telewizja kłamie – zirytował się pan – nie wiesz o tym? Żadne bezpie-

czeństwo. Ci nieudacznicy, którym oddaliśmy władzę...

– Trzeba było nie oddawać! – pani spojrzała z dezaprobatą.

– Może miałem startować w wyborach? Myślisz, że nie mam wstydu?

– A co ma wstyd do tego? – zdziwiła się pani. Moim zdaniem, nie masz poparcia.

– Oj tam – pan machnął ręką lekceważąco – poparcie to nie problem, ale patrzyłbym z obrzydzeniem na swoje odbicie w lustrze, gdybym jak oni ciągle musiał kłamać. Wytrzymałabyś z kłamcą pod jednym dachem?

– Gdyby miał 9892,30 zł wynagrodzenia brutto, plus 2473 zł diety poselskiej, plus 11 650 zł na prowadzenie biura, w którym mnie byś zatrudnił, to może jakoś bym wytrzymała – głos pani niebezpiecznie schodził w niższe rejestry, które zastrzeżone były na specjalne erotyczne okazje, ostatnio coraz rzadsze.

– A te radary są bez sensu – pan wrócił do meritum. Nie mów, że przekroczenie szybkości na pustej drodze, w dodatku o piątą rano, w niedzielę, gdy nikt nie jeździ, wszyscy jeszcze śpią, w jakikolwiek sposób zagraża bezpieczeństwu ruchu drogowego.

– Może zagrazić dwóm głupkom – temu jadącemu zbyt szybko z sobotniej imprezy i drugiemu, który z imprezy wraca do domu chwiejnym krokiem – pani zamknęła dyskusję z taką mocą, że pan umilkł ostatecznie, choć miał na poparcie swojej tezy całe mnóstwo dowodów. Jednak czuł, że żaden z nich nie przekona pani, która umiała liczyć. Szczególnie cudze lata.

Zbigniew Adamczyk



A PRAWO, PRAWO ZNACZYĆ MIAŁO

W moim poprzednim felietonie obiecałem Państwu, że przybliżę o co chodzi w uchwalaniu budżetu. Najpierw należy zadać sobie pytania:

– Jakim sposobem minister finansów pozyskuje dane do projektu budżetu państwa?

– Kto przepowiada, co w polskiej gospodarce i wokół niej się będzie działo za pół roku czy 7-8 miesięcy od momentu stworzenia projektu budżetu? (Czyżby zatrudniano proroka? lub jasnowidza?).

– O co wybuchają kłótnie wywoływane przez naszych posłów – o zapisy odpowiednich kwot czy sum w projekcie tego wirtualnego budżetu?

Projekt budżetu państwa jest opracowywany z roku na rok. I tak w roku 2012 planuje się budżet na rok 2013. Zapisy w tym budżecie pochodzą więc na podstawie danych z marca do września 2012 roku. Natomiast przedsiębiorstwa i firmy swoje bilanse za rok 2012 składają do urzędów skarbowych za rok 2012 do 30 czerwca 2013 roku. Łatwo więc policzyć, że od września czy nawet listopada 2012 roku do czerwca 2013 roku mija dziewięć lub co najmniej siedem miesięcy. Więc co za dane ma minister finansów? Wirtualne!!! Znowu mamy do czynienia z prognozami, a nie ze stanem faktycznym. Czyli co by było gdyby??? Ale to nie koniec tego typu działań, ponieważ to, co uchwali sejm (posłowie), trzeba wykonać, a realizacja tych prognoz dla niejednego przedsiębiorcy może mieć fatalne skutki. System działa tak:

– Urzędy skarbowe dają prognozy (dane do budżetu) do Izb Skarbowych, a te następnie do ministerstwa finansów. Do tego jeszcze dane daje GUS i urzędy miast i gmin z rejestrów działalności gospodarczej itd. Na podstawie tych, jakże nieaktualnych na rok następny danych, jest tworzony projekt budżetu poszerzony o dane uzyskane z poszczególnych ministerstw w zakresie wykonania budżetu bieżącego i planów finansowych na rok następny.

– Każdy podmiot (urząd) dający te wirtualne dane do MF po zatwierdzeniu (uchwaleniu) przez sejm budżetu na rok 2013 musi te prognozy zrealizować, czyli wykonać. Nikogo nie interesuje, że za 7-9 miesięcy wszystko na ich terenie działania mogło się zmienić. Że upadłość ogło-

siło lub zakończyło działalność gospodarczą kilkaset firm. Rynek bezrobocia wzrósł o kolejną partię ludzi, a nowo powstające podmioty gospodarcze dopiero „rozwijają skrzydła”. Pieniądze do budżetu trzeba ściągnąć, obojętnie z kogo. I tak zaczyna się polowanie, aby wykonać „prognozę” przesłaną do MF.

Urzędy i ich pracownicy, którzy „zabezpieczą” i przekażą do MF prognozowane pieniądze – są zagradzani za wykonanie swoich planów (prognoz). I zrobią wszystko, aby taką nagrodę otrzymać. Bez różnicy im z kogo ściągną pieniądze – już nie wirtualne, a realne. Wtedy drżycie firmy i prowadzący działalność gospodarczą, aby jakaś kontrola finansowa Was nie spotkała. Bo po jej zakończeniu będzie wydana „decyzja administracyjna”, a wymieniona w niej kwota musi być zapłacona, pomimo że postępowanie odwoławcze jeszcze się nie zakończyło. Część tych przepisów zmieniono, ale zasada, że urzędnik ma rację pozostała, a dochodzenie swoich racji przed sądami trwa lata. Jest to praktycznie koniec działalności firmy lub osoby fizycznej, a dla zatrudnionych w nich pracowników „zsyłka” na bezrobocie. I co? I NIC!!!!

W trakcie uchwalania budżetu w sejmie trwa dyskusja nad jego projektem. Po co? Jak to wszystko to i tak jest nieprawda? Po to mianowicie, aby MF mogło w roku 2013 odpowiednio przekazywać otrzymywane z tzw. terenu pieniądze, wpływające do nich z różnych podatków, kar, domiarów, VAT-u, udziałów Skarbu państwa w spółkach prawa handlowego i innych. Dlatego dla państwa ważne jest, jaka kwota pieniędzy będzie zapisana przy pozycji budżetu, którą jest zainteresowany, a nie skąd się ją weźmie. Bez zapisu w uchwalonym budżecie, bez zapisanej w odpowiedniej pozycji kwoty pieniędzy nic niezaplanowanego nie da się zrobić, ponieważ na takie działania nie ma zaplanowanych pieniędzy. I co? I NIC!!!!

Co roku ten sam kołowrotek się kręci i kręci, a firmy upadają, powstają nowe, które nie wiedzą co je czeka (pisałem poprzednio), polowanie trwa, a w sejmie trwa dyskusja nad następnymi wydatkami. Przy budowie tylko jednej autostrady „wykończono” ok. 1000 firm. Czasami się zastanawiam kto wyrządził społeczeństwu większą krzywdę: „Amber Gold” czy Skarb państwa? I co? I NIC!!!!

Michał Kręcis

Zagłębiowskie szkice monograficzne

Nakładem Stowarzyszenia Autorów Polskich. Oddział w Będzinie ukazała się obszerna publikacja *Zagłębiowskie szkice monograficzne. Historia – Kultura – Oświata (2010/2011)*. Jak przypomina prof. Mirosław Pączek: „Wydawnictwa z historii regionalnej Zagłębia Dąbrowskiego są dla kulturowania polskiej tradycji tego subregionu niezwykle potrzebne, szczególnie w kontekście edukacji młodego pokolenia”. Wykazała to znakomicie w opinii do tej książki dr hab. prof. Uniwersytetu Śląskiego Anna Glimos-Nadgórska, pisząc m.in. „o dokonaniach tych wszystkich, którzy podjęli się trudu kontynuowania dzieła zmierzającego do utrwalania tożsamości Zagłębia Dąbrowskiego”. Książka wpisuje się w mającą już swoją tradycję refleksję nad regionem, której podstawą jest docieranie do, nie- rzadko trudno dostępnych i rozproszonych, źródeł historycznych. Treścią opracowania są referaty wygłoszone podczas Sympozjów Zagłębiowskich z roku 2010 i 2011, poświęcone pamięci Patrona Klubu Kronikarzy Zagłębia Dąbrowskiego, znanego i oryginalnego, wręcz renesansowego twórcy – dziennikarza, polonisty i historyka dr. Jana Przemszy-Zielińskiego.

Szkice składające się na publikację ułożone są w dwóch działach odpowiadających poszczególnym sympozjom. Część pierwsza – rok 2010: 1. Bolesław Ciepiela



„Klub Kronikarzy, historia, dokonania, kronikarze”; 2. Jerzy Talkowski „Zagłębie Dąbrowskie w zapisach dawnych i współczesnych kronikarzy”; 3. Zbigniew Studencki „Jeszcze raz o Trójkącie Trzech Cesarzy”; 4. Irena Imiołek „Tajne nauczanie w latach 1939–1945 w Dąbrowie Górniczej”; 5. Mieczysław Starczewski „Udział Zagłębiaków w Sieci WO – 1 Wywiadu Stragonn”. Część druga – rok 2011: 1. Zdzisław Gębołyś „W służbie wiedzy, regionu – działalność wydawnicza Zagłębia Dąbrowskiego”; 2. Jacek Malikowski „Ziemia Mierzęcicka – jeszcze Zagłębie Dąbrowskie czy już nie?”; 3. Jerzy Talkowski „Historyczne związki pomiędzy kulturą polską a niemiecką”; 4. Aleksander Rybak „Historyczne związki między kulturą polską a niemiecką”; 5. Dariusz Jurek „Konieczność i sposoby utrwalania tożsamości Zagłębia Dąbrowskiego”; 6. Artur Rejdak „Jan Zieliński nasza młodość i spór o przejazd Jana III Sobieskiego przez Będzin i Czeladź na Odsiecz Wiedeńską”. Tom kończy Posłowie oraz informacje o autorach opracowania. Jak podkreśla prof. M. Ponczek: „więcej takich książek o treściach regionalnych. Oby urzędy i instytucje kultury poważnie zastanowiły się w gronie posłów i prezydentów miast z naszego subregionu nad pilną potrzebą stałego sponsorowania tego typu publikacji. Proszę o to poważnie decydentów życia społecznego Zagłębia Dąbrowskiego”.

Zagłębiowskie szkice monograficzne. Historia – Kultura – Oświata (2010/ 2011).
Stowarzyszenie Autorów Polskich. Oddział w Będzinie, Będzin 2012.

A fe!

Najnowszy zbiór Jerzego Suchanka ma – jakże zaskakujący – tytuł: *Fe*. Czym jest „fe”? Dlaczego „fe” jest „fe”? Czy „fe” może przestać być „fe”? Każdy ma „fe”? A może każdy jest „fe”? Jak pozbyć się „fe”? Albo jak je uzyskać? Na te i inne pytania przynajmniej częściowo odpowiada nam lektura wierszy pomieszczonych w tomiku, Suchanek jest bowiem poetą niezwykle konsekwentnym. I tak jak w zbiorze *Ku* – pisał Marian Kisiel – „jednocześnie stwarzał świat w języku i chciał ten świat językiem zburzyć”, tak w *Fe* próbuje dalej jednocześnie burzyć i budować, pytać i odpowiadać, łączyć i rozdzielać, sklejać i rozwalać. Rozwartwia język na zdania, zdania na słowa, słowa na sylaby, litery, głoski, znaki. Już nie ma racji wieszcz, już nie „chodzi o to, aby język giętki powiedział wszystko, co pomyśli głowa”. Teraz „chodzi o to, by chodziło o to, że tylko, wyłącznie fe dla fe”!

Co zatem znajdziemy w najnowszym tomie autora *Czytaj szeptem*? Wszystko to, do czego przyzwyczaił nas już w swojej twórczości. Mamy zatem próby rozliczeń z ważkimi i ciężkimi tematami takimi jak: Bóg, Honor, Ojczyzna, idea Matki Polki, śmierć, życie, miłość, ostateczność. Mamy rozliczanie z poezją i poetami w ogóle. Znajdziemy tu nawiązania, aluzje, parodie, odpowiedzi na teksty zarówno romantyków: Juliusza Słowackiego, Adama Mickiewicza, Cypriana Kamila Norwida, jak i poetów dwudziestowiecznych: Jana Lechonia, Jarosława Marka Rymkiewicza, Jana Krzysztofa Adamkiewicza, Macieja Meleckiego i innych. Mamy nawet swoistą ekfrazę w postaci wiersza *Wyznawca*, będącego – jak czytamy – ilustracją do obrazu Juliusza Kossaka *Mau-*

rycy Potocki na polowaniu. Mamy w końcu lingwistyczne łamańce (jak ten nawiązujący do znanego wierszyka dziecięcego Jana Brzechwy), na którym język złamać sobie mogą nie tylko obcokrajowcy:

*Wiersz dla wiersza o wierszu
będzie się pisał w wierszu o wieprzu. Zaś wiersz
wieprz wręcz się rozepcze i zaprze w wierszu, a ty
wierszu wierz, nie wierz. A ty wierszu wciąż wiesz,
nie wiesz. Po wieprzu wiesz. Węsz wierszu wiersz
po wierszu; miast wiersza miast i wież wiersz
wieprz i wiersz wiesz. Owszem; za owsem wieprz
prze przez wiersz, wiesz wszywa się we wsze szwy.*

Przede wszystkim znajdziemy więc w *Fe* wiersze będące dekonstrukcją języka. Jest zatem Suchanek poetą tworzącym na palimpseście słów i znaczeń. Wieloznaczeń. Tropi utarte klisze, fantazmaty, stereotypy, asocjacje. To wielowarstwowa semantyka: piszę, ścieram, piszę, zmazuję, piszę. Granice języka nie są granicami świata, a granice świata nie są granicami języka. To ciągle wyjście poza. Szyfrowanie i deszyfracja. Konstrukcja i dekonstrukcja. Mitologizacja i demitologizacja. Przy czym, wbrew pozorom, wszystko przebiega konsekwentnie, czasami na zasadzie reakcji łańcuchowej, a czasami zaś przyczyna staje się skutkiem, a skutek nie jest celem, a pozorem celu, mylnym tropem, który bardziej tylko gmatwa i tak już zagmatwaną warstwę językową. Jak na przykład w utworze będącym opowieścią o zawieszeniu, o „życiu bez umarłości nieumarłej”:

*Nie żyje. Nie żyje! A nie umarł. Nie żyje, a nie
umarł. Nie umarł! Tak żył, tak się żył, tak się
wyżył, wyżyłował, zażył życia, zażywał życia
i się aż tak wyrzygał życiem, że już nie żyje. Nie
żyje, nie żyje, ale chyba żałuje, że nie umarł.
Nie umarł, a nieżywy, żadnym żywotem nie żywi
żywych, nieżywych w życiu i żyjących w umarłości,
co to w umarłościach nie do zażegnania wciąż żarzą
się, wciąż roznoszą zarzewie, rzewne i żądne
rządków, rządów, rządów, urzędów. A jeszcze są
te umarłości złowieszcze. Żarliwie żądają zórz,
żałób, odrzucają żłób, żądze, jedzą żołędzie, co
dalej będzie? Może wiedzą łabędzie? Porządki
miast pożądań, i te nędze, nędze, nie pieniądze.
Wszędzie tu mamy umarłości, gnaty, graty, groby,
kości, czaszki, blaszki, puste flaszki a w nich ich
listy, krzyki i krzyżyki, żyzne życzenia, przyznać
trzeba, że żyzne, żywiczne, w bąblu krwi orzeł
orzecha włoskiego, jak tym bąblem potrząsnąć, to
śnieży w nim, jak tam... tam, no tam, tamtamtam.
[...]*

Autor wyboru *Jutro przeczytaj jeszcze raz* staje się także jedynym w swoim rodzaju hipnotyzerem słów. Ich zaklinaczem. Podatność na hipnozę wiąże się, jak wiadomo, z podatnością na sugestię. Wiersze są tu więc także w pewnym sensie magiczną formułą, sugestią pewnego układu, pewne-

go obrazu, wyimka rzeczywistości, ciągu asocjacji, przy czym Suchanka nie interesują ani wiersze traktowane tylko jako przedmiot estetyczny, ani wiersze zamknięte mniej lub bardziej celną puentą, jego utwory są w ciągłym procesie powstawania, trwania, wyrażania, jednoczesnego konstruowania i dekonstruowania. Mają dzięki temu możliwość ciągłego rozrostu, a może raczej przyrostu, słów i znaczeń. Sięgając po tomik *Fe*, musimy zdawać sobie sprawę, że jego lektura wytrąca z równowagi, wytrąca z obranej ścieżki interpretacyjnej, wymyka się dostępnym metodologiom, pozbawia tego, do czego nas przyzwyczajono. Musimy zapomnieć o tym, czego nas nauczono i spojrzeć na nowo. Sposób inaczej. W pewnym sensie na nowo nauczyć się czytać.

Jerzy Suchanek jest – jak wielokrotnie podkreślano – poetą oryginalnym, konsekwentnym i wymykającym się tradycyjnym analizom i interpretacjom. Wiadomo, że każdy twórca chce mieć swoje miejsce w historii. „Dobrze mieć miejsce. Stale. Lub choć na chwilę” – pisze Suchanek w tekście *Proh, dolor! Proh, pudor!*. On już je ma. I *Fe* jest tego kolejnym dowodem.

Magdalena Boczkowska

J. Suchanek: *Fe*. Instytut Mikołowski, Mikołów 2012



David Shapiro o śniegu

2 stycznia 66. urodziny obchodził David Joel Shapiro, amerykański poeta i krytyk sztuki. Biografia Davida Shapiro jest dość charakterystyczna; urodził się w 1947 r. w amerykańskiej rodzinie pochodzenia żydowskiego, w której każdy uprawiał jakąś sztukę lub miał w jakiejś dziedzinie znaczące zdolności. Jego przodkowie przybyli do USA z terenów dzisiejszej Białorusi i Ukrainy. Oto słowa poety zaczerpnięte z naszej rozmowy z października 1997 r.: – „Wiersze pisała [moja] babka i wuj, który dokuczał mi, ponieważ moja poezja nie była rymowana. Zacząłem pisać mając dziewięć lat. Naśladowałem [innych] poetów i nauczyłem się „mówić ich głosami” – byli to Thomas, [TS] Eliot itd. Mając dziesięć lat próbowałem nauczyć się na pamięć *Ziemi jałowej*.”

Rodzina Shapiro mieszkała w Newark w stanie New Jersey. – W czasach mojego dzieciństwa Newark było piękne. – wspominał poeta w czerwcu 1997 r. – Było to kwitnące miasto przemysłowe zamieszkane przez Żydów, Włochów i Afroamerykanów, ale aż do 1967 nie znaliśmy zamieszek¹. Moi rodzice wierzyli, że to miasto można zintegrować. Posyłało mnie do szkół publicznych (...) Kiedy byłem nastolatkiem, dało się już odczuć antagonizm rasowy i raz czy dwa oberwałem. To było bardzo muzyczne miasto pełne orkiestr i chórów. Miałem szczęście dorastać w miejscu, które było niemalże skonsolidowanym gettem.

David Joel Shapiro jest od lat profesorem nowojorskiej uczelni William Paterson College, gdzie wykłada historię sztuki. Jego żoną jest architektka Lindsay Shapiro; mają syna Daniela (ur. 1983). Shapiro jest wielbicielem poezji Anny Świrszczyńskiej.

Śnieg

(z tomu *To an Idea*)

*Najpierw śnieg tajał cicho
i potajemnie od środka.*

Pasternak

Ciemne niebo przejaśniało się z rzadka.

Po Chü-i

*Od dnia mych narodzin w mieście Newark
Chwila za chwilą pada bardzo drobny śnieg.*

Z rzadka przestaje padać w moich snach.

Śnieg się szerzy, aby sięgnąć dachów; toną w nim

Windy; we śnie budują śnieżne fortece.

Sen, który śniłem to również śnieg –

Śnieg trujący jak podmalówka w Hiszpanii –

Śnieg na powierzchni obszernej jak uchodźstwo –

Śnieg w samolotach, które niemal dotykają ci twarzy –

Radzę ci go nie malować.

Na końcu ulicy słyszę śnieżną pieśń;

Śnieżne ptaki zagubione w białym chińskim śniegu;

W jedną noc części samochodu zmieniły się w śnieg;

Inny samochód jedzie przed siebie dla nauki.

Śnieg napadał do starej buteleczki po korektorze.

Katarzyna Wywiał

¹ Zamieszki na tle rasowym wybuchły w 1967 i trwały 6 dni (12-17 lipca). Miało to miejsce po tym, jak biali policjanci zatrzymali czarnego kierowcę taksówki. W trakcie zamieszek śmierć poniosło 26 osób.

10 lat „Migotań”

Czy można pomyśleć czasopismo literackie, którego łamy będą otwarte na różne opcje artystyczne i światopoglądowe? Można. Znakomitym tego przykładem są wydawane w Gdańsku „Migotania”, ogólnopolski kwartalnik o podtytule „Gazeta literacka”. I faktycznie wygląda jak gazeta, tyle że bardzo wysmakowana graficznie. Przez 10 lat na łamach gdańskiego periodyku gościło prawie 650 autorów: poetów, prozaików, eseistów, plastyków i fotografików – wśród nich również wielu twórców z Zagłębia. Jaki był początek?

– W 2002 roku wydałem tom poetycki „Migotania, przejaśnienia, czerwone tunele” – wspomina Zbigniew Joachimiak, redaktor naczelny i wydawca. – W gronie przyjaciół przygotowaliśmy promocję książki i wtedy Władysław Zawistowski zaproponował wydanie tzw. jednodniówki. Czyli jednorazowej gazetki, mającej prezentować moją twórczość. Przy pracy nie zabrakło w naszym gronie Antoniego Pawlaka. Szybko się okazało, że takie pismo jest potrzebne nie tylko nam, poetom i pisarzom, ale upominają się o nie czytelnicy. Wkrótce ukazał się kolejny numer, potem następne. Najpierw kilkunasto-, następnie dwudziestostronicowe. W roku jubileuszu dziesięciolecia „Migotania” miały już 60 stron. To dużo, bo przecież pismo ma format A-3. I z tego formatu raczej nie zrezygnujemy, bo nie będziemy publikować reprodukcji prac plastycznych w wielkości właściwej znaczkom pocztowym. Poza tym również wiersze potrzebują oddechu, przestrzeni...

Mądrze komponowana różnorodność, sugestywna szata graficzna niewątpliwie wyróżniają „Migotania” spośród rzeszy często nudnych, nie tylko wizualnie czasopism literackich. Redaktor naczelny pisma szczególnie dba też o młodych poetów, udostępnia łamy ich wierszom, ale też uczy młode pokolenia adeptów pióra kultury literackiej. Prenumeruj „Migotania”, zachęca. Popieraj czasopismo, w którym publikujesz i chcesz publikować.

Gratulujemy świetnej dekady i życzymy kolejnych, co najmniej równie udanych.

(fn)



GAZETA MYSZKOWSKA

TYGODNIK POWIATOWY
ukazuje się od 1993r.

Tygodnik „Gazeta Myszkowska” zaistniał w 1993 r., w czasie, kiedy powstawały pierwsze gazety lokalne na polskim rynku. Intensywny rozwój prasy lokalnej rozpoczął się od 1991 roku, po pierwszych wyborach samorządowych i powstaniu gmin. Większość gazet samorządowych na ogół nie pełni swojej podstawowej funkcji – recenzenta działalności władz. Inną drogę obrała redakcja „Gazety Myszkowskiej”. Założycielem tygodnika jest Jarosław Mazanek, którego do utworzenia lokalnego tygodnika zainspirował nieżyjący już redaktor Bronisław Kowalski (był m.in. red. naczelnym „Poznaniaka”, wieloletnim red. nac. „Dziennika Zachodniego”, doradcą Edwarda Gierka). Przez kilka lat „Gazeta Myszkowska” często była przykładem dziennikarstwa lokalnego omawianym podczas zajęć wśród studentów UŚ studiujących dziennikarstwo. Według badań katedry prasowej przy UŚ „GM” jest obecnie najstarszym tygodnikiem lokalnym, który powstał po okresie transformacji ustrojowej i nieprzerwanie istnieje do dzisiaj.

Założycielowi tygodnika przyświecało kilka zasad: 1. Niezależność ekonomiczna gazety. Dzięki niskim kosztom redakcyjnym (pierwsza redakcja mieściła się w rodzinnym domu red. naczelnego) „GM” była dochodowa od 1 numeru, co w dzisiejszych czasach jest niemożliwe. 2. Legalizm działania – od pierwszego numeru „GM” była wydawana na legalnym oprogramowaniu, w tamtym czasie bardzo drogim. Ale dzięki temu tygodnik produkowany był nowocześnie, pod pełną kontrolą redakcji (nie zlecamy składu na zewnątrz). W 1993 r. wydatki na oprogramowanie i sprzęt były jedynymi inwestycjami, na które wydawca musiał zaciągać kredyty. Jednym z głównych zakupów była, kosztująca wtedy – pamiętamy do dzisiaj – 40 mln zł (oczywiście przed denominacją złotych) drukarka laserowa HP4. Choć nie jest już używana, stoi sprawna w redakcji do dzisiaj.

3. Misja gazety – od początku istnienia redakcja „GM” zajmuje się opisywaniem codziennych spraw społeczności lokalnych. Na wiele lat przed powstaniem w Polsce powiatów, w uzupełniającym tytule przywiniecie umieściliśmy napis: TYGODNIK POWIATOWY. Za jedno z podstawowych zadań „GM” uważamy ocenę, analizę działań samorządów gminnych i powiatowych z obszaru działania gazety.

Zasięg „Gazety Myszkowskiej”: powiat myszkowski (5 gmin) i gminy przyległe – Włodowice, Kroczyce (powiat zawierciański), Lelów, Janów – powiat częstochowski ziemski.

Nakład: W 1993 r. 1900 egz. Nakład obecny: 8500 egz.

Skład redakcji: Jarosław Mazanek – redaktor naczelny od 1993 roku. Pozostały skład redakcji ulegał zmianom przez lata. Obecny skład zespołu (etatowy): Robert Bączynski, Sebastian Ruciński (sport) Katarzyna Kieras, Roksana Tomaszewska, Małgorzata Radosz (reklama), Sylwia Mazanek (szef działu reklamy i DTP), Tomasz Urbański (DTP). Zespół uzupełniony jest przez kilku współpracowników.

Adres redakcji: 42-300 Myszków ul. Sikorskiego 53F www.gazeta-myszkowska.pl

RYTUALNY UBÓJ ZWIERZĄT

Dusza mieszka we krwi. Krew mieszka w zwierzęciu. Przed spożyciem mięsa trzeba uwolnić ducha. Jeśli

- 5 Nazwiesz to *halal* czy *szachita*, cierpienie nie będzie Mniejsze. Konieczna jest pełna przytomność. Zabija się Poderżnięciem gardła. Otwarty przełyk, z którego płynie Modlitwa. O, okrutni bogowie! Wymyśliście nawet Specjalne klatki do unieruchamiania zwierząt: Weinberg
- 10 (czas w klatce: sto trzydzieści sekund; szamotanie się przed cięciem: trzynaście sekund; liczba wokalizacji: około pięciu) lub Aspca (czas w klatce: jedenaście sekund; szamotanie się przed cięciem: około półtorej sekundy, liczba wokalizacji: zero).

15 SALA MASTODONTÓW

Jaskinia do składania ofiar, a w niej dzieci Azteków Przeznaczone bogom. Ich podcięte gardła i krzyk Rodziców, który jest jak burza. Jak deszcz przynoszący

20 Oczyszczenie.

DOM JEDWABNYCH MOTYLI

Chwilę przed północą. Ciemność jest gęsta od Zdarzeń. W szafie gęsto jest od gąsienic. Wychodzą z

25 Wypranych majtek i piżam. Z kieszeni garniturów Czyszczonych chemicznie. Po brzegi wypełniają buty. Słyszą drżący ruch. Starasz się o tym nie myśleć. Zamieniasz szafę pełną robactwa na wspomnienie Drobnego ciała. Znów słyszysz tamte słowa: dzieci

30 Zmarłych w szpitalu nie wydaje się bez pokrojenia. Proszę wyrazić zgodę. Podpisywania papierów nie Pamiętaj. Za to nagość pozszywanego dziecka śni się. (Mężczyzna otworzył lodówkę i przerzucił na stół Zakrwawione ciało. Coś krzyczałaś: że trzeba je ubrać,

35 Że owinąć w kocik i żeby nikt się nie ważył zdjąć koca Przed zamknięciem.)

Północ. Wracają głosy: Weźmie sobie pani kartonową Trumienkę, zapakuje ciało do bagażnika i zawiezie do

40 Domu. Stoisz w osłupieniu. Mijają sekundy, a ty nie Możesz pokazać zdziwienia. Tracisz przytomność, a Może przysypiasz. Zaczyna się czas oprzędu. Gąsienice Owijają się nićmi. Siatka wokół jest jeszcze drobna. Sprawia wrażenie łatwej do rozerwania, ale kiedy ruch z

45 Boku na bok wzmacnia się (a jedwab twardnieje), kokony Są gotowe. Robi się ciasno i duszno. (Mężczyzna wiozł Kobietę w gorący dzień. Nikt nie rozumiał tego, co Mówiła do telefonu: że trzeba przewieźć dziecko Karawanem, a nie w bagażniku, że to ważne, że sama Chce umyć syna

50 i ubrać, gdy będzie na miejscu).

Chwilę po północy. Kokony są już na tyle mocne, że Mogą ochronić gąsienice. Teraz wszystko dzieje się W całkowitym braku czucia. Ktoś kwili. To głos twojego

55 Dziecka, które spokojnie spoczywa. Owinęłaś je Najszczelniej jak umiałaś. Szafa przyciąga, więc Skradasz się. Rozwijanie kokonu jedwabnika to wielka Sztuka. Motyle o twarzach dzieci wylatują w noc.

60 CZEKOLADKI JAK DZIECI

Te drobne umarły najszybciej. Zwłoki zaszyto w worki, do Nich przywiązano ciężarki i wyrzucono w morze. Zatoka Wypełniła się głodnymi rybami. Matki wypełniły ściany Tysiącem płytek z nazwiskami. Na tej wyspie nie jada się

65 Marcepanów o twarzach noworodków. W tutejszej klinice Wszyscy są bez włosów. Z szyj sterczą im wkłucia. To nie koszmar. To sala chemii, z której nie każdy Wychodzi. Na dwudziestu ludzi jeden ma dodatkowe żebro. Żebra marcepanowych dzieci stają mi w gardle.

70 ●

Żebra marcepanowych dzieci stają mi w gardle. Kiedy Zginam się w biodrach, wiem że życie nie przyjdzie od Twojego nasienia. Wysokie konwie pozostaną puste. Tam

75 Gdzie ścieżka idzie w górę, natkniemy się na ślady Wykopalisk. Upieczone w popiele ogniska placki Podzielimy równo. Rozmaże się światło dalekich latarni i Jak korzeń mandragory wydamy przejmujący jęk. Narodzenie w porze monsunów przyjdzie przez słowo.

80 Wilgoć na skraju naszych języków otworzy przestrzeń.

●

Za godzinę będzie o dwa tysiące mniej somalijskich Dzieci. Zakopią je matki z suchymi oczami. Głodne Kobiety nie przyjmą różowego *provagu* z zakwaszonego

85 Mleka, choć bakterie skutecznie odbudowują jelita. Porody do piachu bolą mocniej od porodów do wody.

●

Kobieta, o której dawno zapomnieli dzieci, siedzi przy

90 Oknie życia. Okno to miejsce dla anonimowych Niemowląt. Siostrzyczki o czystych łonach przenoszą Je do inkubatorów i stetoskopów. W komputerze znajdują Rodziny. Kobieta, o której dawno zapomnieli dzieci, Siedzi przy oknie. Z każdym dzwonkiem rozmazuje się,

95 Jakby słuchała piosenki miłosnej lub znów była na Porodowce. Pamięta pierwsze zęby, brudne pieluchy, Wywiadówki i matury. Nie zna swoich wnuków. Drzwi Życia ma wciąż niedomknięte.

100 LUNONAUTA

Dzieci zwykle rodzą się na wiosnę. Jeśli nawet jest Grudzień, ich młode pędy wysysają biel z nabrzmiałych Sutków. Matki przynoszą lampki oliwne i puszcza ją na Wodę, a srebrzysta poświata niesie przepowiednię.

105 W jasnej mgle odbywa się taniec wczesnego poczęcia. Wiosenna ziemia nigdy nie może się nasycić, zawsze Chce jeść i wszystko jej smakuje. Latem kornet Zakonnicy uwiera najbardziej. Brzozy pokryte bliznami Pryszczatych chłopców sączą jad. Puchną nogi, a wilgoć

110 Pod pachami staje się nie do zniesienia. Wtedy najłatwiej Podzielić majątek. Wyrzucić za okno stare krawaty, Porwać zdjęcia i upić się nad rzeką. Jesienią najlepiej Wymieniać się płynami. W kolorowych włosach szukać Wytchnienia. Siadać na kolanach i zlizywać zmęczenie z

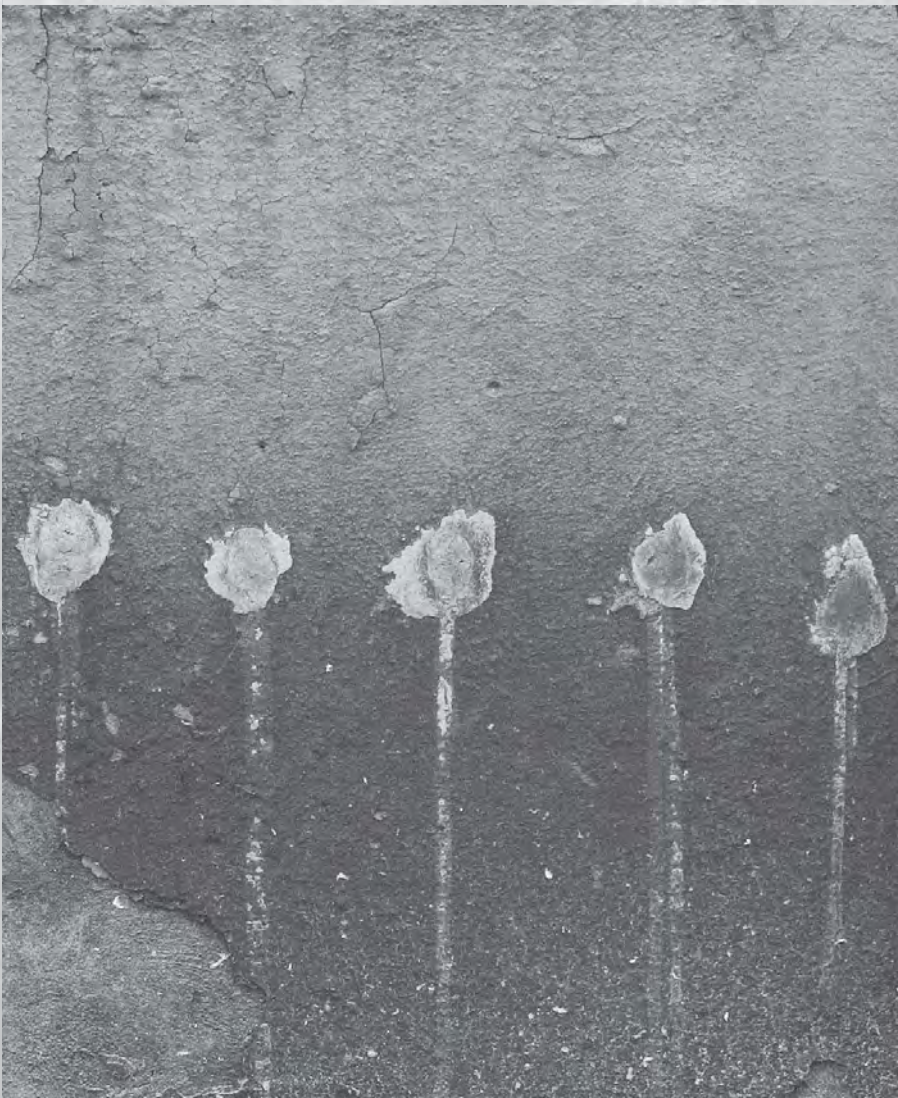
115 Szyi. Jesień jest czasem węszenia za owocami i Przegryzania pestek, z których można wróżyć. Śmierć zawsze stwarza zimę.

Beata Patrycja Klary

Wciąż na krawędzi. Chodzi, obserwuje, spisuje. Nie rozstaje się z aparatem. Filolog polski, bibliotekarz, felietonista, recenzent. Rocznik 76'. Rodowita Gorzowianka w poetyckich rozjazdach. Dwukrotna laureatka Czerwonej Róży – najstarszego konkursu literackiego w Polsce – oraz wielu innych konkursów poetyckich i prozatorskich. Obecnie juroruje m.in. w Konkursie im. K. Furmana, Konkursie im. Z. Morawskiego czy w „O Strzałę Erosa”. Wydała: Arkusze poetyckie: Nokturny intymne (Gorzów Wlkp., 2007), Schną koniczyny (Gorzów Wlkp., 2008). Książki poetyckie: Witraże (Gorzów Wlkp., 2005), Imaginacje (Gorzów Wlkp. 2006) – książka dwujęzyczna, Szczekanie głodnych psów (WiMBP, Gorzów Wlkp, 2010), Zabawa w chowanego (Biblioteka Współczesnej Poezji polskiej „Zeszyty Poetyckie”, Gniezno, 2011), De-klaracje (Sopot, 2012, Biblioteka TOPOSU, T.78) oraz zbiór wywiadów Rozmowy z piórami (Toruń, 2012). Prowadzi swoją stronę internetową (<http://beataklary.w.interia.pl/>).



Fot. T. Kowalski



Sosnowiec eklezjalny

Miejsce Czerwonego Sosnowca niech zajmie w tym esaju Sosnowiec Czarny, jak niektórzy określają to miasto, dla wielu kolebkę religijności Zagłębia. Liczba zabytkowych kościołów w Sosnowcu jest rzeczywiście imponująca na tle innych miast tego regionu. Niżej szkic stanowi jedynie wstęp do tematu tak rozległego i interesującego nie tylko dla mieszkańców Sosnowca.

Oto kościół Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Marii Panny w Sosnowcu-Nowym Sielcu popularnie zwany kościołem na słoninie. Skąd ta nazwa? Słonina była używana w odległych czasach przy usadawianiu fundamentów na podmokłych gruntach. Czytelnik współczesny może sobie wyobrazić, ileż tego surowca zużyto, aby zabezpieczyć fundamenty świątyni prezentującej się jakże okazałe do tej pory na tle innych kościołów sosnowieckich. Przechoździć może sobie niejednokrotnie wyobrazić trud budowniczych umieszczających tego rodzaju niezwykle materiał izolacyjny przy budowie fundamentów gmachu kościoła.

Inny znów kościół św. Tomasza Apostoła w Sosnowcu w dzielnicy Pogoń po pieczołowitej renowacji odsłaniającej wiele atutów formy świątyni imponuje przede wszystkim windą (stąd kościół nazwano kościołem z windą), która zawozi zwiedzających na sam szczyt budowli, aby stamtąd mogli podziwiać w całej pełni panoramę Sosnowca i okolic. Ileż ciekawych miejsc można dojrzeć, mając tak szeroką perspektywę miasta przed oczyma!

Na uwagę zasługuje bazylika katedralna Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, która usytuowana jest przy ul. Kościelnej 1 i przynosi wspomnienie ślubu Poli Negri, niekwestionowanej gwiazdy światowego niemego kina. Nasuwa się pytanie: jak to się stało, że Pola Negri wzięła się w Sosnowcu? Otóż podczas podróży z Warszawy do Berlina na początku 1919 r. aktorka została zatrzymana na stacji granicznej w Sosnowcu, gdzie zarekwirowano kopię jej pierwszego filmu pt. „Niewolnica zmysłów”. To nieporozumienie zaowocowało bliższą znajomością z komendantem straży granicznej podporucznikiem Eugeniuszem Dąbskim i w listopadzie tego roku para pobrała się. Akt ślubu potwierdzający to wydarzenie znajduje się właśnie we wspomnianej sosnowieckiej katedrze. W dokumencie Pola Negri podpisała się jeszcze swoim prawdziwym imieniem i nazwiskiem – Apolonia hr. Dąbska-Chałupiec. Sławna aktorka po ślubie przez kilka miesięcy mieszkała u rodziny państwa Dąbskich w kamienicy przy ul. Kołłątaja, gdzie dzisiaj wid-

nieje tablica pamiątkowa przypominająca jej pobyt w Sosnowcu. Niestety związek zakończył się rozwodem, a Pola Negri nigdy do Sosnowca już nie wróciła.

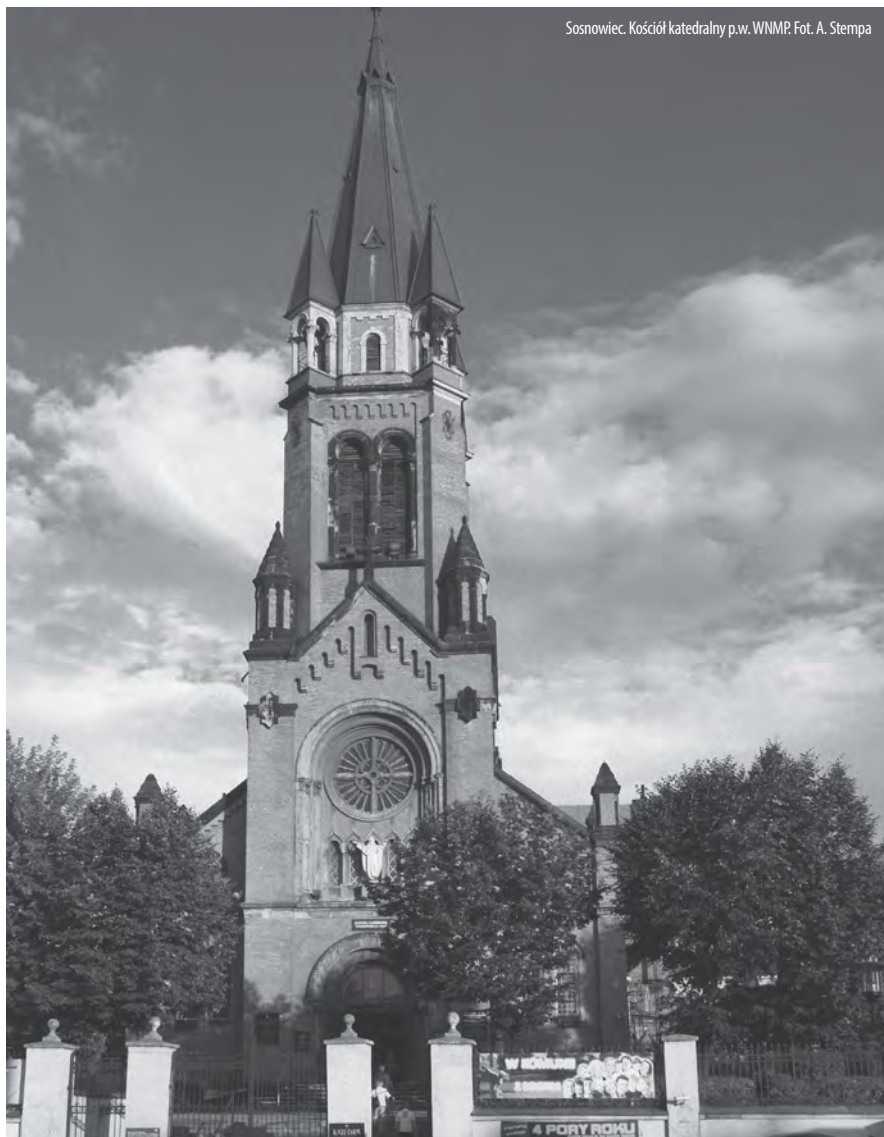
Skromną świątynią jest kościół pod wezwaniem Najświętszego Serca Pana Jezusa, który znajduje się obok stacji kolejowej i dlatego nazywany jest kościołkiem kolejowym.

Te ciekawostki są dla wielu mieszkańców Sosnowca być może zaskoczeniem a jednocześnie mogą budzić sceptyczny uśmiech, bo

historia miasta nieczęsto kojarzy się właśnie z budowlami sakralnymi i z różnego rodzaju anegdotami pokazującymi go z innej strony. Kiedy oglądamy kościoły sosnowieckie, widzimy w nich urzeczywistnienie wysokiego kunsztu architektonicznego, precyzji wykonania i siły ekspresji, zaczynamy zdawać sobie sprawę, iż otwiera się przed nami odmienna perspektywa badawcza związana z praktykami religijnymi mieszkańców miasta, o czym się zapomina, mówiąc przede wszystkim o proletariackim Zagłębiu.

Sakralne budowle nie tylko odsyłają nas w górę, ale czasami właśnie dzięki nim baczniej zaczynamy spoglądać na sprawy Kościoła i miejsce wiernych w posoborowym świecie laikatu mającego tak wiele do zrobienia w czasie ogólnoswiatowego kryzysu wartości także i tych związanych z soteriologią.

Tadeusz Sośniak



Sosnowiec. Kościół katedralny p.w. WNMP. Fot. A. Stempa

Jak pracuje Zagłębie

Przez wiele lat Zagłębie Dąbrowskie było postrzegane jako region bogaty w huty i kopalnie. Po okresie transformacji ustrojowej i gospodarczej sytuacja uległa znaczącej zmianie. Rynek pracy wywrócił się o 180 stopni, by... powrócić do korzeni.

Cechą łączącą miejscowości Zagłębia Dąbrowskiego jest wspólna historia oraz polityka gospodarcza realizowana jeszcze kilkadziesiąt lat temu. Jednak czasy kopalnianych bogactw dawno się skończyły, a przedsiębiorcy musieli się przebranżowić i przystosować do nowej sytuacji. Walka z pozostałościami poprzedniego systemu trwa do dzisiaj, ale nie wszystkie miejscowości Zagłębia radzą sobie z nią dobrze. Według danych GUS z 2011 r. subregion sosnowiecki odnotował jedną z najwyższych stóp bezrobocia w całym województwie śląskim. Od tamtej pory sytuacja nie uległa diametralnej poprawie, jednak można wskazać kilka istotnych zmian ważnych dla Zagłębia Dąbrowskiego. Przede wszystkim rynek usług wyparł sferę produkcji, o czym może świadczyć spadek znaczenia oraz likwidacja dużych zakładów produkcyjnych. Tym tematem zajęła się pracownia badań Ottima, która zdecydowała się przeprowadzić analizę rynku pracy w naszym regionie.

Projekt o nazwie „Badania i analizy kierunków zmian sektora MŚP subregionu Zagłębia Dąbrowskiego w kontekście rynku pracy” to nowatorski pomysł na zebranie i przekazanie informacji przedsiębiorstwom zainteresowanym obecną oraz przyszłościową sytuacją na rynku pracy. Celem projektu jest przede wszystkim raport o stanie zatrudnienia, edukacji, szkoleniach oraz równouprawnieniu w pracy. Przedmiotem badania stały się małe i średnie przedsiębiorstwa znajdujące się na terenie Zagłębia, a konkretnie w subregionie sosnowieckim. Wyniki przeprowadzonych analiz zostaną przekazane 400 instytucjom monitorującym rynek pracy i 1000 firm, w celu lepszego zrozumienia potrzeb oraz problemów nękających region. Twórcy projektu mają nadzieję, że sporządzony przez nich raport stanie się fundamentem w poszukiwaniu rozwiązań zagłębiowskich kłopotów gospodarczych. W ramach projektu zostały zorganizowane spotkania z przedsiębiorcami w każdym z powiatów.

Ostateczne wyniki przeprowadzonych badań zostaną opublikowane pod koniec lutego, jednak pracownia ujawniła już częściowy raport z analiz rynku pracy. Wnioski są zaskakujące, ponieważ ujawniają smutną i przez wielu negowaną prawdę – w dzisiejszych czasach liczą się przede wszystkim specjaliści, a wykształcenie zawodowe i techniczne zaczyna być bardziej doceniane niż popularne niegdyś ogólnokształcące. Renesans szkół zawodowych i technicznych jest wynikiem zapotrzebowania na kadrę związaną z takimi dziedzinami pracy jak budownictwo, architektura, informatyka, logistyka, handel itp. Przy tym przedsiębiorcy stawiają głównie na doświadczonych pracowników, patrząc nieufnie na absolwentów szkół wyższych, którzy według nich nie posiadają odpowiednich kwalifikacji. W Zagłębiu Dąbrowskim przeważają mikro i małe przedsiębiorstwa, które zatrudniają więcej kobiet niż mężczyzn. Kwestia równouprawnienia w pracy również jest sprawą bardzo ciekawą, a jednocześnie niepokojącą, bowiem można odnieść wrażenie, że rola kobiet w gospodarce ani trochę nie wzrosła. Stereotypy dotyczące małej mobilności i dyspozycyjności kobiet są bardzo żywe i odstraszały większość firm. Jeśli jednak dojdzie do sytuacji, w której kobieta zostanie zatrudniona na kierowniczym stanowisku może okazać się, że jej wynagrodzenie będzie niższe o 1000 zł od pensji mężczyzny sprawującego tę samą funkcję. Dyskryminacja kobiet to nie jedyny problem średnich i dużych przedsiębiorstw działających na terenie Zagłębia. Jest nim również brak wykwalifikowanych pracowników fizycznych. Ponad połowa respondentów uważa, że rynek pracy jest ubogi w przedstawicieli tego zawodu, a ich przygotowanie jest niewystarczające. Co ciekawe, przedsiębiorcy niechętnie inwestują w szkolenie swoich pracowników, uważając, że nie ma takiej potrzeby i jest to strata czasu.

Małe firmy z terenów Zagłębia Dąbrowskiego wolą pozyskiwać pracowników za pomocą ogłoszeń w Internecie lub prasie niż korzystać z pomocy Powiatowego Urzędu Pracy. Może być to związane ze stereotypem niekompetentnego pracownika proponowanego przez Urząd, który w ostatecznym rozrachunku liczy wyłącznie na uzyskanie zasiłku. Zaskakujący może być fakt, że przedsiębiorcy nie uwzględniają w swoich planach wydatków na działalność badawczo-rozwojową. Zdecydowana większość, bo aż 73 proc. ankietowanych, uważa, że takie działania są niepotrzebne.

Poszczególne miasta zdecydowały się udostępnić podstawowy zarys rozwoju do roku 2020. Sosnowiec postawił przede wszystkim na nowoczesne technologie, czego wyrazem jest utworzenie Parku Naukowo-Technicznego oraz sferę usług – od gastronomii po bankowość. Dąbrowa Górnicza, powoli detronizująca Sosnowiec z pozycji lidera i stolicy Zagłębia, chce zrealizować kilka postulatów, m.in. zasymilować mieszkańców z terenów miejskich i tzw. zielonych, odbudować społeczność lokalną, zrewitalizować dzielnice miasta, rozbudować infrastrukturę ochrony środowiska oraz postawić na sprawdzone przedsiębiorstwa, jak Arcelor Mittal czy koksownia „Przyjaźń”. Jaworzno, do tej pory traktowane trochę po macoszemu, wyrasta na najbardziej ekologiczną miejscowość Zagłębia. Miasto planuje rozbudowę sieci komunikacyjnej i komunalnej, co ma zatrzymać młodych ludzi i stworzyć im dogodne warunki do życia i pracy.

Podsumowanie wyników badań nie nastraja optymistycznie. Wynika z nich, że sytuacja Zagłębia Dąbrowskiego nie uległa poprawie od lat 80. Wciąż jest to region rozwijający się wolniej od pozostałych w województwie śląskim, posiadający ogromny, ale niewykorzystany potencjał, który marnuje się z roku na rok. Włodarze zagłębiowskich miast z pewnością nie zrealizują wszystkich ze swoich zapowiedzi tym bardziej, że dotyka ich kryzys gospodarczy. Nie oznacza to jednak, że Zagłębie Dąbrowskie jako region zostało spisane na straty. Z taką opinią należy poczekać do ostatecznych wyników projektu.

Paulina Budna

Kapitał społeczny i liderzy NGO

Wiele się mówi wspólnie o potrzebie budowy kapitału społecznego. Zdolność do wykorzystywania szans rozwoju tkwi właśnie w kapitale społecznym. W związku z tym zagadnieniem pojawia się jednak wiele pytań, także tych fundamentalnych. Co to jest kapitał społeczny? Jakie są różnice pomiędzy kapitałem ludzkim a kapitałem społecznym? Czy mierzony jest tylko aktywnością obywatelską i współdziałaniem? W jaki sposób wypełnia przestrzeń społeczną? Jaki ma związek z sieciami powiązań i zależności, a jaki ze zbiorem norm i wartości takimi jak uczciwość, zasada odwzajemniania, zaufanie?

Ludzie umieją nawiązywać ze sobą różnorodne relacje i budować na tej bazie współdziałanie. Oczywiście jest, że społeczeństwo, które umie się zorganizować, może osiągnąć więcej. We współpracy mieszkańcy starożytnego Egiptu byli w stanie wybudować piramidy. Także współcześni ludzie zdolni do działań zespołowych są bardziej kreatywni, wydajniej pracują, razem mogą osiągnąć więcej. Według socjologów: „Kapitał społeczny swoje źródło ma w interakcjach, dzięki którym powiązania i sieci są oparte na zdrowych fundamentach współdziałania. Jest spoiwem zarówno przedsiębiorstwa w nowej ekonomii, jak i społeczeństwa obywatelskiego. Często łączony ze zorientowaniem zbioru zdolności i umiejętności, które umożliwiają współpracę między ludźmi w ramach grup i organizacji na osiągnięcie wspólnego dobra i zrealizowania wspólnych celów. W procesie tym osobista kompetencja do tworzenia grupy i bycia częścią grupy oraz działania wewnątrz niej stanowi znaczną część kapitału społecznego”.

Życie to pasmo przeróżnych wpływów, którym ulegamy i które sami wywieramy. Wpływy bywają niejednokrotnie niszczące, często byle jakie, ale są także jasne, znaczące, wzbogacające życie, dające iskrę dobrym decyzjom, postawom. Bywają kontakty międzyludzkie, o których lepiej od razu zapomnieć. Są też spotkania trwające zaledwie chwilę, a pozostawiające piękne, ważne, wyraźne ślady. Decydujący, pozytywny wpływ na innych, na otoczenie mają liderzy.

Kim jest lider? Można nim być dla innych w rodzinie, w działalności zawodowej, w życiu społecznym. Na szczególną uwagę zasługują wpływy liderów NGO, których wspinała postawa stała się już znakiem rozwoju i jakości społeczeństwa obywatelskiego. Bycie liderem to niekoniecznie piastowanie for-

malnych funkcji, stanowisk, ale niewątpliwie zdolność zjednywania sobie przyjaciół, pociągania za sobą zwolenników, tworzenia prężnych zespołów, kreowanie pozytywnej zmiany.

Z drugiej strony znajdują się tzw. przywódcy tytułarni osiągający wpływy dzięki nominacjom, mający szczególne trudności w pracy z ludźmi o wysokich kwalifikacjach znającymi swoją wartość, nie poddającymi się żadnym formom dyktatury, w szczególności ze społecznikami, na których symbole nie robią wrażenia, gdyż jak nikt inny wiedzą, co to autentyczna praca i wartość. Podobnie jest z młodzieżą, która z natury skłonna jest do odrzucania sztucznych autorytetów, będących wytworem propagandy, sztabów public relations.

Działania w organizacjach non profit, dają możliwości dzielenia się sobą, dawania. Oczywiście także możliwości rozwoju. NGO skupiają ludzi pełnych entuzjazmu, determinacji, optymizmu, odwagi, wiary. Przyciągają ludzi szlachetnych, odpowiedzialnych, zaangażowanych, o dużej wrażliwości społecznej, często dyskredytowanych pośród konformizmu, zakłamania i tam, gdzie przedkłada się cele partykularne ponad interesy zawodowe i społeczne. NGO przyciągają oczywiście także młodych, którzy chcą tworzyć, mieć wpływ, brać życie w swoje ręce oraz dotykać autorytetów, by kiedyś też nimi być.

Wyzwaniem dla liderów NGO poza obszarami pracy wzbogacającej środowisko, jest pomaganie innym w ich osobistym rozwoju, długofalowym wzroście. Potrafią przyjmować słuszne założenia na temat ludzi, patrzeć ich oczyma, znajdować ich nadzieje i marzenia, doceniać, motywować, dawać szacunek i uznanie, edyfikować, tworzyć solidne normy i więzi. Potrafią też uwalniać potencjał członków zwycięskiego zespołu, kształtować kolejnych liderów, duplikować, uruchamiać kapitał społeczny.

Chińskie przysłowie mówi: „Jeśli planujesz na rok, uprawiaj ryż. Jeśli planujesz na dwadzieścia lat, posadź drzewa. Jeśli planujesz na stulecie, kształtuj ludzi”. Myślę, że możemy tu iść jeszcze dalej. Pięknie żyć, kochać ludzi i im nie przewodzić to przywilej wolności, różnorodności, świata. Ale czy można przewodzić, kształtować ludzi – ich nie kochając?

Halina Rybak-Gredka

Założyciel i prezes OPP – Stowarzyszenia Dzieciom Będzina (obecnie Stowarzyszenie „Dobre ręce”)

Obchodzić czy świętować? Kalendarium rocznic na 2013 rok

W minionym roku, obfitującym w obchody rocznicowe ważnych wydarzeń, jak 68. rocznica Powstania Warszawskiego, szczególnie mocno pobrzmiewało pytanie o to, skąd bierze się w Polakach niechęć do historii i świąt narodowych oraz upamiętniania wielkich wydarzeń z przeszłości. Wskazywano przy tym na głęboko zakorzenione przekonanie o nikłej atrakcyjności naszych dziejów naznaczonych martyrologią – rozbiory, powstania i okupacje formowały przecież kolejne pokolenia Polaków. Władze wielu miast wyraźnie starali się o to, aby oficjalnym uroczystościom, których stałymi elementami są zwykle msze, składanie wieńców, towarzyszyły różnorodne imprezy, jak koncerty, rekonstrukcje, gry uliczne itd. O czym wielokrotnie informowały media, dla wielu rodaków rocznice i tak, pomimo tej bogatej oferty, stały się okazją przede wszystkim do świętowania długich weekendów. Wiele więc, jak zwykle, obchodziło rocznice, ale z daleka, czyli inaczej mówiąc, dookoła. Świadczyć to może przede wszystkim, że nadal istnieje problem polegający na tym, że nie wykształcił się akceptowany przez większość model wspólnego upamiętniania ważnych wydarzeń. Mogłoby się wydawać, że poszerzenie oferty o elementy edukacyjne, propozycja różnorodnych sposobów uczestnictwa jest dobrą drogą, jednak i one spotkały się z krytyką. „– Ja jestem bardzo sceptyczny wobec takich działań. Pod przykrywką działań edukacyjnych budują wokół Powstania Warszawskiego aurę prawie że zabawy. To nie są te emocje, które powinniśmy kształtować w odniesieniu do tragicznych wydarzeń – tak skomentował dla Radia TOK FM tę nieformalną część obchodów prof. Jan Hartman, filozof i bioetyk z Uniwersytetu Jagiellońskiego”. Nie brakło też licznych przychylnych głosów, spośród których najbardziej znaczące wydają się te, które poparte były świadectwem uczestniczenia. Widzieliśmy to na ekranach tele-

wizorów, ale także na ulicach, w parkach, skwerach w miastach i gminach Zagłębia. Być może zatem jeszcze za wcześnie, aby mógł powstać jakiś model obchodzenia ważnych świąt i rocznic, jednak na pewno nie za wcześnie na dyskusję.

W obecnym roku mamy przed sobą rocznice, także te trudne, jak 150. rocznica powstania styczniowego, których upamiętnienie będzie nie tylko sprawdzianem dla władz samorządowych, ale też okazją dla mieszkańców, aby włączyć się do dyskusji.

Wśród zagłębiowskich miast przygotowujących ofertę kulturalną z myślą o włączeniu w działania organizacji pozarządowych oraz podmiotów prowadzących działalność pożytku publicznego jest Sosnowiec, który ogłosił konkurs ofert publicznych. Konkursy tego typu dają szansę na wsparcie inicjatyw „oddolnych”. Być może pojawią się więc interesujące propozycje, których wyróżnikiem będzie przekaz treści edukacyjnych, doskonale opracowanych pod względem merytorycznym, a do tego w niebanalnej formie. Miejmy nadzieję, że władze będą sprzyjać oryginalnym rozwiązaniom. W otwartym konkursie ofert na realizację zadań publicznych w dziedzinie kultury w 2013 roku ogłoszonym przez Prezydenta Miasta Sosnowca określono zadania wiodące dla miasta w bieżącym roku, są nimi m.in.:

– **Organizacja wydarzeń i inicjatyw kulturalnych mających na celu upamiętnienie 150. rocznicy powstania styczniowego** – polecamy Państwu obszerny artykuł Eugeniusza Januły w niniejszym numerze „Nowego Zagłębia”.

– **Organizacja wydarzeń i inicjatyw kulturalnych mających na celu upamiętnienie 60. rocznicy śmierci Juliana Tuwima** – pisarza, autor wodewili, skeczy, librett operetkowych i tekstów piosenek, współzałożyciela kabaretu literackiego „Pod Picadorem” i grupy poetyckiej „Skamander”, jednego z najbardziej znanych artystów okresu międzywojnia.

– **Organizacja wydarzeń i inicjatyw kulturalnych mających na celu upamiętnienie 60. rocznicy śmierci Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego**, poety związanego z grupą poetycką „Kwadryga”, autora wielu popularnych wierszy, w tym „Pieśni o żołnierzach z Westerplatte”, znanego także szerszej publiczności z cyklu „Zielonych Gęsi”, miniatur o niepowtarzalnym typie groteskowego komizmu.

– **Organizacja wydarzeń i inicjatyw kulturalnych mających na celu upamiętnienie 80. urodzin Stanisława Jędryki**, urodzonego w Sosnowcu reżysera i scenarzysty filmowego. Do klasyki filmu polskiego przeszły jego przygodowe seriale telewizyjne: *Wakacje z duchami* oraz nakręcony w 1971 roku *Podróż za jeden uśmiech*.

– **Organizacja wydarzeń i inicjatyw kulturalnych mających na celu upamiętnienie i popularyzację dorobku artystycznego znanych sosnowiczian.**

Podmiotami uprawnionymi do złożenia oferty w konkursie były organizacje pozarządowe oraz podmioty prowadzące działalność statutową w dziedzinie, której konkurs dotyczy. Oferty można było składać do 21 stycznia do godziny 15:30. Oferty na realizację zadań będą rozpatrzone do dnia 8 lutego 2013 r. Jak informuje UM Sosnowca: „Wyniki konkursu ofert zostaną niezwłocznie przekazane pisemnie podmiotom, które składały oferty, oraz zostaną opublikowane w Biuletynie Informacji Publicznej Urzędu Miejskiego w Sosnowcu (adres internetowy www.bip.um.sosnowiec.pl), na stronie internetowej Urzędu Miejskiego w Sosnowcu – www.sosnowiec.pl, na stronie internetowej Sosnowieckiego Centrum Organizacji Pozarządowych www.wsparcie.sosnowiec.pl i wywieszone na tablicy ogłoszeń Urzędu Miejskiego w Sosnowcu niezwłocznie po rozstrzygnięciu konkursu ofert”.

Nie wiemy, ile ofert napłynęło, ale jak przypuszczamy, organizacje samorządowe potraktowały temat poważnie. Pozostaje czekać i liczyć na poważne potraktowanie sprawy przez urzędników.

Łukasz Żmuda

Samorządowcy 2011

Ze względu na cykl wydawniczy „Nowego Zagłębia” dopiero w tym numerze relacjonujemy galę laureatów konkursu „Samorządowiec roku 2011 województwa śląskiego”, która odbyła się w Klubie im. Jana Kiepury w Sosnowcu, 17 grudnia ub. roku. Organizatorami już trzeciej edycji konkursu była Oficyna Wydawnicza Regiony, Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich RP oraz Związek Zagłębiowski. Kandydaci do kluczy zgłaszani byli ze 166 jednostek samorządu terytorialnego. Głosowały organizacje pozarządowe, urzędy, media oraz sami wyborcy. Wśród nominowanych znaleźli się radni, wójtowie, burmistrzowie, starostowie i prezydenci.

Kapituła konkursu pod przewodnictwem red. Kazimierza Zarzyckiego, posła na Sejm IV kadencji, wybrała najlepszych i nagrodziła ich złotymi, srebrnymi i brązowymi kluczami oraz wyróżnieniami. Przy wyborze kierowano się, wzorem ubiegłych edycji, działalnością w samorządzie, rozwiązywaniem problemów lokalnych społeczności, kreatywnością oraz skutecznością.

Grudniową galę otworzyli Kazimierz Zarzycki i prof. dr hab. Marek Barański, przewodniczący Związku Zagłębiowskiego. Po uhonorowaniu samorządowców dyplomami odbył się uroczysty bankiet. Całość imprezy w Klubie Kiepury prowadzili red. Lucjan Czerny z Radia Piekary oraz red. Cezary Orzech z Radia Katowice. (Koc)

Fot.arch. red.



„Każdy liść spadający z drzewa ukazuje nam nieco więcej nieba”.

Pokłosie trzeciej edycji konkursu

Stowarzyszenie „ARKA” – Działające na Rzecz Osób Psychiczenie Chorych i Ich Rodzin oraz Środowiskowy Dom Samopomocy dla Osób z Zaburzeniami Psychicznymi „Salve” w Sosnowcu ogłosiły w 2009 roku **Konkurs poezji i prozy poetyckiej**. Wykorzystując doświadczenia i potencjał środowiska oraz dorobek z wcześniej organizowanych okazjonalnie inicjatyw, organizatorzy konkursu na co dzień zajmujący się rehabilitacją, kierowali go głównie, ale nie tylko do osób chorych i doświadczonych chorobą. W momencie narodzin, aspiracją i celem było dotarcie do świadomości społecznej i propagowanie twórczości poetyckiej osób psychicznie chorych. I to się nie zmieniło, a wręcz poszerzyło. Ku radości i satysfakcji pomysłodawców na kolejne edycje obok wierszy i prozy poetyckiej autorów nie w pełni ukształ-



towanych zaczęły napływać utwory dojrzałych poetów. Po trzech odstonach konkurs jest nadal skromnym wydarzeniem – skąpe środki nie pozwalają fundować nagród pieniężnych. Jednak obejmuje już zasięgiem prawie całą Polskę. Cennym śladem poetyckich refleksji i wypowiedzi na tak trudny temat są wydawnictwa pokonkursowe, dotychczas ukazały się trzy tomiki: *Szufłada* – 2009 r., *List do Anioła Stróża* – 2010 r. i *Każdy liść spadający z drzewa ukazuje nam nieco więcej nieba* – 2012 r. Pierwszy konkurs przyniósł nagrodę główną Łukaszowi Jaworskiemu, w drugim I miejsce zdobył Arkadiusz Stosur, a w trzecim, szesnastym nagrodę honorową (równorzędną) otrzymali Tomasz Ososiński za prozę poetycką i Roman Rzucidło za zestaw wierszy. Do obu ostatnich tomików grafik i obrazów użyczył Paweł Graja. Ja zaś miałem przyjemność powoływać je do życia. Opieką objęła konkurs prezes Związku Literatów Polskich Okręgu w Katowicach znana poetka Katarzyna Młynarczyk. W tym miejscu pragnę podziękować również Wydziałowi Kultury i Sztuki i Wydziałowi Zdrowia Urzędu Miejskiego w Sosnowcu za pomoc w dofinansowaniu wydawnictw.

Marek Przybyła

Prawda o małżeństwie



Teatr Zagłębia zaprosił Wojciecha Malajkata do wyreżyserowania „Prawdy” – trochę wodewilu, przede wszystkim farsy, wystawionej po raz pierwszy w Teatrze Montparnasse w styczniu 2011 roku. Autor sztuki – Florian Zeller (ur.1979) jest francuskim pisarzem i dramaturgiem. Pierwszą powieść *Sztuczny śnieg* napisał w wieku 22 lat. Od razu uznany został za jednego z najbardziej błyskotliwych i utalentowanych twórców.

Zeller bawi się tematem maski i kłamstwa w małżeństwie. Dobry mąż, dobra żona. Co to znaczy? Czy dobra żona, to ta, która w zadośćuczynieniu za zdradę dopieszcza męża? Czy dobry mąż powinien zadbać (czytaj – kłamać), by jego żona nie dowiedziała się o jego zdradach? Czy małżonkowie się okłamują? Czy się zdradzają? Cytując klasyka: oczywista oczywistość. Banał? Najoczywistszy!

W efekcie przez dłuższy czas premierowa widownia, która zasiadła w pełnej gotowości do wspierania aktorów Teatru Zagłębia brawami i głośnym śmiechem, czekała na pobudzający do chichotu bon mot. Ale sytuacja na scenie skłaniała raczej dorosłą widownię do medytacji nad własną kondycją. Niemal było słychać rachunek sumienia – a ile razy i ja podobnie kłamałem, kręciłem, oszukiwałem, zdradzałem? Śmiech w takiej sytuacji sprowokowałby raczej do gogolowskiego pytania: z czego się śmiejecie? Sami z siebie się śmiejecie!

I chociaż Grzegorz Kwas jako Michel dwoił się i troił, grał ciałem i głosem z pełnym oddaniem, to ubierał się, to wystawiał goły tors paniom na pokuszenie, widownia nie poddawała się jego brawurowej, znakomi-

tej kreacji. Zbyt mocno tkwiło w umysłach przekonanie, że nie ma się z czego śmieć? Że samo życie? Że zdrada małżeńska, w dodatku z żoną najlepszego przyjaciela, to żaden powód do śmiechu.

Nawet partnerki życiowe i sceniczne Michela nie pobudzały do rżenia: Laurence, śliczna żona (Ewa Kopczyńska), próbowała nieporadnie obnażyć ewidentne kłamstwa, lecz była zbyt dobra i kochająca, żeby wygzekwować prawdę. Alice, kochanka (Małgorzata Sadowska) miotła się między mężem biedaczną, a kłamliwym kochankiem. Obie zbyt dobre dla niego.

Dopiero pojawienie się Paula (Wojciech Leśniak), jowialnego, dobrotliwego, zdradzanego męża, którego najlepszy „nibyprzyjaciel” traktuje z góry, jako tło, na którym wypada szczególnie atrakcyjnie, wprowadza publiczność w pyszny nastrój. Okazuje się

bowiem, że spryciarz zostaje przez fajtlapę wystrychnięty na dudka.

Teraz już można śmiać się do rozpuku – dobrze mu tak! Okazuje się, że oszukiwana żona jest znacznie lepsza w sztuce kłamania. Frant zostaje z głupią miną – oszukany przez oszukiwanych. Poczucie sprawiedliwości zostało zaspokojone!

A wszystko w funkcjonalnej przestrzeni, zaprojektowanej przez Wojciecha Stefaniaka – rodem z nie tak dawnych czasów, kiedy ścianka meblowa udawała wszystko – barek, etażerkę, biurko, biblioteczkę i chowany tapczan, który pełnił również rolę sofy.

A co z prawdą? W czasach, kiedy ukazywała się w ZSRR „Prawda” jako naczelny organ rządowy, w PRL-u opowiadano sobie taką anegdotę: Do piekła przybyła duszyczka. Naraz słyszy gwizdek. Co to takiego? To dziecko skłamało. Po chwili rozległy się fanfary. A teraz? Mąż oszukał żonę. Nagle huk nie do wytrzymania. Wszystkie dzwony rozdzwoniły się na potęgę. W piekle wielka radość. Co się stało? Wydano „Prawdę”. Są więc różne prawdy – i ta, która zwycięża. Tyż prawda?

Więc? Naprawdę na „Prawdę” warto się udać. Bo warto.

Florian Zeller – *Prawda (La vérité)* przełożyła Barbara Grzegorzewska; reżyseria i opracowanie muzyczne: Wojciech Malajkat scenografia i kostiumy: Wojciech Stefaniak; prapremiera: 4.01.2013 r.

Obsada:

Laurence – Ewa Kopczyńska
Alice – Małgorzata Sadowska
Michel – Grzegorz Kwas
Paul – Wojciech Leśniak

Tekst i fot. Z. Adamczyk



Niezwykłe jasełka

Gdy byliśmy sąsiadami na Chopina, my ich odwiedzaliśmy. Oni nas nie. Jakoś nie składało się. Wreszcie uznali, że czas na rewizytę. Przed świętami Bożego Narodzenia grupa najprawdziwszych artystów z Warszt



tatów Terapii Zajęciowej pod opieką pań – kierowniczeki Moniki Włodarczyk-Raczek oraz Bożeny Wrońskiej i Anety Jasickiej przybyła na Północną 9a w Jaworznie i brawurowo zaprosiła na jasełka. Jak zwykle widać było po wszystkich bez wyjątku nieprawdopodobne wręcz zaangażowanie. Oni tym żyją i z tego się cieszą, zarażając swoimi emocjami innych. I publiczność dała się porwać. Cała sala wypełniona po brzegi uczniami ZSP nr 1 śmiała się z zabawnych scenek i powiedzonek. Niektóre celnie trafiały nawet w polityczne struny współczesności. Towarzyszący uczest-

nikom Warsztatów uczniowie technikum energetycznego zenergetyzowali salę szokującą odmianą zwyczajów jasełkowych. Otóż zamiast, jak pa-



stuszkowie złożyć u stóp Nowonarodzonego dary, przyszli... po dary. W zamian za przedłużenie wakacji, skrócenie tygodnia nauki oraz kilka piątek i szóstek obiecali, że może wówczas polubią Jezuska i zaśpie-



wają Mu kołysankę do snu. Zrobiło się swojsko, szkolnie i świątecznie. Na szczęście starsi wykonawcy przywrócili tradycję.

Może wróć znow – obiecali, serdecznie zaproszeni przez dyrektorki obu szkół – panią Magdalena Dydoń-Kliemt (ZSP nr 3) i Bogusławę Hałas (ZSP nr 1). Już postanowili wystąpić w konkursie „Szału ni ma”, który zostanie po raz trzeci rozegrany w czasie ferii zimowych.

Swoistym supportem, wprowadzeniem w nastrój jasełkowy był występ grupki dziewcząt z ZSP nr 1. Udowodniły, że potrafią śpiewać kolędy melodyjnie i składnie. Szkoda, że nie dodały kolędniczego anturażu – choćby gwiazdek na bluzeczkach. Ale i tak było pięknie.



Całość przygotował ks. Łukasz Małkiewicz, współpracujący z obu zespołami energiczny i ofiarny duszpasterz. On też przygotował oprawę religijną występu – refleksje na temat świąt, które ze sceny wypowiadali Natalia Margol i Mariusz Górski.

Paweł Dudek

„W białych sukienkach...”

„Tymi słowami zaczyna się jedna z piosenek, którą zaśpiewały dzieci z Przedszkola nr 50 w Sosnowcu, podczas tegorocznego IV Festiwalu Jasełek w Kazimierzu Górniczym. Na scenie powstałego w 1966 roku Domu Kultury i działającego od 2006 roku jako Miejski Dom Kultury „Kazimierz”, wystąpiły dzieci z około dwudziestu ośrodków edukacyjnych Sosnowca. Udział w Festiwalu, którego obchody przypadają w tym roku na dni 16. i 17. stycznia, zgłosiło trzynaście przedszkoli, trzy szkolne oddziały „0”, pięć szkół podstawowych, cztery gimnazja i zespół opiekuńczo-wychowawczy. Na każde Jasełka, oprócz gimnazjalnych i zespołu opiekuńczo-wychowawczego,

przewidziano pół godziny, a starsi aktorzy mieli około czterdziestu minut.

Obchody Festiwalu podzielono na dwa dni. W pierwszym występowały przedszkolaki, a w drugim zaplanowano Jasełka dzieci ze szkół, gimnazjów i zespołu opiekuńczo-wychowawczego. Pierwszy dzień Jasełek trwał od godziny 8 rano do 14.30, a drugi do 15.50. Oba uwieńczyło ogłoszeniem wyników i uroczystym wręczeniem nagród.

Tegorocznymi laureatami pierwszych miejsc zostały: Przedszkole nr 34 z Juliusza, Szkoła Podstawowa nr 38 i Gimnazjum nr 15.

Na scenie wystąpiły aniołki, królowie, pastuszkowie i Święta Rodzina. Odtwórcy tych ról mocno przeżywali udział

w przedstawieniach, pięknie deklamowali i nie widać było po nich tremy. Cytując ciąg dalszy utworu o aniołkach: „[...] wszystkie mają dobre humorki...”. Takie też mieli młodzi aktorzy, a widzowie mogli posłuchać pięknych wierszyków, piosenek i kolęd, obejrzeć tańczące aniołki, gwiazdki i przyjemnie spędzić czas.

Była to już czwarta edycja Festiwalu Jasełek zorganizowana przez MDK „Kazimierz”. Oprócz niego za organizację odpowiadały także Zespół Szkół Ogólnokształcących nr 12 w Sosnowcu i Filia nr 10 Biblioteki Miejskiej w Sosnowcu, z siedzibą w Miejskim Domu Kultury „Kazimierz”.

Konrad Staszewski

Sukcesy Zagłębiowskich Bibliotek

Do napisania tego krótkiego artykułu sprowokowała mnie wypowiedź Jarosława Makowskiego, filozofa, dziennikarza, dyrektora Instytutu Obywatelskiego, który w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej” konstatawał: „Nie jest przypadkiem, że Ameryka ma najlepsze uniwersytety. Gdy osadnicy – a byli to religijni protestanci – przybywali do Nowej Ziemi pierwszą rzeczą, którą robili, to... zakładali biblioteki. Wie Pan dlaczego?



IX Prezentacje Biblioteczne – MBP w Sosnowcu. Fot. arch.

By ich pastory nie byli tak głupi, jak ich psy. Jeśli chcemy szybko się rozwijać i budować przyzwoite społeczeństwo, oprócz chodników, dróg i stadionów musimy zacząć budować biblioteki. Naród, który nie buduje bibliotek, jest narodem bez przyszłości.”

Wypowiedź dość ostra w wymowie, istotne jest jednak to, że w ostatnim czasie w Polsce nie tylko nie buduje się nowych bibliotek (poza nowymi siedzibami już istniejących), ale zamyka się filie biblioteczne – ostatnie bastiony kultury na betonowych osiedlach czy w peryferyjnych dzielnicach. Cicho przeszły decyzje o likwidacji kilku sosnowieckich oddziałów Miejskiej Biblioteki Publicznej w Sosnowcu, mało kto wiedział, że zbierane są podpisy pod petycją o utrzymaniu terenowych placówek Wojewódzkiej Biblioteki Pedagogicznej w Czeladzi, Dąbrowie Górniczej. Powstaje pytanie – jakim cudem nasze społeczeństwo ma rozwijać się bez książek i czasopism? Nie tłumaczmy tej sytuacji wzrostem czytelnictwa w Internecie, bo to nie jest wcale takie proste i oczywiste. Nie utożsamiajmy biblioteki tylko z wypoży-

czalnią, bo to także miejsce informacji naukowej, spotkań z autorami czy przestrzeń edukacyjno-wychowawczą!

Tym bardziej cieszy fakt, że jakby na przekór niemoralnym oszczędnościom – nie tylko miejscowych władz – nasze biblioteki odnoszą sukcesy! 16 listopada 2012 roku podczas IX Katowickich Prezentacji Bibliotecznych to właśnie miejskie księgarnie z Sosnowca i Dąbrowy Górniczej otrzymały nagrody dla najlepszych w województwie!

Katowickie Prezentacje to doroczna impreza, organizowana przez Bibliotekę Śląską, na której wręczone są prestiżowe nagrody Guliwer w Krainie Liliputów (ostatnio otrzymała go wybitna pisarka, autorka serii *Jeżycjada* – Małgorzata Musierowicz) oraz Guliwer w Krainie Olbrzymów (tym razem przyznany Emilii Kiereś). Impreza ma na celu upowszechnianie wartościowej literatury dziecięcej, stąd zorganizowano m.in. kiermasz książek i spotkania z ciekawymi autorami, takimi jak Marta Fox czy Kazimierz Szymeczko. Przy tej okazji biblioteki miejskie z całego województwa śląskiego mają okazję przedstawić swoją ofertę kulturalno-edukacyjną, interesujące formy pracy oraz sposoby promocji czytelnictwa. Dla najciekawszych przewidziano nagrody. Całość oceniają eksperci, którzy przyglądają się jak przygotowano ofertę danej placówki, mają na uwadze pomysłowość, oryginalność, zaangażowanie bibliotekarzy, a nawet wygląd materiałów reklamowych (np. zakładki do książek, zaproszeń na spotkania autorskie). Swoje stoiska zaprezentowało kilkanaście placówek, wśród których najlepsza okazała się Miejska Biblioteka Publiczna im. Gustawa Daniłowskiego w Sosnowcu.

IX Prezentacje Biblioteczne – MBP w Dąbrowie Górniczej. Fot. arch.



Pracownice sosnowieckiej księgarni przygotowały istne show, nawiązujące do realizowanego u nich projektu „Kino w Bibliotece”. Stoisko z wielkim Oscarem i czerwonym dywanem utrzymane było w klimacie starego kina. Uczestnicy Prezentacji mieli niepowtarzalną okazję zrobić sobie zdjęcie z Marilyn Monroe (kreowaną przez Justynę Fendler), Audrey Hepburn (w tej roli Kinga Baranowska), Pola Negri (w słynną sosnowiczkankę wcieliła się Małgorzata Stępień), zobaczyć oryginalny filmowy klaps, stare kamery, aparaty fotograficzne, a wszystko spowite celuloidowymi taśmami filmowymi. Odwiedzający stoisko otrzymywali ulotki i gadżety (długopisy, torby, czapeczki itp.) z ofertą biblioteki, mogli kupić książki o tematyce zagłębiowskiej, porozmawiać o książkach i filmach.

Wyróżnienie przyznano również Miejskiej Bibliotece Publicznej w Dąbrowie Górniczej, której stoisko prezentowało wielopokoleniową rodzinę Poczytalskich, zaświadczałą, że „Czytać każdy może”, ba czytać można wszędzie (powodzeniem cieszyła się szczególnie wanna). Nie zabrakło też babci na bujanym fotelu, która otoczona dziećmi pięknie czytała baśnie na dobranoc.

Atrakcją było co niemiara, jedni polowali na autografy, inni zjadali się herbatnikami w kształcie literek, jeszcze inni wcielali się w rolę „książkowego molika”. A wszystko po to, by rosło kolejne pokolenie miłośników literatury, dla których biblioteka jest drugim domem. Bibliotece gratulujemy wygranych i życzymy równie spektakularnych sukcesów w przyszłym roku!

Edyta Antoniak-Kiedos



Miejski Ośrodek Kultury w Łazach, samorządowa placówka kultury, powstał w roku 1984. Pierwotnie ośrodek jako placówka gminna ulokowany był w miejscowości Niegowonice na terenie gminy Łazy i nosił nazwę „Miejsko-Gminnego Ośrodka Kultury w Łazach siedzibą w Niegowonicach”, a w budynku obecnego MOK-u działał Dom Kultury „Kolejarz”, placówka podlegająca Polskim Kolejom Państwowym. Pod koniec lat 80. placówka gminna została przeniesiona z Niegowonic do dawnego budynku „Kolejarza”, dając tym samym początek Miejskiemu Ośrodkowi Kultury w Łazach. W swojej działalności MOK kładzie duży nacisk na edukację kulturalną wszystkich grup wiekowych, organizuje różnorodne formy amatorskiego ruchu artystycznego oraz coroczne imprezy na terenie gminy Łazy. Stałe punkty w kalendarzu imprez organizowanych przez MOK to między innymi „Sylwester Pod Zegarem”, „Akcja Lato”, czyli wakacyjny program dla dzieci, Dzień Kobiet, dożynki, mikołajki, jarmark bożonarodzeniowy oraz

imprezy współorganizowane: Ogólnopolska Olimpiada Sportowa Uniwersytetów III Wieku, prezentacje warsztatów terapii zajęciowej województwa śląskiego oraz mniejsze imprezy współorganizowane razem ze szkołami czy też innymi organizacjami działającymi na terenie gminy. Największą imprezą organizowaną przez MOK są niewątpliwie Dni Łaz, czyli Święto Kupały, obchodzone corocznie w okolicach Nocy Świętojańskiej, a więc w terminie dawnego słowiańskiego święta, nad miejskim zalewem Mitręga. Impreza ta połączona jest z Jura Rock Festiwal – konkursem amatorskich zespołów rockowych organizowanym od trzech lat. Stałą imprezą, organizowaną już od czterech lat w listopadzie jest Kulturniak – koncert galowy, podsumowujący mijający rok działalności artystycznej i kulturotwórczej. Biorą w nim udział artyści działający w MOK. Podczas imprezy wręczane są Kulturniaki – nagrody dla osób i instytucji mających szczególny wkład w rozwój kulturalny gminy.

Na szczególną uwagę zasługuje działająca

przy MOK-u Łazowska Orkiestra Instrumentalna. W ofercie edukacji kulturalnej ośrodka znaleźć można zajęcia z zakresu gry na pianinie, keyboardzie, flecie poprzecznym, gitarze i instrumentach dętych, zajęcia wokalne, plastyczne, teatralne i taneczne. Ośrodek opiekuje się także lokalnymi grupami folklorystycznymi, głównie śpiewaczymi, utworzonymi przy kołach gospodyń wiejskich.

MOK w Łazach jest wydawcą bezpłatnego czasopisma samorządowego „Echa Łaz”, kolportowanego za pośrednictwem sklepów oraz bezpośrednio do czytelników.

W tym roku budynek MOK-u przeszedł gruntowny remont polegający na przeprowadzeniu termomodernizacji, na przyszły rok planuje się także kolejne prace modernizacyjne budynku, zwłaszcza sali widowiskowej oraz sąsiadującego z ośrodkiem parku.

Bliższe informacje na temat działalności Miejskiego Ośrodka Kultury w Łazach znaleźć można na stronie internetowej www.moklazy.pl

Jubileusz Pana Profesora Mirosława Ponczka

10 grudnia 2012 r. w Auli Wydziału Wychowania Fizycznego Uniwersytetu Rzeszowskiego w Rzeszowie J.M. Rektor tej Uczelni prof. dr hab. Aleksander Bobko wręczył prof. dr hab. Mirosławowi Ponczkowi – Zagłębiakowi, naszemu stałemu współpracownikowi – Księżę Jubileuszową z okazji 40-lecia pracy zawodowej i Jego 65-lecia. Czcigodnemu Jubilatowi serdecznie gratulujemy!



Trzy medale dla „Budowlanych”

W dniach 30.11-02.12. 2012 roku w Wiedniu w Centrum dalekowschodnich sztuk i sportów walki imienia Matsumae odbyły się „MISTRZOSTWA ŚWIATA SENIORÓW I SENIOREK W JU-JITSU”, rozgrywane w trzech konkurencjach: FIGHTING – walka w której zawodnicy stosują praktycznie rzecz biorąc wszelkie techniki, tzn. uderzenia, kopnięcia, rzuty, dźwignie duszenia, trzymania itp.; NE WAZA – tzw. brazylijskie ju-jitsu. Walka ta toczy się jedynie w parterze w której stosuje się dźwignie, duszenia, trzymania, uciski itp.; DUO SYSTEM



– swego rodzaju demonstracja systemu samoobrony przez dwie osoby jako odpowiedzi na wylosowane ataki.

W mistrzostwach startowali reprezentanci 42 państw. Polska była reprezentowana przez 15 zawodników (6 kobiet i 9 mężczyzn) którzy startowali w dwóch konkurencjach fighting i ne waza. Reprezentacja zdobyła 6 medali (dwa złote, trzy srebrne i jeden brązowy). Trzy medale zdobyły reprezentantki „Budowlanych”. Wszystkie medale zostały zdobyte przez panie: złoty

medal (fighting) w kategorii do 49 kg wywalczyła Agnieszka Bergier (Budowlani Sosnowiec), która obroniła ten tytuł z 2011 roku z Kolumbii. Agnieszka w drodze do złotego medalu pokonała zawodniczki z Rosji, Francji oraz Danii. Ta 21. zawodniczka



w roku bieżącym zdobyła również srebrny medal na mistrzostwach Europy w Hanau. Na co dzień Agnieszka jest funkcjonariuszem Policji w Sosnowcu jak również trenerką w K.S. „Budowlani” w Sosnowcu; jej wychowanka Justyna Sitko jest aktualną brązową medalistką Mistrzostw Europy juniorek do lat 18.

Srebrny medal mistrzostw świata (fighting) w kategorii 55 kg zdobyła po raz czwarty z rzędu Martyna Bierońska („Budowlani” Sosnowiec) wcześniej zdobywała je w Szwecji 2008, Rosji 2010, Kolumbii 2011. W konkurencji fighting Martyna stoczyła 5 pojedynków kolejno pokonując reprezentantki Azerbejdżanu, Francji, Ukrainy, Norwegii, w finale uległa nieznacznie na punkty reprezentantce Niemiec.

Martyna tym medalem i wcześniejszymi swoimi startami wywalczyła kwalifika-

cję na WORD GAMES 2012 (olimpiada sportów nieolimpijskich) w Kolumbii. Ponadto startowała również w konkurencji brazylijskiego ju-jitsu i zdobyła tam brązowy medal w kategorii 58 kg. Martyna w pierwszej walce miała tzw. wolny los a w kolejnych pokonała reprezentantki Meksyku i Włoch, a uległa reprezentantce Francji. Warto również przypomnieć że Martyna w roku bieżącym w Hanau zdobyła brązowy medal mistrzostw Europy seniorek.

Na 5 pozycji w kategorii 56 kg (fighting) zakończył Konrad Nowicki zawodnik Budowlanych. Rafał Riss również zawodnik Budowlanych był 9 w kategorii 94 kg (fighting).

Trener i zarazem prezes K.S. „Budowlani” w Sosnowcu Marian Jasiński (8 DAN ju-jitsu i 7 DAN judo) zalicza rok 2012 do bardzo udanych pod względem wyników sportowych. Jego zawodnicy w kategorii seniorów zdobyli 3 medale mistrzostw świata, 3 medale mistrzostw Europy w ju-jitsu natomiast w judo seniorzy i seniorki „Budowlanych” uplasowali się na piątej pozycji drużynowych mistrzostw polski seniorów i seniorek w Opolu.

W grupie młodzieży do lat 21 zawodnicy we włoskiej Genui zdobyli 3 medale mistrzostw Europy młodzieży ju-jitsu. W judo drużyna kobiet zajęła trzecie miejsce w drużynowych MP młodzieży. Juniorzy do lat 18 zdobyli również trzy medale mistrzostw Europy ju-jitsu.

M.J.

Zwycięski Viret Zawiercie

Szczypiorniści KS Viret CMC Zawiercie wygrali baraż, którego stawką był awans do 1/4 Finału Mistrzostw Polski Juniorów. Jeszcze w grudniu awans wywalczył mistrz Ligi Śląskiej - SPR Pogoń 1945 Zabrze. O kolejne miej-



sce grały KS Viret CMC Zawiercie z MOSiR-em Mysłowice. W pierwszym meczu w Zawierciu KS Viret CMC wygrał z Mysłowicami 28:24 (12:12). Z taką zaliczką zawierciańskie przyjechali do Mysłowic na rewanż w sobotę (26 stycznia). I tym razem KS Viret CMC Zawiercie okazał się lepszy od MOSiR-u Mysłowice



wygrując 27:25 (13:11). To dało zawiercianom awans do 1/4 Finału Mistrzostw Polski Juniorów.

Konferencja „Edward Gierek – Zagłębiak, Polak, Europejczyk”

Fot. arch.



W ramach rocznicowych obchodów stulecia urodzin E. Gierka zaplanowano cykl imprez pod hasłem „Edward Gierek – Zagłębiak, Polak, Europejczyk”. Obchody za-

inaugurowano 26 stycznia w auli Wyższej Szkole Humanitas w Sosnowcu konferencją połączoną z wystawą pt. „Edward Gierek – bliżej prawdy”. Wśród prelegentów znaleźli się m.in. profesorowie Adam Gierek, Longin Pastusiak, Zygmunt Woźniczka, głos zabrali także Leszek Miller, Krzysztof Janik, Kazimierz Górski.

Edward Gierek urodził się 6 stycznia 1913 r. w Porąbce, obecnie dzielnicy Sosnowca. W dzieciństwie wraz z rodziną wyjechał do Francji. Po powrocie do kraju w 1948 r. zaczął piąć się po szczeblach kariery w Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Działalność polityczna wyniosła go z Zagłębia i Śląska do Warszawy. Od końca 1970 r. do września

1980 r. pełnił funkcję I sekretarza Komitetu Centralnego PZPR. Zmarł 28 lipca 2001 r.

Organizatorami konferencji byli Stowarzyszenie Pokolenia oraz Stowarzyszenie im. E. Gierka. Uczestniczyło w niej ponad 300 osób.

Fot. D. Kindler



Pałac Kultury Zagłębia ma 55 lat

Pałac Kultury Zagłębia wybudowany w latach 1951–58 wg projektu architekta Zbigniewa Rzepeckiego został otwarty 11 stycznia 1958 r. Początkowo funkcjonował jako Dom Kultury Zagłębia, następnie jako Dąbrowski Pałac Kultury, a potem, aż po dzień dzisiejszy jako Pałac Kultury Zagłębia. W piątek 11 stycznia z okazji 55 urodzin Pałacu Kultury Zagłębia odbył się uroczysty koncert pt. FABRYKA KULTURY.



Fot. arch.

Sosnowiec
1902 - 2013

rysunki z cyklu „teki”
TADEUSZA DRAŹKIEWICZA

drzeworyt, litografia, cyklu „teki”

rysunki
z cyklu „teki”
TADEUSZA
DRAŹKIEWICZA
SOSNOWIEC

[Signature]

„teki”
ZAGŁĘBIE
SOSNOWIEC
WARSZAWA
KRAKÓW
WROCLAW
GDAŃSK
PRAHA
BRATYSLAWA
BUDAPEST
WIEJEN
MOSCWA
LONDYN
grafiki
„teki”
LONDYN

To wielki zaszczyt przedstawić dzieła
Tadeusza Drażkiewicza

Kolekcja rysunków
z „teki” SOSNOWIEC
wydana w rocznicę 110 - lecia miasta,
inicjuje prezentację jego twórczości,
i jako świadectwo niedawnej historii
ukazuje fragmentarycznie obraz
miasta, jakiego współczesne
pokolenie sosnowiczian
już nie zna.

Ni szczęście obrazy tych oraz innych
miejsc, do których dotarł, ocalały od
zapomnienia w jego kresce.

It is our great privilege to present the
works of Tadeusz Drazkiewicz

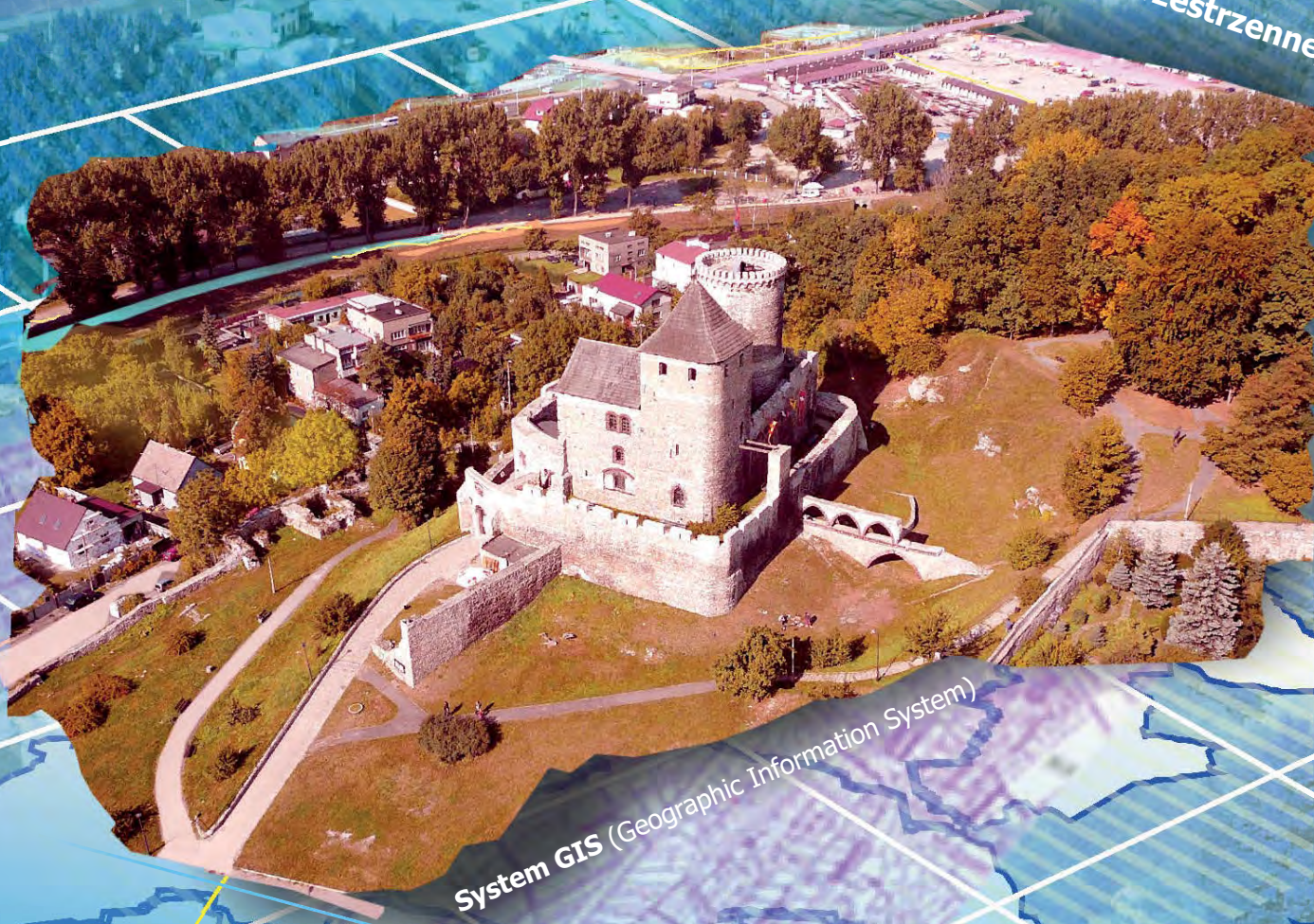
The collection of SOSNOWIEC
- drawings from the cycle “portfolio”
by Tadeusz Drazkiewicz,
published on the 110th anniversary
of Sosnowiec city, initiates the presentation
of Dad's artistic creativity, and - as a testimony
of the recent history - shows the parts
of the city, that are unknown for today's
generation of Sosnowiec inhabitants.

Luckily enough, images of those and many
more places, were saved from the oblivion
thanks to his drawings.



INFORMACJE PRZESTRZENNE POWIATU BĘDZIŃSKIEGO

Zintegrowany System Informacji Przestrzennej



System GIS (Geographic Information System)

www.geo.powiat.bedzin.pl



PROGRAM
REGIONALNY
NARODOWA STRATEGIA SPÓJNOŚCI



Śląskie.
Pozytywna energia

UNIA EUROPEJSKA
EUROPEJSKI FUNDUSZ
ROZWOJU REGIONALNEGO



JEDYNY TAKI NA INFЕКCJE WIRUSOWE

NOWOŚĆ!
Duże
opakowanie
30 dawek



Na cały sezon infekcyjny
- wzmacnia odporność w okresie
zachorowań oraz leczy przeziębienie
i grypę

Bezpieczny
- dla całej rodziny

**oszczędzasz
20%**

BOIRON



Jak leczyć?

Większość leków łagodzi objawy przeziębienia i grypy ale nie zwalcza choroby. Leki te najczęściej mają działania uboczne i mają ograniczenia:

- preparaty złożone z paracetamolem mogą powodować zaburzenia snu, bóle głowy, a dłuższe stosowanie może zakończyć się uszkodzeniem wątroby; preparaty te mogą być stosowane przez młodzież powyżej 12 r.ż.
- środki z kwasem acetylosalicylowym zwiększają ryzyko wystąpienia choroby wrzodowej oraz mogą powodować bóle żołądka, nudności i wymioty; mogą je stosować pacjenci powyżej 12 r.ż.
- preparaty z rutyną mogą powodować nudności i wymioty, są przeciwwskazane u pacjentów poniżej 6 r.ż..

Co należy wiedzieć o Oscilloccinum®?

- Leczy chorobę, a nie tylko tłumi objawy infekcji.
- Skraca czas trwania choroby i łagodzi objawy grypy oraz przeziębienia, takie jak: gorączka (do 38,5°C), uczucie ogólnego rozbitcia, bóle mięśniowe i kostno-stawowe.
- Lek działa szybko, zwłaszcza jeśli jest użyty na początku choroby, po pojawieniu się pierwszych objawów - dlatego warto mieć Oscilloccinum® w domowej apteczce.
- Jest bezpieczny dla całej rodziny.
- Nie wywołuje skutków ubocznych.
- Nie wpływa na działanie innych leków, może być stosowany przez osoby leczące się z powodu chorób przewlekłych; osoby, które zaszczepiły się na grypę, także mogą zażywać Oscilloccinum®.

Dawkowanie

Dorośli i dzieci od 6 r.ż.

Początek infekcji	Zżyć 1 dawkę leku jak najwcześniej, w razie potrzeby powtórzyć 2 – 3 razy co 6 godzin.
Rozwinięta infekcja	Po 1 dawce leku rano i wieczorem przez 3 dni.
Ochrona przed wirusami	1 dawka tygodniowo w okresie zwiększonej zachorowalności (wrzesień – marzec)
Zawartość tubki rozpuścić trzymając pod językiem.	

Dzieci poniżej 6 r.ż.: Według wskazań lekarza. Konieczność konsultacji z lekarzem nie jest związana z bezpieczeństwem leku tylko z prawidłowym rozpoznaniem.

www.oscillo.pl

BOIR/LZ/Osci/32/12.2012

**POLECANE
DO APTECZKI**

Na każdy kaszel

STODAL®

Postać farmaceutyczna: syrop.
Skład jakościowy i ilościowy: produkt złożony.
Wskazanie do stosowania: kaszel różnego pochodzenia, towarzyszący infekcjom górnych dróg oddechowych.
Przeciwwskazania: nadwrażliwość na substancję czynną lub na którąkolwiek substancję pomocniczą.
Podmiot odpowiedzialny: BOIRON SA, 20 rue de la Libération, 69110 Ste-Foy-lès-Lyon, Francja.



Na suchy kaszel u dzieci

DROSETUX®

Postać farmaceutyczna: syrop.
Skład jakościowy i ilościowy: produkt złożony.
Wskazanie do stosowania: wspomagająco w leczeniu suchego i drażniącego kaszlu.
Przeciwwskazania: nadwrażliwość na substancję czynną lub na którąkolwiek substancję pomocniczą.
Podmiot odpowiedzialny: BOIRON SA, 20 rue de la Libération, 69110 Ste-Foy-lès-Lyon, Francja.



Bolesne ząbkowanie

CAMILIA®

Postać farmaceutyczna: roztwór doustny.
Skład jakościowy i ilościowy: 1 pojemnik jednodawkowy (minims – 1ml) zawiera: substancję czynną: Chamomilla vulgaris 9CH, Phytolacca decandra 5CH, Rheum 5CH aa 333.3 mg.
Wskazanie do stosowania: bolesne ząbkowanie u niemowląt.
Przeciwwskazania: nadwrażliwość na którykolwiek ze składników leku.
Podmiot odpowiedzialny: BOIRON SA, 20 rue de la Libération, 69110 Ste-Foy-lès-Lyon, Francja.



Leczy katar

CORYZALIA®

Postać farmaceutyczna: tabletki powlekane.
Skład jakościowy i ilościowy: produkt złożony.
Wskazanie do stosowania: wspomagająco w stanach niezbyt ciężkich górnych dróg oddechowych zarówno o etiologii wirusowej, jak i alergicznej: katar (nieżyt błony śluzowej nosa), katar sienny, zapalenie zatok.
Przeciwwskazania: nadwrażliwość na substancję czynną lub na którąkolwiek substancję pomocniczą.
Podmiot odpowiedzialny: BOIRON SA, 20 rue de la Libération, 69110 Ste-Foy-lès-Lyon, Francja.



Na hemoroidy

AVENOC®

(maść i czopki): produkty złożone.
Postać farmaceutyczna: maść, czopki.
Wskazanie do stosowania: Avenoc® (maść i czopki): wspomagająco w dolegliwościach towarzyszących złykom odbytu (hemoroidom), takich, jak: ból, pieczenie i świąd.
Przeciwwskazania Avenoc® (maść i czopki): nadwrażliwość na substancję czynną lub na którąkolwiek substancję pomocniczą.
Podmiot odpowiedzialny Avenoc® (maść i czopki): BOIRON SA, 20 rue de la Libération, 69110 Sainte Foy-lès-Lyon, Francja.



Łagodzi objawy stresu

SEDATIF PC®

Postać farmaceutyczna: tabletki.
Skład jakościowy i ilościowy: produkt złożony.
Wskazanie do stosowania: wspomagająco w stanach nadmiernej pobudliwości nerwowej, nadmiernej nerwowości spowodowanej codziennymi stresami, drażliwością, objawach nerwicy wegetatywnej, zaburzeniach snu.
Przeciwwskazania: nadwrażliwość na substancję czynną lub na którąkolwiek substancję pomocniczą.
Podmiot odpowiedzialny: BOIRON SA, 20 rue de la Libération, 69110 Ste-Foy-lès-Lyon, Francja.



Grypa i przeziębienie

W strefie umiarkowanej, a więc także w Polsce, zachorowania na grypę i przeziębienie występują sezonowo, to jest w miesiącach od września/października do marca/kwietnia, a szczyt zachorowań występuje zwykle między styczniem a marcem. Nie wiadomo dokładnie, jakie są powody sezonowości infekcji wirusowych. Wydaje się, że mają tu znaczenie pewne czynniki środowiskowe, jak np. duże zagęszczenie osób w pomieszczeniach w okresie zimy przy jednocześnie zmniejszonej wentylacji tych pomieszczeń, czy też niskie temperatury i suche powietrze w czasie zimy, co stanowi dogodne warunki dla zachowania przez wirusy zdolności do namnażania się. Największą zapadalność na grypę i przeziębienie występuje u dzieci i nastolatków, a największa śmiertelność z powodu grypy i powikłań pogrypowych dotyczy populacji ludzi starszych. Istnieją także badania wskazujące, że czynnikiem sprzyjającym zachorowaniu na grypę jest palenie tytoniu.

Typowy przebieg zakażenia

W niepowikłanym zakażeniu wirusem grypy i przeziębienia stan chorego ulega poprawie się po około 7 dniach. Najdłużej utrzymującymi się objawami mogą być: kaszel – nawet do 2 tygodni, utrzymujące się poczucie choroby i osłabienie – szczególnie u osób starszych lub chorujących na schorzenia przewlekłe.

Różnice pomiędzy grypą a przeziębieniem

Cechy charakterystyczne	Grypa	Przeziębienie
Początek choroby	Nagły, objawy ostre	Powolny, objawy łagodne
Temperatura ciała	Wysoka (>38°)	Nieznacznie podwyższona
Dolegliwości stawowo-mięśniowe	Bardzo często	Rzadko
Ból głowy	Bardzo często	Rzadko
Samopoczucie	Bardzo złe	Umiarkowanie złe
Katar	Nie zawsze	Bardzo często
Suchy kaszel	Często	Rzadko
Chrypka	Rzadko	Często
Powikłania	Często	Rzadko

OSCILLOCCINUM®, 30 dawek. Postać farmaceutyczna: granulki w pojemniku jednodawkowym. Skład: substancja czynna: Anas barbariae hepatitis et cordis extractum 200K 0,01 ml, substancje pomocnicze: sacharoza, laktoza. Wskazanie: objawy grypy, przeziębienia i infekcji grypopodobnych: gorączka (do 38,5°C), uczucie ogólnego rozbitcia, bóle mięśniowe i kostno-stawowe. Przeciwwskazania: nadwrażliwość na substancję czynną lub na którąkolwiek substancję pomocniczą. Podmiot odpowiedzialny: BOIRON SA, 20 rue de la Libération, 69110 Ste-Foy-lès-Lyon, Francja.

Przed użyciem zapoznaj się z ulotką, która zawiera wskazania, przeciwwskazania, dane dotyczące działań niepożądanych i dawkowanie oraz informacje dotyczące stosowania produktu leczniczego, bądź skonsultuj się z lekarzem lub farmaceutą, gdyż każdy lek niewłaściwie stosowany zagraża Twojemu życiu lub zdrowiu.